



DODATEK: LAUREACI BUZDYGANÓW – LUDZIE, KTÓRZY ZMIENIAJĄ WOJSKO

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 4 (876)
KWIECIEŃ 2019

ISSN 0867-4523

**BLISKI
WSCHÓD**

Dylemat,
jak połączyć
demokrację
z islamem

TEMAT NUMERU

ABC PRZETRWANIA

Trudna sztuka przeżycia
na terytorium wroga
i z dala od cywilizacji

CENA 6,50 Zł (w tym 8% VAT)



DEFENDERE PATRIAM LEX NOSTRA
NASZYM PRAWEM OBRONA OJCZYZNY

ZOSTAŃ ŻOŁNIERZEM 18 DYWIZJI ZMECHANIZOWANEJ



ZADZWOŃ DO NAS!

261 351 405

261 351 410



ZNAJDŹ NAS:

 **@ZELAZNADYWIZJA**

 **@ZELAZNA_DYWIZJA**

#ŻELAZNADYWIZJA

#18DZ



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” ZAKŁÓCENIA W FUNKCJONOWANIU SYSTEMÓW INFRASTRUKTURY KRYTYCZNEJ TO M.IN. BRAK ENERGII, PALIWA, WODY, ŻYWNOŚCI CZY DOSTĘPU DO PIENIĘDZY. OBAWY, ŻE MOŻE DOJŚĆ DO TAKIEGO ZAGROŻENIA, ZWIĘKSZA NIESTABILNA SYTUACJA ZA WSCHODNIĄ GRANICĄ. UZASADNIAJĄ JĄ TAKŻE POWTARZAJĄCE SIĘ ATAKI TERRORYSTYCZNE W EUROPIE.

Nie zatem dziwnego, że coraz więcej ludzi jest zainteresowanych kursami przygotowującymi na wypadek zagrożenia bezpieczeństwa. A może nie chodzi nam o to, żeby przygotować się na ekstremalne sytuacje, tylko po prostu chcemy się sprawdzić i przetestować swoje umiejętności? Szkolenia survivalowe z elementami SERE dla cywilów często prowadzą byli żołnierze wojsk specjalnych. Aby przetrwać w sytuacji kryzysowej czy dobrze chronić swoją firmę, potrzebna jest bowiem specjalistyczna wiedza, którą dysponują właśnie byli specjaliści. W niniejszym numerze pokazujemy Państwu, czym różni się SERE od survivalu i w których dziedzinach się sprawdza.

Trafił już do ponad 200 osób. Jest potwierdzeniem pasji, zaangażowania i pracy żołnierzy oraz cywilów, którzy zmieniają polskie wojsko. Buzdyganem, nagrodą miesięcznika „Polska Zbrojna”, już po raz 25. uhonorowaliśmy kolejną siódmkę najlepszych z najlepszych. Prezentujemy ich dokonania w specjalnym dodatku. To pasjonujące historie, które są dowodem na to, że chceć to móc. Laureaci nagrody to prawdziwe diamenty, a jednocześnie ludzie bardzo skromni, którzy zaangażowaniem, wiedzą i odwagą służą Polsce. Naprawdę warto ich bliżej poznać. Zapraszamy do lektury! ■



**TEMAT
NUMERU**

EWA KORSAK,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

12 Kurs na myślenie
SERE poza wojskiem

MICHAŁ ZIELIŃSKI

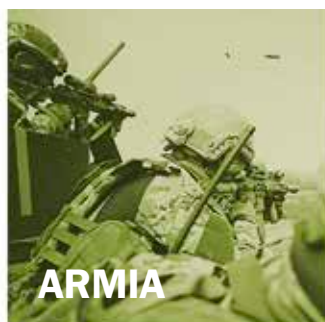
20 Lekcja
na całe życie

EWA KORSAK,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

24
ABC
przetrwania

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

28 Przeżyć na fali



ARMIA

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

32 W roli lidera
Kurs podoficerski
dla komandosów

PIOTR RASZEWSKI

38 Profil specjalisty

EWA KORSAK

40
Gotowi
na patriotę

EWA KORSAK,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

46 Elementarz
szturmana

BOGUSŁAW POLITOWSKI

49 Żandarm
na tropie



MILITARIA

KRZYSZTOF WILEWSKI

52 Zwiększona siła
rażenia

Wyrzutnie rakietowe HIMARS

TOMASZ OTŁOWSKI

57 Leopardy w pułapce

TADEUSZ WRÓBEL

60 Polityczne transakcje

ROBERT SENDEK

66 Oślepiający puchacz

KRZYSZTOF WILEWSKI

70 BWP zmienny jest



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

72 Wojna czy pokój?

Spory o Kaszmir

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

78 Region bez klucza

Rozmowa z Łukaszem

Fyderkiem

MICHAŁ ZIELIŃSKI

82 Tajemnice
czarnych flag

RAFAŁ CIASTOŃ

86 Łapanie wiatru
w żagle

ROBERT SENDEK

89 Ustąpić, aby rządzić

TADEUSZ WRÓBEL

90 Imperialne ambicje

ROBERT SENDEK

94 Rakietowe defilady





HISTORIA

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

100 Życie zakłète w gablotach

Tajemnica odznaki żandarma

PIOTR KORCZYŃSKI

106 Archipelag oflag

ROBERT SENDEK

111 Rabin z Katynia

PIOTR KORCZYŃSKI

114 Fuks na wojnie

Rozmowa z Marianem Fuksem

KRZYSZTOF KUBIAK

120 Szorstki uścisk wyzwoliciele

KRZYSZTOF KUBIAK

127 Szalony geniusz



Zdjęcie na okładce:
Michał Zieliński

Znajdziesz nas tutaj:



PO SŁUŻBIE

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

128 W górę, po marzenia

Żołnierz z Nila zdobył
Chan Tengri

PIOTR KORCZYŃSKI

134 Outsiderzy w zielonych beretach

ANDRZEJ FAFA

138 Bez pardonu pod Racławicami



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciastoń, Andrzej Fafara,

Krzysztof Kubiak, Tomasz Otlowski, Piotr Raszewski,

Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,

Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;

Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka

Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc,

Małgorzata Szustkowska, tel.: 261 845 387, 261 845 180,

faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 22.03.2019 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400. Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

POWIĘKSZENIE

JELCZ 442

ŚREDNI SAMOCHÓD CIĘŻAROWY
WYSOKIEJ MOBILNOŚCI W TERENIE

Od 2013 roku Ministerstwo Obrony Narodowej podpisało trzy umowy na dostawy ciężarówek Jelcz 442.32. Przy wykorzystaniu opcji zakupowych, wyprodukowanych ma być ich około 2300. Ostatnie będą dostarczone w 2022 roku.





DWA WARIANTY

Oprócz wersji ze skrzynią ładunkową wojsko kupuje podwozia pod zabudowy specjalistyczne.

- Masa całkowita dopuszczalna – 15 600 kg
- Masa własna podwozia – 9600 kg
- Ładowność dopuszczalna – 6000 kg
- Długość – 7,98 m
- Szerokość – 2,55 m
- Wysokość – 2,74 m
- Silnik – wysokoprężny, MTU 6R106TD21, Euro III z turbodoładowaniem, o mocy 240 kW (326 KM) przy 2200 obr./min
- Skrzynia biegów – mechaniczna, dziewięciobiegowa, z przystawką odbioru mocy
- Prędkość maksymalna – 85 km/h
- Głębokość pokonywanych przeszkód wodnych – 1,2 m

Bezpieczne morza

Po raz pierwszy nasi nurkowie mineryzy wzięli udział w międzynarodowych ćwiczeniach „Aman”, odbywających się na Morzu Arabskim. Do Karaczi pojechało sześciu żołnierzy z 8 Flotylli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu oraz obserwatorzy z Inspektoratu Marynarki Wojennej Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Zajmowali się tam likwidacją improwizowanych urządzeń wybuchowych na lądzie i w morzu. Zorganizowali też pokaz, który obejmował m.in. poszukiwanie i rozpoznanie niebezpiecznych przedmiotów spoczywających na dnie. PZ, ŁZ ■

MARYNARZE Z 3 FLOTYLLI OKRĘTÓW WZIĘLI UDZIAŁ W PIERWSZYCH W TYM ROKU MANEWRACH NA BAŁTYKU. TO BYŁY TYPOWE ĆWICZENIA OSŁONY STRATEGICZNEGO TRANSPORTU MORSKIEGO I UTRZYMANIA PANOWANIA NA MORZU W SYTUACJACH KRYZYSOWYCH.



MYŚLIWCE DO WYMIANY

Kupimy samoloty wielozadaniowe **piątej generacji.**

Jednym z priorytetów podpisanego przez ministra Mariusza Błaszczaka planu modernizacji technicznej jest program „Harpia”. Dotyczy on zakupu 32 samolotów wielozada-

niowych, mających zastąpić wysłużone posowieckie Su-22 oraz MiG-29. Minister doprecyzował, że chodzi o myśliwce piątej generacji, a na rynku dostępna jest tylko jedna tego ro-

F-35
LIGHTNING II
MOŻE BYĆ UŻYTY DO
WYKONYWANIA MISJI
BLISKIEGO WSPARCIA,
BOMBARDOWAŃ I TYPOWO
MYŚLIWSKICH. DZIĘKI
TEJ MASZYNIE ZWIĘKSZA
SIĘ ZDOLNOŚCI
ODSTRĄSZANIA
NASZEJ ARMII.

U S A F



NOWA MISJA

W pierwszych dniach listopada 2019 roku polscy żołnierze wyjadą na **oenzetowską misję** na granicy libańsko-izraelskiej.

Teraz jest tworzony polsko-węgierski kontyngent, który wejdzie w skład batalionu irlandzkiego. Na misję UNIFIL wyjedzie kompania manewrowa z 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina. W jej składzie w pierwszej fazie znajdzie się kilku oficerów łącznikowych armii węgierskiej. Polsko-węgierski kontyngent będzie stacjonował w południowej części Libanu w okolicach miejscowości Bint Dżubajl. Jest to region ważny strategicznie, ponieważ znajduje się tam największe skupisko bojowników Hezbollahu.

„Zadania kontyngentu będą podobne do tych, jakie Polacy wykonywali podczas misji UNDOF na Wzgórzach Golan. Nasi żołnierze będą dbali o utrzymywanie zawieszenia broni między siłami stacjonującymi na terenie Libanu i Izraela, nadzorowali przestrzeganie postanowień o rozdzieleniu sił oraz sprawowali nadzór nad strefami ograniczenia ich użycia”, mówi ppłk Marek Ciastoń z Zarządu Planowania Dowództwa Operacyjnego RSZ. BP

dzaju konstrukcja – amerykańskie F-35. „Takie maszyny zmultiplikują zdolności samolotów F-16. Chcemy też doprowadzić do takiego skoku jakościowego, jakim przed laty było kupienie samolotów F-16”, mówił szef MON-u. Gen. broni Rajmund Andrzejczak, szef SGWP, zwraca uwagę, że wielozadaniowe maszyny piątej generacji zwiększą zdolności odstraszania naszej armii.

Zakup myśliwców jest związany z serią kilku w ciągu kilkunastu miesięcy katastrof lotniczych z udziałem MiG-29. 3 marca samolot z 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim rozbił się

podczas lotu szkolnego w okolicy Łochowa na Mazowszu. Pilot katapultował się i wyszedł z wypadku bez uszczerbku. W grudniu 2017 roku maszyna z tej jednostki rozbiła się podczas podejścia do lądowania, pilot przeżył wypadek. Siedem miesięcy później, w lipcu 2018 roku, tym razem myśliwiec z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego z Malborka runął w okolicach Pasłęka w województwie warmińsko-mazurskim. Pilot się

katapultował, ale nie przeżył katastrofy. Powody wszystkich zdarzeń wyjaśnia Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego. PZ, MKS



FOTO: P. LEGNIAK

Rak to samobieżne
działo polowe
wyposażone w automa-
tycznie ładowany moż-
dzierz kalibru 120 mm



MILIARDY NA SPRZĘT

Najważniejsze **programy**
modernizacyjne polskiej armii.

Wojsko chce wydać aż 185 mld zł na 16 programów – tak wynika z podpisanego przez ministra Mariusza Błaszczaka „Planu modernizacji technicznej Sił Zbrojnych RP na lata 2017–2026”. Wśród przyjętych programów są takie, które będą kontynuacją rozpoczętych zakupów, jak pozyskanie systemów rakietowych Patriot (program „Wisła”), armatohaubic Krab (program „Regina”), moździerzy Rak czy wieloprowadnicowych wyrzutni rakietowych HIMARS (program „Homa”). Spośród nowych wskazano

głównie „Harpię” (wielozadaniowe samoloty), „Narew” (zestawy rakietowe krótkiego zasięgu uzupełniające systemy przeciwrakietowe i przeciwlotnicze Patriot) oraz „Kruk” (śmigłowce uderzeniowe). Nowy sprzęt w pierwszej kolejności trafi do jednostek na wschodzie kraju: nowo sformowanej 18 Dywizji Zmechanizowanej oraz rozwijanej 16 Dywizji Zmechanizowanej. W planie uwzględniono również kupno sprzętu kryptograficznego i informatycznego dla wojsk obrony cyberprzestrzeni. PZ, KW

Rocznicowa odprawa

Warunki nowoczesnej
i bardziej skutecznej
armii.

Podsumowanie minionego roku i wyznaczenie celów na kolejny to zadanie uczestników dorocznej odprawy rozliczeniowo-koordynacyjnej kierowniczej kadry resortu obrony i sił zbrojnych. Po raz pierwszy, z okazji 20. rocznicy wstąpienia Polski do NATO, spotkanie odbyło się w Pałacu Prezydenckim w Warszawie.

Podczas odprawy prezydent Andrzej Duda podkreślił rolę Sojuszu będącego fundamentem współpracy całego obszaru euroatlantyckiego. „Przełomowe były dla nas podjęte na szczycie w Warszawie w 2016 roku decyzje dotyczące rozmieszczenia sił NATO na wschodniej flance”, mówił Duda. Zwierzchnik sił zbrojnych odniósł się też do współpracy europejskiej w dziedzinie polityki bezpieczeństwa i obrony. Prezydent mówił również o ustawie, która zakłada zwiększenie nakładów na obronność do 2,5% PKB do 2030 roku. „Potrzeby wojska, jeśli chodzi o modernizację techniczną i uzupełnienie stanów osobowych, są ogromne. Dlatego uważam, że musimy zmierzać do przyspieszenia tego procesu tak, aby ten poziom osiągnąć już w 2024 roku”, oświadczył prezydent. Jednocześnie zwierzchnik sił zbrojnych zapowiedział przeprowadzenie ćwiczeń „Kraj”, mających sprawdzić przygotowanie administracji państwowej na wypadek kryzysu, oraz poinformował o planach opracowania strategii bezpieczeństwa narodowego.

Minister Mariusz Błaszczak z kolei mówił o podstawowych warunkach, dzięki którym armia jest nowoczesna. Zwracał uwagę m.in. na stabilne finansowanie, wprowadzenie nowego systemu dowodzenia, podpisanie planu modernizacji, a także tworzenie wojsk cyberobrony. PZ, PG

Starcie programistów



W dwóch z trzech kategorii **NAJLEPSI OKAZALI SIĘ POLACY**. Nasze drużyny tworzyli przedstawiciele Wojskowej Akademii Technicznej i Centrum Projektów Informatycznych.

W konkursie projektowo-programistycznym, zorganizowanym w Warszawie przez Dowództwo Sił Sojuszniczych NATO ds. Transformacji (Allied Command Transformation – ACT), rywalizowało ze sobą 13 zespołów złożonych z żołnierzy, naukowców i prywatnych przedsiębiorców z 11 państw. Zadaniem uczestników było przygotowanie rozwiązań pomocnych organizacjom humanitarnym i wojsku w operacji rozminowania Iraku. Zespoły zmagaly się w trzech kategoriach. W Modeling Challenge musiały

opracować algorytmy i modele, które pomogą dowódcom ocenić, czy na danym terenie znajdują się niewybuchy lub ajdiki. W tej kategorii wygrał polski zespół ArchiTechs. Data ScienceCadets z WAT-u zwyciężył w kategorii Coding Challenge. Tutaj trzeba było przygotować prototyp oprogramowania wspomagającego rozminowanie Iraku. W trzeciej kategorii Visualization, którą wygrali Holendrzy, zawodnicy musieli tak opracować medialne informacje o ćwiczeniach, aby ułatwić dowódcom ich analizę. PZ, MM



CYBER.MIL W SZKOLE

Już we wrześniu ruszy pierwsza klasa o profilu cyberbezpieczeństwo.

Ministerstwo Obrony Narodowej planuje uruchomić program „cyber.mil z klasą”, skierowany do uczniów szkół średnich. W liceach ogólnokształcących w mniejszych miejscowościach powstaną klasy o profilu cyberbezpieczeństwo.

„Chcemy, żeby docelowo w każdym województwie funkcjonowała przynajmniej jedna klasa partnerska programu”, mówił Tomasz Zdzikot, sekretarz stanu w MON-ie. Pierwszą szkołą objętą programem jest Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Chęłmońskiego w Łowiczu. Nowa klasa ruszy 1 września 2019 roku i będzie liczyć maksymalnie 24 uczniów. Porozumienie w tej sprawie podpisali: Tomasz Zdzikot, prof. dr hab. inż. Sławomir Wiak, rektor Politechniki Łódzkiej, Sebastian Chwałek, wiceprezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej i Marcin Kosiorek, starosta powiatu łowickiego. Zgodnie z tym dokumentem resort obrony zobowiązał się do objęcia programu patronatem i oddelegowania do szkoły ekspertów zajmujących się cyberbezpieczeństwem. MON będzie również odpowiedzialne za pomoc w organizacji praktyk dla uczniów tych klas. Politechnika Łódzka z kolei zapewni kadre naukowo-dydaktyczną i nadzór merytoryczny nad realizacją programu nauczania, który przygotuje powiat. PZ, PG

GENERALSKIE GWIAZDKI

Awans na stopień generala czy admirałski to z jednej strony podsumowanie dotychczasowej, wzorowej służby dla dobra Polski i obywateli, ale to także zobowiązanie do jeszcze lepszej pracy na rzecz budowy nowoczesnego i sprawnego wojska”, mówił prezydent Andrzej Duda podczas wręczenia nominacji. Na stopień generała brygady awansowali: płk Andrzej Dąbrowski, dowódca 3 Brygady Rakietowej Obrony Powietrznej w Sochaczewie, który wcześniej służył w Dowództwie Generalnym RSZ m.in. na stanowisku szefa Oddziału Operacyjnego w Zarządzie Obrony Powietrznej i Prze-

ciwrakietowej, oraz płk Norbert Iwanowski, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej

PIĘCIU OFICERÓW DO- STAŁO NOMINA- CJE NA STOPNIE GENERALSKI I ADMIRAŁSKI

w Giżycku. Był on też m.in. szefem sztabu Centrum Operacji Lądowych – Dowództwa Komponentu Lądowego.

Pierwsze gwiazdki generalskie dostali także: płk pil. Robert Cierniak, szef Inspektoratu MON ds. Bezpieczeń-

stwa Lotów, przewodniczący Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego, a wcześniej zastępca dowódcy 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie; płk Karol Molenda, pełnomocnik MON ds. utworzenia wojsk obrony cyberprzestrzeni, który jest ekspertem w dziedzinie cyberbezpieczeństwa i ponad 12 lat spędził w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego. Kontradmirałem został z kolei kmr Miroslaw Jurkowlanec, dowódca 3 Flotylli Okrętów. Wcześniej był szefem Zarządu Uzbrojenia w Inspektoracie MW Dowództwa Generalnego RSZ. PZ, MKS

TRADYCJA ZOBOWIĄZUJE

Minister Mariusz Błaszczak nadał imiona sześciu nowym brygadam WOT-u. Patronem 7 Pomorskiej Brygady OT został kpt. mar. Adam Dedio, instruktor szkolenia dowódców drużyn na potrzeby AK; patronem 8 Kujawsko-Pomorskiej Brygady OT – gen. bryg. Elżbieta Zawacka „Zo”, żołnierz AK, powstaniec warszawski i cichociemna, a 9 Łódzkiej Brygady OT – gen. bryg. Stanisław Sojczyński „Warszyc”, organizator i dowódca Konspiracyjnego Wojska Polskiego. 10 Świętokrzyska

Brygada OT będzie nosiła imię mjr. Eugeniusza Gedymina Kaszyńskiego „Nurta”, cichociemnego, dowódcy Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury”. Także cichociemnego – gen. bryg. Leopolda Okulickiego „Niedźwiadka”, ostatniego komendanta AK – wybrała na patrona 11 Małopolska Brygada OT. Ppłk Tadeusz Puszczyński „Konrad Wawelberg” został natomiast patronem 13 Śląskiej Brygady OT. Oficer był dowódcą „Grupy Wawelberga”. PZ, PG

JEDNOSTKI WOT

przy wyborze patrona najczęściej odwołują się do tradycji Armii Krajowej i powojennych organizacji niepodległościowych.

**TEMAT
NUMERU**

/ SERE





KURS NA MYŚLENIE

Zaawansowany kurs SERE, przygotowujący żołnierzy do tego, jak przeżyć w izolacji na terenie nieprzyjaciela, dla zwykłego cywila na zawsze pozostanie w sferze marzeń. Są jednak specjaliści, którzy, wykorzystując sposoby poznane w armii, uczą, jak przetrwać – w pracy, na wakacjach i w świecie wielkiego biznesu.

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

SHUTTERSTOCK

P

odobno moda na survival zaczęła się, gdy w internecie pojawiła się zapowiedź wielkiej apokalipsy, która miała zniszczyć dotychczasowy porządek świata. Dramatyczne zapowiedzi brzmiały mniej więcej tak: „Nauczcie się, jak zdobywać jedzenie w lesie, bo supermarketów nie będzie! Kupujcie busole i kompasy, bo GPS-y w telefonach będą bezużyteczne”. Natychmiast w telewizji pojawili się specjaliści, którzy

doradzali, jak przetrwać np. atak zombie. Na szczęście za survival można się zabrać całkiem poważnie, a jego znajomość może być niezwykle pomocna w codziennym życiu.

Z WALIZKĄ DO LASU

Na polskim rynku działa wiele firm, które oferują klientom niecodzienne przygody, np. bytowanie w lesie, budowanie schronisk w terenie czy naukę polowania. W niektórych wypadkach oferta ekstremalnych kursów survivalowych jest ukierunkowana na SERE (Survival, Evasion, Resistance, Escape) – typowo wojskowe szkolenie, które uczy żołnierza, jak przetrwać z dala od wojsk własnych na terenie kontrolowanym przez przeciwnika. Najczęściej prowadzą je byli żołnierze jednostek specjalnych.

Instruktorzy przyznają, że jest bardzo duże zainteresowanie tego rodzaju kursami. Szczegóły dotyczące profesjonalnego SERE jednak nie powinny być upowszechniane, choćby dlatego, że mają wpływ na bezpieczeństwo, a nawet życie żołnierzy. Cywilom nie można zaseroować takich zajęć jak w armii, więc de facto sprowadza-

ją się do nauki survivalu, ale z informacjami z dziedziny wojskowego programu SERE. Dlatego pewnie powszechnie czasami myli się SERE z survivaliem.

„Trzeba pamiętać o tym, że cywilne szkolenia survivalowe to nie są kursy wojskowe. SERE w wojsku to program, który ma przygotować żołnierza np. do przebywania w izolacji od własnych wojsk. O ile można przekazać cywilowi część tej wiedzy, o tyle z przyczyn choćby cywilo prawnych nie ma możliwości, by zaliczył on kurs zakończony certyfikatem, taki jak w jednostkach”, mówi już na wstępie rozmowy Robert, instruktor kursów przetrwania w firmie Works 11. „Oprócz tego, jeżeli mówimy o survivalu, wyjdźmy w końcu z lasu. Kurs, który prowadzi, uczy szerszego spojrzenia na tę kwestię.

„Historia, której nigdy nie zapomnę. Jeden z uczestników przyszedł na kurs survivalowy z... walizką na kółkach. I przez cały czas ciągnął ją za sobą lub nosił. Można i tak”, mówi Robert.



FACHOWCY UCZĄ LUDZI, JAK PRZETRWAĆ W NIEBEZPIECZNYCH REGIONACH ŚWIATA,

ALE PRZED WSZYSTKIM STWARZAJĄ IM DO TEGO ODPOWIEDNIE WARUNKI

Pracuję z uczestnikami nad tym, by mieli otwartą głowę, dostrzegali zagrożenia wszędzie, nawet na ulicy wielkiego miasta. Jednocześnie myśleli, jak ich uniknąć”, dodaje.

Kto szuka wiedzy o przetrwaniu na takich kursach? „Często biorą w nich udział cywile, którzy traktują je jak rozrywkę. Rzadziej osoby, którym

znajomość SERE jest potrzebna w pracy, choć i tacy się oczywiście zdarzają”, mówi „Volf”, współzałożyciel fundacji Volf Camp, która od 2015 roku zajmuje się organizacją m.in. kursów survivalowych. Przyznaje jednocześnie, że najlicniejszą grupę stanowią mężczyźni w sile wieku, chcący sprawdzić się w trudnych warunkach,



SZUKAJ KONKRETÓW

Umiejętności survivalowe na pewno pomogą przetrwać w wielu trudnych sytuacjach. Ale zanim wybierze firmę, której zapłacić spore pieniądze za kurs survivalu czy też kursy „zbliżone do wojskowego SERE”, dokładnie ją sprawdźcie. Wypytajcie o nią w internecie, poszukajcie jej klientów i zapytajcie o opinię. Nie dajcie się zwieść pięknym grafikom. Lampka ostrzegawcza powinna się zapalić szczególnie wtedy, gdy w ofercie znajdują się rzeczy niemożliwe, np. że w weekend nauczą cię, jak przetrwać w dżungli albo na oceanie, wyszkolą na instruktora SERE, nauczą jak przetrwać przesłuchania i jak wytrzymać w niewoli. Najczęściej firmy próbują przyciągnąć klientów, przedstawiając swoich instruktorów jako byłych żołnierzy jednostek specjalnych czy antyterrorystycznych. To może, ale nie musi być prawdą. Trzeba o to dokładnie wypytać, by nie dać się nabrać. Pamiętajcie: im więcej konkretów, a mniej zdjęć i super-grafik, tym większa szansa na to, że macie do czynienia z profesjonalistami. Choć tak naprawdę nic nie jest stu-procentowo pewne. Jak widać, wybór odpowiedniej firmy... to też niezła sztuka przetrwania.

RAFAŁ MNIEDŁO / 11 LDK PANC

oraz ludzie pracujący np. na platformach lub za granicą w niebezpiecznych miejscach.

Do Roberta z Works 11 na kursy zgłaszają się różne osoby. Są wśród nich księgowi, nauczyciele prawnicy czy kierowcy TIR-ów. „Nie jestem w stanie wymienić wszystkich zawodów, tak szeroki jest przekrój”, mówi instruktor z wieloletnim doświadczeniem, również wojskowym. Około 20% wszystkich zainteresowanych stanowią kobiety. „Szybciej łapią temat, biorą się w garść i nie marudzą”, mówi instruktor. Kurs, który organizuje, może trwać minimum dwa dni, a maksimum dwa tygodnie. Zajęcia prowadzą byli żołnierze wojsk specjalnych i oddziałów specjalnych oraz emerytowani pogranicznicy.

ORIENTUJ SIĘ BEZ GPS-U

Jak powinien być wyposażony uczestnik takiego kursu? W obu firmach wymagania są precyzyjnie określone. Każdy, kto zapisze się na kurs, otrzymuje listę niezbędnych rzeczy. Wśród nich są np. nóż, latarka, karimata. To wszystko powinno być spakowane w wygodny plecak, chociaż kursanci potrafią zaskoczyć. „Historia, której nigdy

nie zapomnę. Jeden z uczestników przyszedł na kurs survivalowy z... walizką na kółkach. I przez cały czas ciągnął ją za sobą lub nosił. Można i tak”, śmieje się Robert. Uczestnicy nie zabierają ze sobą papierosów („W izolacji raczej nie będziesz mógł swobodnie zapalić”), jedzenia („Zapewniamy go tyle, ile trzeba, tak by nikt nie przytył”) oraz telefonów komórkowych. Ten ostatni zakaz budzi największy niepokój. „Jesteśmy uzależnieni od ciągłego przypływu informacji. Jeśli się od tego odetniesz, nagle się okazuje, że znajdujesz czas na myślenie”, opowiada Robert.

Kursy survivalowe wzorowane na wojskowym SERE, prowadzone przez bieszczadzki Volf Camp, mają dwa poziomy: podstawowy A i średniozaawansowany B. Zajęcia odbywają się w Bieszczadach. Podobnie jak te prowadzone przez Works 11. Gdzie dokładnie? Tego firmy nie podają, by nie psuć niespodzianki uczestnikom. Na początku każdy ochotnik poznaje teoretyczne zagadnienia związane z tematyką SERE i survivalu, a potem rozpoczynają się zajęcia praktyczne. Kursanci poznają zagadnienia związane z samopomocą medyczną, uczą się budować schronienia





Jedną ze spółek zajmujących się szkoleniami dla pracowników firm prowadzących działalność w niebezpiecznych rejonach świata jest S.E.A.L. Security z Teksasu.

S.E.A.L. SECURITY

i obozowiska, zdobywać wodę i pożywienie. Są też zajęcia z maskowania oraz z nawigacji. „Dajemy im mapę, busolę i kompas. Mało kto potrafi dziś pracować na mapie bez GPS-u. Wydaje mi się, że taka nauka nawigacji sprawia kursantom dużą przyjemność”, mówi „Volf”.

Robert dodaje, że uczy przetrwania, ale nie według utartych schematów. „Staram się zwrócić uwagę na to, co się dzieje w głowie. To w tobie musi się pojawić chęć przetrwania. Jeśli będzie ci wszystko jedno, żaden kompas, a nawet GPS ci nie pomoże”, mówi Robert. Kurs survivalowy może się też okazać próbą zmierzenia z własnymi lękami. „Przyjechał kiedyś do nas facet wyposażony jak komandos. Miał najlepszy i najdroższy sprzęt. Jednak gdy poszliśmy z nim do lasu, zaczęły się problemy. Po zmroku wpadł w histerię, bo się okazało, że panicznie się boi ciemności”, wspomina „Volf”. Instruktor wyjaśnia jednak, że takie sytuacje to wyjątki. Najczęściej ludzie, którzy chcą się szkolić, są sprawni, zdeterminowani i bardzo się angażują w zajęcia.

WIĘCEJ NIŻ PRZETRWANIE

Czy każdy może przyjść na kurs survivalowy? Fundacja Volf Camp nie robi szkoleń dla wszystkich zainteresowanych. Większość klientów przychodzi z polecenia. „Boimy się przyjmować nieznaną osobę bez żadnego polecenia.

W wyjątkowych wypadkach kandydatów na szkolenia dokładnie sprawdzamy. To są specjalistyczne kursy, więc wiedza nie powinna być źle wykorzystana”, podkreśla „Volf”. Ostrożna w przekazywaniu wiedzy swoich instruktorów jest też firma Works 11. „Jeśli mamy wątpliwości, przeprowadzamy wywiad na temat danej osoby, w niektórych wypadkach wymagamy zaświadczenia o niekaralności”, mówi Robert. Czy są jeszcze jakieś ograniczenia? „Ostatnio zastanawiałem się nad tym, czy taki kurs mogłaby przejść osoba niepełnosprawna... i uważam, że można byłoby dostosować go do jej potrzeb”. Przyznaje jednak, że nie podjęły się szkolenia survivalowego kogoś, kto chce wyjechać np. do dżungli lub na Saharę. „W survivalu są stałe elementy, które sprawdzają się w każdej szerokości geograficznej, ale nie można nauczyć przetrwania w tropikach na zajęciach w Bieszczadach”, mówi Robert.

Czy szkolenia survivalowe dadzą kursantom coś więcej niż np. wiedzę o tym, jak rozpałcić ognisko w śniegu? Instruktor zauważa, że podczas kilku dni spędzonych w lesie można oczywiście zdobyć konkretne umiejętności, ale równie ważne jest wyciszenie. „Pamiętam chłopaka, który spędził na kursie trzy dni. Tak mu się spodobało życie w lesie, że został zupełnie sam jeden dzień dłużej. Szczerze mówiąc, trochę mu zazdrościłem. Gdybym miał taką możliwość,



chętnie sam spędziłbym trochę czasu sam ze sobą”, mówi Robert.

WERSJA BIZNESOWA

Z ciemnego lasu przenieśmy się w świat wielkiego biznesu, drogich garniturów, wysokich szpilek i szybkich samochodów... albo przeciwnie, w miejsca, gdzie ludzie pracują w niebezpiecznych warunkach, na terenach ogarniętych konfliktami zbrojnymi. „Gdzie jest ryzyko, tam też są duże pieniądze”, mówi Jacek, współwłaściciel firmy SIS, były żołnierz jednostki specjalnej. „Naszym celem jest minimalizacja zagrożeń, więc budujemy lub uaktualniamy system bezpieczeństwa dla firm, które wchodzi na rynek w niebezpiecznych miejscach, tak by w spokoju mogli rozwijać swój biznes”, dodaje.

Co to ma wspólnego z survivaliem? Okazuje się, że bardzo dużo. Na rynku międzynarodowym działa wiele firm, które oferują swoim klientom bezpieczeństwo i ochronę, niezależnie od tego, w którym rejonie świata się znajdują. Bogatą ofertę tego rodzaju można znaleźć w Stanach Zjednoczonych. Wiele firm, które świadczą usługi związane z ochroną, zabezpieczeniem działalności firmy i pracowników, także w sytuacjach kryzysowych, założyli emerytowani wojskowi, np. byli marines czy komandosi z Navy SEALs. Przykładem może być SEALs on Security, które zatrudnia wyłącznie byłych sealsów, żołnierzy z dużym doświadczeniem z misji wojskowych, w trakcie których prowadzili operacje specjalne najwyższego ryzyka. Firma nie ma żadnych powiązań z armią amerykańską ani z rządem. Jakie usługi mogą świadczyć ekskomandosi? O tym mogą się dowiedzieć tylko osoby, które pozytywnie zweryfikowane przez firmę, dostaną zgodę na kontakt z SEALs on Security.

W Stanach Zjednoczonych, w Teksasie, od kilku lat działalność prowadzi także inna spółka, która zatrudnia byłych żołnierzy z Navy SEALs S.E.A.L. Security. Oprócz standardowej ochrony ludzi i mienia ma także ofertę specjalistyczną dla osób, które pracują w niebezpiecznych rejonach świata. Pracownicy firmy, korzystając z doświadczenia zdobytego w służbach specjalnych i marynarce wojennej, przekazują wiedzę, która w kryzysowych sytuacjach pozwoli im przeżyć. Dotyczy to np. osób pracujących na statkach handlowych. Kapitanowie i załogi takich jednostek morskich uczą się, jakie

SZCZEGÓŁY DOTYCZĄCE PROFESJONALNEGO SERE NIE POWINNY BYĆ UPOWSZECHNIANE, CHOĆBY DLATEGO, ŻE MAJĄ WPŁYW NA BEZ- PIECZEŃSTWO, A NAWET ŻYCIE ŻOŁNIERZY. CYWIL- LOM NIE MOŻNA ZASER- WOWAĆ TAKICH ZAJĘĆ JAK W ARMII

działania powinni podjąć, gdy dojdzie do ataku terrorystycznego lub pirackiego.

Dużym zaufaniem klientów cieszą się także firmy z Wielkiej Brytanii, które działają np. na terenie Pakistanu. Kilka z nich ma rekomendacje brytyjskiego rządu. Wśród nich jest np. Haris Enterprises Security, która od ponad 20 lat zapewnia ochronę pracownikom dużych korporacji, agencji rządowych, ambasad i organizacji humanitarnych. Siedzibę główną ma w Islamabadzie, ale jej placówki są rozlokowane w różnych miejscach kraju. Firma zapewnia nie tylko uzbrojonych ochroniarzy. Tworzy dla swojego klienta cały system bezpieczeństwa, szacują ryzyko, zapewniają ochronę w miejscu pracy i w podróży. Dysponują też pododdziałami tzw. szybkiego reagowania, których mogą użyć w sytuacjach kryzysowych.

OCHRONA PO POLSKU

A jak jest nad Wisłą? Firm, które oprócz zwykłej ochrony, oferują szkolenia i przygotowanie całego systemu bezpieczeństwa, w tym także gwarantują ewakuację ludzi z rejonów zagrożonych konfliktami zbrojnymi czy terroryzmem, jest niewiele. Jedną z nich, a może jedyną, jest SIS. Jej założyciele wyjaśniają, że budowanie systemu bezpieczeństwa to skomplikowana praca, która może potrwać nawet kilka miesięcy. „Podstawą

Mało kto potrafi dziś pracować na mapie bez GPS-u. Wydaje mi się, że taka nauka nawigacji sprawia kursantom dużą przyjemność”, mówi „Volf”.

jest analiza sytuacji w danym kraju. Przygotowujemy dokładne raporty dotyczące tego, jak wygląda kwestia bezpieczeństwa w konkretnym miejscu, a także prognozujemy, co się może wydarzyć”, wyjaśnia Andrzej, współwłaściciel SIS, również były specjals. Taka analiza powstaje na podstawie informacji, które pracownicy zdobywają od swoich źródeł, ale też z mediów społecznościowych. „Dla nas to niezwykle cenne źródło informacji. Kanały telewizyjne, media zawsze stają po czyjejś stronie. Relacja na Facebooku czy Instagramie daje nam natomiast czysty obraz tego, co się dzieje. Jego interpretacja jest już oczywiście zadaniem niełatwym i wymaga wiedzy o danym rejonie”, mówi Jacek. Przydają się doświadczenia z wojskowych misji poza granicami kraju, ale równie cenne są przyjaźnie i znajomości, które wówczas zostały zawiązane. „Nasi koledzy, byli żołnierze jednostek specjalnych z całego świata, prowadzą firmy o podobnym profilu jak nasza. Mamy niepisaną umowę, że w tej branży wszyscy możemy na siebie liczyć i często przekonujemy się, że to działa”, mówi Andrzej.

OCZY DOKOŁA GŁOWY

Kolejny krok to zbudowanie procedur bezpieczeństwa dla klienta. „Musimy poznać jego firmę i zasady jej funkcjonowania. Współpracujemy tylko z dużymi, wiarygodnymi podmiotami”, podkreśla Jacek. Najważniejszą zasadą bezpieczeństwa jest poznanie kraju, w którym chce się robić biznes. „Przygotowujemy ludzi na zderzenie z zupełnie inną kulturą. W niektórych krajach możesz sprowadzić na siebie kłopoty, np. pijąc alkohol lub próbując nawiązać kontakt z kobietą spacerującą ulicą. Proste zasady pozwalają ograniczyć sytuacje niebezpieczne”. Jacek i Andrzej zwracają też uwagę na zagrożenia przestępcze. „»Są takie miejsca na świecie, gdzie twój zegarek będzie wart więcej niż twoje życie«, tłumaczą naszym klientom. Nie warto pokazywać na ulicy telefonów komórkowych, biżuterii, zegarków, one mogą spowodować, że właściciel stanie się celem ataku”, mówi Jacek. Panowie uczą również, jak rozpoznawać symptomy, które świadczą o tym, że za chwilę wydarzy się coś niebezpiecznego. „Zalóżmy, że na ulicy, po której spacerujesz, zawsze bawią się dzieci. Jeśli któregoś dnia ich nie będzie, lepiej zrezygnuj ze spaceru. Może to być oznaka, że szykuje się tu coś niedobrego”, wyjaśnia Andrzej.

Specjalnie na potrzeby systemu bezpieczeństwa konkretnego klienta firma SIS organizuje tzw. centrum operacyjne, w którym pracują analitycy i tłumacze. Może też zatrudniać lokalny uzbrojony personel ochrony. „My sami nie możemy tego robić, ponieważ nie możemy wwieźć broni do krajów, w których działamy”, mówi Jacek. Firma zatrudnia więc miejscowych. „Zdarza się, że do ochrony wynajmujemy żołnierzy lub policjantów, bo w niektórych miejscach jest to legalne”, śmieje się Jacek.

W systemie bezpieczeństwa przygotowanym przez Jacka i Andrzeja znajduje się również element medyczny. Zagrożenia dla zdrowia w krajach afrykańskich czy Dalekiego Wschodu są zupełnie inne niż w Europie. To trujące rośliny, niebezpieczne zwierzęta, brudna woda czy zagrożenia klimatyczne. Gdzie znaleźć pomoc, gdy coś się stanie? „Szczególnie mówiąc, często nie ma co jej szukać na miejscu”, przyznaje Jacek. Specjalnie dla pracowników firmy są więc zatrudniani paramedycy, najczęściej byli żołnierze jednostek specjalnych, których zadaniem jest udzielanie pomocy medycznej aż do chwili, gdy poszkodowany zostanie przewieziony do placówki medycznej o akceptowalnym standardzie. Każdy pracownik jest przeszkolony pod kątem zagrożeń dotyczących zdrowia i otrzymuje świetnie wyposażoną apteczkę. Jeśli natomiast sprawa jest poważniejsza i ktoś wymaga specjalistycznego leczenia w szpitalu, firma organizuje ewakuację medyczną do najbliższego szpitala wyposażonego w odpowiedni sprzęt. Zdarza się, że znajduje się on za granicą. „Libia jest tu świetnym przykładem. Najbliższy dobrze wyposażony szpital znajduje się na Malcie. Żeby zadziałał system pomocy medycznej, musieliśmy mieć w gotowości samolot”, przyznaje Jacek. Opowieść o tym robi wrażenie, ale od razu przychodzi na myśl pytanie, ile to musi kosztować? „W grę wchodzi bardzo duże pieniądze. Ale czasami pewne zdarzenia mogą wyrzucić biznes do góry nogami, straty mogą być olbrzymie. Doświadczeni ludzie, którzy prowadzą potężne firmy, wiedzą, że nie opłaca się ryzykować”, tłumaczy Jacek.

Pracownikom firm korzystających z usług SIS grożą nie tylko choroby, lecz także przestępcy lub terroryści. Jaką zatem zastosować ochronę przed napadem czy porwaniem? Jak ewakuować, gdy w kraju lub danym regionie robi się naprawdę gorąco? Są specjalne algorytmy, według których powinny postępować osoby narażone na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. „Jest to seria czynności, które powinny wykonać, od nawiązania łączności np. z centrum operacyjnym w kraju poczynawszy. Muszą też postępować zgodnie z przyjętymi procedurami bezpieczeństwa”. Pracownicy firm, które współpracują z SIS, mają opracowane plany ewakuacyjne. „Tego typu operacje odbyły się już trzykrotnie, ze względu na bezpieczeństwo polskich pracowników lub interes firmy. Ewakuowaliśmy ludzi z Pakistanu, Libii i Sahary Zachodniej”, mówi Andrzej.

Fachowcy nie tylko uczą ludzi, jak przetrwać w niebezpiecznych regionach świata, ale przede wszystkim stwarzają im do tego odpowiednie warunki. Rekomendują, aby firmy, które działają lub chcą rozpocząć takie działania w krajach lub regionach o podwyższonym ryzyku, ubezpieczyły swoich pracowników od następstw nieszczęśliwych wypadków oraz, jeżeli zachodzi taka konieczność, od porwań i okupów. ■

WYPRACOWANIE
ODPOWIEDNICH
ROZWIĄZAŃ WYMA-
GAŁO WIELU DEKAD
DOŚWIADCZEŃ,
NAJCZĘŚCIEJ ZBIE-
RANYCH W DRA-
MATYCZNYCH
OKOLICZNOŚCIACH

Lekcja na całe życie

O prowadzonych za oceanem kursach SERE krążą legendy. Amerykanie służący w elitarnych jednostkach opowiadają, jak te szkolenia wyglądają naprawdę.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Wokół szkolenia SERE prowadzonego dla amerykańskich sił zbrojnych narosło wiele mitów, m.in. ze względu na jego częściowo tajny charakter. Podobno uczestnictwo w specjalistycznym kursie może być przyczyną zespołu stresu pourazowego lub psychozy. Niektórzy twierdzą nawet, że w szczególnych wypadkach instruktorzy mają przyzwolenie na łamanie kości. W rzeczywistości do ukończenia najwyższego poziomu SERE faktycznie niezbędne są szczególne predyspozycje psychofizyczne. Kurs nie został jednak wymyślony po to, żeby wyrządzić krzywdę uczestnikom.

„Każdy z etapów kładzie nacisk na inne umiejętności potrzebne za linią wroga. »Survival« oznacza m.in. samodzielne zdobywanie pożywienia oraz wody. Podczas części »Evasion« uczymy się maskowania oraz taktycznego przemieszczania. Etap »Resistance« polega na przetrwaniu przesłuchania i brutalnych tortur. »Escape« to umiejętność wydostania się z niewoli”. Według „Foxtrota Seven” przejście przez wszystkie cztery etapy nie zawsze oznacza koniec zmagania. Po ucieczce żołnierz musi o własnych siłach przedrzeć się do strefy, skąd zabierze go oddział ratunkowy.

„Foxtrot Seven” jest Polakiem, który służył w Dowództwie Operacji Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych (United States Army Special Operations Command – USASOC). Przez większość kariery był związany z wydziałem operacyjnym „Alpha” Zielonych Beretów (słynna ODA, której komandosi m.in. w 2001 roku prowadzili infiltrację Afganistanu przed wejściem regularnych sił NATO). Komandosa obowiązuje zachowanie poufności, dlatego o zajęciach SERE w armii Stanów Zjednoczonych może mówić w ograniczonym stop-

niu. „W czasie tego kursu testuje się naszą wytrzymałość, dlatego doświadczamy wielodniowego głodu oraz zmęczenia. W takich warunkach podejmujemy decyzje, które mogą decydować o życiu lub śmierci naszych przyjaciół”. Zdaniem Polaka trening ten jest niezbędny dla wszystkich osób, które przebywają w krajach podwyższonego ryzyka. W Stanach Zjednoczonych teraz jest to oczywiste, ale wypracowanie odpowiednich rozwiązań wymagało wielu dekad doświadczeń, najczęściej zbieranych w dramatycznych okolicznościach.

OPARTE NA FAKTACH

Ze względu na rozwój lotnictwa w czasie II wojny światowej piloci zapuszczali się coraz głębiej za linię frontu i byli bardziej narażeni na zestrzelenie. Ci, którzy tego doświadczyli i wrócili do swoich jednostek, zrzeszali się w klubach takich jak brytyjski The Late Arrivals Club. Tak jak pilot RAF-u Roy Veal, który po ucieczce z włoskiej niewoli tygodniami przedzierał się przez pustynię. Przeżył mimo braku wody i zabójczych różnic temperatur w ciągu doby. Żywił się owadami.

W MI9, czyli brytyjskim wywiadzie, już na początku wojny stwierdzono, że przygotowanie doświadczonych żołnierzy do takich sytuacji może być znacznie tańsze niż wyszkolenie nowych. Ideę tę rozwinął amerykański gen. Curtis LeMay, który w 1943 roku stworzył kurs przetrwania w warunkach arktycznych. Od tego czasu Amerykanie sukcesywnie rozbudowywali pierwotny program i rozwinęli zaplecze instruktorskie. W późniejszych latach korzystali z doświadczeń zdobytych w Korei oraz Wietnamie.

Kursy SERE w Stanach Zjednoczonych, podobnie jak w Polsce, organizuje się teraz na trzech



„Nasi instruktorzy wcielili się w rolę wrogich sił. Mieli nas dopaść oraz wycisnąć wszystkie informacje”, opowiada kpt. Daniel Liebetreu.

poziomach. Poziom A stanowi wprowadzenie i jest obowiązkowy dla wszystkich wojskowych. B jest przeznaczony dla jednostek liniowych oraz cywilów, którzy mają służyć poza granicami Stanów Zjednoczonych. C z kolei dotyczy tylko operatorów sił specjalnych, attaché wojskowych oraz pilotów i załóg lotniczych. Właśnie kurs na tym poziomie ukończył kpt. Daniel Liebetreu, instruktor śmigłowcowy AH-64 Apache. „Trzytygodniowy kurs SERE dla pilotów armii amerykańskiej odbywa się m.in. w Fort Rucker w Alabamie. Na początku musieliśmy przyswoić wiedzę teoretyczną obejmującą nawigację, samoratownictwo oraz survival. O zajęciach poświęconych zachowaniu się w niewoli mogę powiedzieć tylko tyle, że bazowały one na prawdziwych doświadczeniach. Tę wiedzę musieliśmy następnie zastosować podczas realistycznego scenariusza rozgrywającego się w okolicznych lasach. Nasi instruktorzy wcielili się w rolę wrogich sił. Mieli nas dopaść oraz wycisnąć z nas wszystkie informacje”, tłumaczy kpt. Liebetreu.

Ucieczka przed pościgiem wprowadza w stan, jakiego uczestnicy kursu wcześniej nie znali. Kapitan wspomina sytuację, kiedy jego drużyna zobaczyła mokasyna. Żołnierze głodowali od kilku dni, więc mimo niebezpieczeństwa postanowili zjeść węża. „Po upieczeniu mięsa w niewielkim ognisku doceniałem nawet najmniejszy kęs”, wspomina Liebetreu i opowiada o innym doświadczeniu, kiedy musieli przeczekać noc w gęstwinie lasu. Oficer pełniący wartę usłyszał szmery dochodzące z pobliskich zarośli. „Byłem pewien, że zostaliśmy odkryci przez grupę pościgową. Zobaczyłem zbliżające się w moją stronę powykęcane cienie. Martwiłem się, czy jesteśmy wystarczająco dobrze ukryci, ale jednocześnie zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie widzę światła latarek. Po chwili usłyszałem ruch tuż za moimi plecami. Byliśmy w pułapce”. Okazało się, że wojskowi rzeczywiście zostali otoczeni, ale nie przez wroga. „Jeden z cieni nagle przeciągle zawył. To były kojoty! Na szczęście zrezygnowały z polowania”.

SZEŚĆ ZASAD

Wielokrotnie pojawiały się kontrowersje wokół kursów SERE. Przez wiele lat szkolenie pilotów zawierało elementy związane z napaścią seksualną. Motywowano to doświadczeniami zdobytymi podczas „Pustynnej burzy”. Po wielu skargach jednak zaniechano tego elementu szkolenia. Pojawiały się też raporty oskarżające służby o wykorzystywanie technik SERE po zatrzymaniu bojowników. Faktem jest, że podczas ostatniej fazy szkolenia uczestnicy muszą wytrzymywać bardzo realistycznie prowadzone przesłuchania, w trakcie których cierpią z powodu braku snu, poniżenia oraz hałasu. „Wyobraź sobie, że zostajesz zamknięty w drewnianym pudle. Jego wymiary nie pozwalają ci na jakikolwiek ruch. Siedzisz w nim

SYMBOL



Na odznacze SERE (Survival, Evasion, Resistance, Escape) amerykańskiej marynarki wojennej umieszczono chiński znak oznaczający tygrysa. Jest to bezpośrednie nawiązanie do sentencji „Tu żyją smoki/tygrysy”, którą umieszczano na średniowiecznych mapach jako ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem i niezbadanymi terytoriami. ■

minuty, może godziny, nieskończoność. Wokół słyszysz krzyki innych więźniów oraz strażników. Starsz się zachować spokój i myśleć o czymś ciepłym, o żonie, dzieciach. O czymś, co pozwoli ci wytrwać”, opowiada „Foxtrot Seven”. Bez tej części zajęć nie da się jednak w pełni symulować okoliczności, do których przygotowuje się żołnierzy. Wojskowi w takich sytuacjach muszą stosować się do specjalnego kodeksu postępowania (Code of Conduct). Składające się na niego sześć punktów zobowiązuje do zachowania wierności względem ojczyzny i gotowości do poświęcenia życia w jej obronie. Zgodnie z nimi żaden z żołnierzy nie podda się z własnej woli oraz nie zmusi do poddania reszty członków swo-

jego oddziału. W razie schwytania będzie stawiał opór, współpracował ze współwięźniami i wykorzysta każdą okazję do ucieczki. Wreszcie najważniejsze – podczas przesłuchań ujawni tylko swoje nazwisko, stopień, numer identyfikacyjny oraz datę urodzenia.

W warunkach takich, jak te stwarzane podczas szkolenia, przestrzeganie kodeksu jest bardzo trudne. Mimo wszystko to nie przesłuchania zapadają w pamięć uczestnikom najbardziej, ale inny moment – wyzwolenie. „Do dziś pamiętam moment wzniesienia amerykańskiej flagi. Oznaczało to koniec niewoli. Przeżyliśmy bardzo trudne chwile, które uświadomiły nam, że to tylko promień doświadczeń, jakie są udziałem więźniów w prawdziwych sytuacjach”, dodaje komandos.

Obaj rozmówcy podkreślają, że dzięki szkoleniom SERE inaczej patrzą na przygotowanie się do wykonywania zadań. Wiedzą, co może się okazać niezbędne podczas ewentualnej izolacji i jak będą się zachowywać ich koledzy. Według kpt. Daniela Liebetreu to właśnie kontynuowanie współpracy w czteroosobowym zespole, pomimo zmęczenia, głodu i ciągłego pozostawania w ruchu, było najbardziej wymagającym elementem szkolenia. Są to umiejętności, które mają wpływ nie tylko na służbę. „Świadomość, że potrafisz przetrwać za linią wroga, daje mi spokój. To lekcja na całe życie, ale dzięki Bogu nie powtarzałem jej w rzeczywistości”.

Ostatnie lata pokazały, że żołnierze muszą być przygotowani na niespodziewane zdarzenia. Podczas styczniowych zamachów w Nairobi jeden z operatorów SAS przejął inicjatywę i z pomocą lokalnych oddziałów uratował wielu ludzi. Pomogły mu w tym umiejętności, które są wypadkową doświadczenia oraz wszystkich przebytych szkoleń, także SERE. „Foxtrot Seven” przeżył takie sytuacje. „Zdarzały się momenty, w których byłem śledzony lub przesłuchiwany. Wtedy korzystałem z metod poznanych na kursie. Trzeba pamiętać, że nawet zwykła impreza niespodziewanie może zamienić się w horror. SERE to specjalistyczna szkoła dla elitarnych jednostek komandosów, ale w obecnych czasach każda osoba powinna być wyculona na wszystko, co się dzieje wokół niej”. ■



HSW



PGZ



155 mm samobieźna haubica **KRAB**

www.hsw.pl



W survivalu trzeba jak najdłużej utrzymać się przy życiu, a w SERE – przeżyć na terenie kontrolowanym przez przeciwnika.

ABC PRZETRWANIA

SERE w polskim wojsku na dobre zagościło po wstąpieniu naszego kraju do NATO. Dopiero jednak misje wojskowe w Iraku i Afganistanie pokazały, że żołnierze muszą wiedzieć, jak przetrwać z dala od wojsk własnych na terenie kontrolowanym przez przeciwnika.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK, EWA KORSĄK

Kursy SERE (akronim od angielskich słów: Survival, Evasion, Resistance, Escape) nie są w polskich siłach zbrojnych niczym nowym. Przynajmniej od dekady w armii obowiązują dokumenty stanowiące o konieczności organizowania tego typu zajęć, o zasadach ich przeprowadzania i metodach kwalifikowania żołnierzy na poszczególne poziomy kursów. Ciągłe jednak się zdarza, że ktoś kompletnie nie rozumie, na czym polega to szkolenie i myli np. SERE z survivaliem. „Jeśli ktoś ma problemy z odróżnieniem tych dwóch kwestii, to lepiej niech się nie przyznaje”, mówi jeden z instruktorów SERE w wojskach specjalnych i dodaje: „Mówiąc najprościej, w survivalu chodzi o to, by jak

najdłużej utrzymać się przy życiu. A w SERE, by jak najdłużej przeżyć na terenie kontrolowanym przez przeciwnika, przetrwać w niewoli tak długo, aż ktoś nas uratuje”.

POZNAŃ WYZNACZA KIERUNEK

Impulsem do stworzenia systemu szkolenia SERE w Wojsku Polskim było wstąpienie do Sojuszu Północnoatlantyckiego. Polska musiała dostosować się do obowiązujących w NATO przepisów i doktryn, ale przymiarki do opracowania narodowej instrukcji w tej dziedzinie trwały kilka lat. Oczywiście, nie oznacza to, że polska armia w ogóle nie szkoliła się w takiej tematyce. „W czasie zajęć z rozpoznania czy taktyki żołnierzy

uczono głównie bytowania i przetrwania. Tymczasem szkolenie SERE zakłada, że żołnierz najczęściej działa samotnie, walczy o przetrwanie w izolacji od swojego pododdziału, ale jego główne zadanie to realizowanie założonego planu unikania i stosowania technik oraz procedur przeznaczonych dla izolowanego personelu”, mówi mjr Jacek Kaczmarzyk, kierownik Cyklu Rozpoznania w poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. „Jednym z elementów szkolenia SERE jest przeciwdziałanie wykorzystaniu przez przeciwnika. Oznacza to, że musimy nauczyć personel wojskowy, jak ma się zachować, gdy trafi do niewoli. Co zrobić, by przeżyć, by nie obniżyć swojej kondycji, zachować siły fizyczne i psychiczne oraz by zminimalizować uszczerbek na zdrowiu do momentu oswobodzenia przez wojska własne”, dodaje mjr Kaczmarzyk.

Oczekiwany przez wojskowych dokument, stanowiący o SERE i odzyskiwaniu personelu wojskowego, opracowano w Ministerstwie Obrony Narodowej w sierpniu 2009 roku. Miesiąc później ówczesny szef Sztabu Generalnego gen. Franciszek Gągor zatwierdził „Koncepcję szkolenia personelu wojskowego Sił Zbrojnych RP narażonego na izolację”. Jej treść w dużej mierze była oparta na natowskich wytycznych. Znalazł się tam przede wszystkim zapis o tym, że szkolenia SERE obowiązkowo musi przejść personel (żołnierze i cywile), który z racji wykonywanych zadań może oddzielić się od wojsk własnych. Koncepcja zawierała także wskazówki dotyczące szkoleń, aby były one maksymalnie zbliżone do tych, które odbywają się w innych krajach natowskich. Podzielono przy tym SERE na trzy poziomy: A – podstawowy, B – średniozaawansowany, C – zaawansowany. „Szkolenia na poziomie A były przeznaczone dla całego personelu. B dla tych, którzy są narażeni na niebezpieczeństwo w średnim stopniu. C dla osób, u których ryzyko wystąpienia izolacji jest największe”, tłumaczy kierownik Cyklu Rozpoznania.

TRZY POZIOMY SZKOLENIA

Na przełomie 2009 i 2010 roku w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu, jako pierwszej placówce w Polsce, rozpoczęto szkolenie SERE. Z czasem takie programy nauczania uruchomiono jeszcze w trzech innych placówkach: Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Uście, Wojskowym Ośrodku Szkolenia Kondycyjnego w Zakopanem i w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie. „U nas Cykl Szkolenia SERE powstał w 2012 roku, a już od początku 2013 rozpoczęły się pierwsze kursy”, mówi mjr Wiesław Wiśniewski, kierownik tego cyklu w CSSP. Teraz kursy na poziomie A i B

prowadzą wszystkie cztery ośrodki szkoleniowe, a na poziomie C – tylko Poznań i Koszalin.

Kto trafia na szkolenia SERE? Mjr Wiśniewski z Centrum Szkolenia Sił Powietrznych wyjaśnia, że w armii opracowano metodykę kwalifikowania żołnierzy na kursy o różnym stopniu zaawansowania. „Obowiązkowo wszyscy w wojsku muszą zaliczyć kurs podstawowy, czyli na poziomie A, ale o tym, kto zdobędzie wiedzę na poziomach średniozaawansowanym i zaawansowanym, decydują już np. miejsce służby czy wykonywane przez żołnierza zadania”, tłumaczy oficer. Na kursy średniozaawansowane trafiają wszyscy żołnierze, którzy przygotowują się do wyjazdu na misje wojskowe. Na tym poziomie szkolą się także wojskowi, którzy choć stacjonują w Polsce, to pełnią dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO (NATO Response Force).

Do szkolenia SERE na poziomie C przystępują także żołnierze kierowani na misje, którzy mają w perspektywie służbę w siłach szybkiego reagowania (Quick Reaction Force, QRF) lub zespołach łącznikowo-monitorujących. Bez wyjątków SERE C dotyczy także personelu latającego, czyli pilotów, nawigatorów, techników i strzelców pokładowych. I wreszcie, objęci są nim żołnierze wojsk specjalnych, którzy z racji specyfiki swojego działania – w małych grupach i daleko od wojsk własnych – są szczególnie narażeni na izolację. Tego rodzaju umiejętności muszą mieć również żołnierze, którzy chcą zdobyć uprawnienia instruktorskie w tej dziedzinie.

„Szkolenie podstawowe obejmuje wyłącznie zajęcia teoretyczne. W czasie dziewięciu godzin żołnierze i pracownicy wojska, którzy na czas W mają przydzielone zadania, dowiadują się o zasadach funkcjonowania systemu odzyskiwania personelu. Mówimy o tym, czym jest izolacja od wojsk własnych, na czym polega idea tego szkolenia”, tłumaczy mjr Kaczmarzyk z CSWL w Poznaniu.

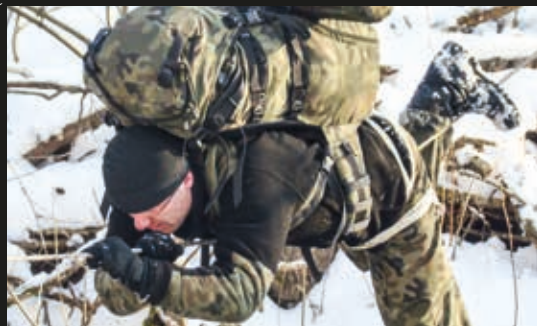
W 2015 roku odbyło się spotkanie, w którym uczestniczyli przedstawiciele ośrodków szkolenia zajmujących się SERE. Wtedy też ujednolicono program nauki dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych (do 2015 roku były różnice m.in. w szkoleniu lotników i marynarzy). Zdecydowano wówczas, że kurs B, który może być prowadzony w centrach lub jednostkach wojskowych, musi trwać 73 godziny szkoleniowe. Z tego dziesięć godzin zajmują zajęcia teoretyczne, 63 godziny są przeznaczone na praktykę, a ostatnie 48 godzin kursanci działają w terenie. „Główne tematy na poziomie B to przetrwanie, unikanie, przeciwdziałanie wykorzystaniu przez przeciwnika i działanie na terenie przez niego kontrolowanym. Prowadzimy kursy na terenach cywilnych, co jest dla kursantów dodatkowym

W DŻUNGLI MIASTA

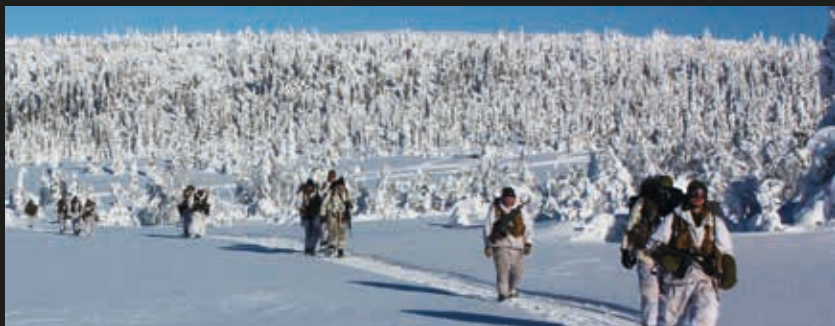
Kilku polskich żołnierzy wojsk specjalnych wzięło udział w wyjątkowym kursie SERE w USA, którego celem było przetrwanie w mieście. O szczegółach szkolenia specjaliści nie mogą opowiadać. Wiadomo jednak, że żołnierze operowali w terenie zurbanizowanym, kontrolowanym przez przeciwnika. Musieli się poruszać po ulicach przez nikogo niezauważeni, jak najbardziej upodobnić się do mieszkańców, by w końcu dotrzeć do miejsca, w którym mogli zostać ewakuowani przez własne wojska. Podczas działania byli zdani wyłącznie na siebie. Ubrań oraz jedzenia szukali np. w śmietnikach. Musieli się też wykazać znakomitą znajomością terenu.



Główne tematy na poziomie B to przetrwanie, unikanie, przeciwdziałanie wykorzystaniu przez przeciwnika i działanie na terenie przez niego kontrolowanym. Dodatkowym utrudnieniem jest szkolenie na terenach cywilnych, bo kursanci muszą wystrzegać się osób postronnych.



Zanim rozpocznie się kurs na poziomie C, żołnierze muszą przejść test kwalifikacyjny. Sprawdzana jest między innymi ich kondycja podczas biegu na dystansie 7 km w umundurowaniu i z obciążeniem.



utrudnieniem, bo muszą wystrzegać się osób postronnych. By utrudnić im zadanie, angażujemy także siły pościgowe z psami i bezzałogowce”, mówi mjr Wiśniewski.

Kurs SERE dla osób najbardziej narażonych na izolację trwa 282 godziny, z tego tylko 11 jest przeznaczonych na teorię. Podczas SERE C żołnierze muszą działać przez dziewięć dób w terenie, spędzają także 24 godziny w niewoli. Wykładowcy z centrów szkolenia uzupełniają, że zanim rozpocznie się kurs na poziomie C, żołnierze muszą przejść test kwalifikacyjny. Sprawdzana jest ich kondycja podczas biegu na dystansie 7 km w umundurowaniu i z obciążeniem (dla personelu latającego 5 kg, a dla pozostałych żołnierzy 20 kg). Kursanci muszą także utrzymać się na powierzchni wody przez dziesięć minut, następnie przepłynąć 200 m dowolnym stylem.

„Musimy być pewni, że osoby rozpoczynające szkolenie są w dobrej formie. Tu nie ma miejsca na niedouczenie czy żarty. Żołnierze mają spędzić dziewięć dni i nocy w terenie. Muszą wiedzieć, jak pozyskiwać wodę, jedzenie. Jak dbać o swoje zdrowie, by się np. nie odwozić czy nie nabawić odmrożeń”, mówi kierownik Cyklu SERE z Koszalina. Jednym z trudniejszych etapów na poziomie C jest 24-godzinne przetrzymywanie

nie żołnierza w niewoli. Instruktorzy nie chcą na ten temat dużo mówić, przyznają jednak, że warunki, w jakich spędzają czas żołnierze, są dalekie od komfortowych.

Kursy SERE wyczerpują nie tylko fizycznie, lecz także psychicznie, więc wymagają zaangażowania psychologów. Po pierwsze, prowadzą oni zajęcia dotyczące psychologicznych aspektów izolacji, po drugie, dają kursantom wsparcie, po trzecie, monitorują ich zachowania. „Dzieje się tak zwłaszcza na kursie SERE C. Dzięki obserwowaniu żołnierza podczas całego szkolenia, wiemy, w jaki sposób zachowuje się w niekorzystnych warunkach środowiska, gdy jest zmęczony i spragniony”, mówi Aleksandra Grąbczewska, psycholog w Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie, i dodaje: „Obniżona jest jego sprawność fizyczna i psychiczna. Widzimy, czy izolowany wciąż jest w stanie walczyć o przetrwanie, czy radzi sobie w sytuacji oddziaływania psychologicznego przeciwnika w trakcie uwięzienia”. Po zakończonym kursie żołnierze chętnie też słuchają tego, co psychologowie mają do powiedzenia o ich zachowaniu. „Są bardzo ciekawi, bo nie zdają sobie sprawy z tego, jak działają w skrajnych sytuacjach”, mówi Aleksandra Grąbczewska.

NAUCZYCIEL ŻYCIA

PIERWSZYMI INSTRUKTORAMI ZOSTALI
ŻOŁNIERZE Z CENTRÓW SZKOLENIA.

**NAJCZĘŚCIEJ BYLI WYBIERANI SPOŚRÓD
ZWIADOWCÓW, W CENIE BYŁO TAKŻE
DOŚWIADCZENIE MISYJNE.**

Zanim jednak zajęli się dydaktyką, sami przechodzili szkolenia na poziomach A, B, C oraz na kursach instruktorskich. Często ich zajęcia nadzorowali instruktorzy z jednostek specjalnych. Szkoleniowcy podnoszą swoje kwalifikacje również na ćwiczeniach międzynarodowych oraz kursach zagranicznych organizowanych w natow-

skich ośrodkach szkolenia SERE, m.in. w Norwegii, Szwecji czy Stanach Zjednoczonych.

Cykl Rozpoznania w Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu to jedyne ośrodki w polskiej armii, który szkoli instruktorów SERE na poziomie podstawowym i zaawansowanym. Kursy dla instruktorów są dwuetapowe. Pierwsza

część odbywa się latem i trwa trzy tygodnie. Druga część, również trzytygodniowa, jest prowadzona zimą. Zanim jednak rozpocznie się nauka, kursanci muszą zdać test sprawnościowy i psychologiczny.

Kurs instruktorów zaawansowanych jest prowadzony w górach. Składa się on z czterech etapów: wstępnego, działania w wodach górskich, w środowisku jaskiniowym oraz w terenach śnieżno-lawinowych.

Każdego roku kursy instruktorskie kończy w Poznaniu około 20 osób, a w armii mamy ponad 160 certyfikowanych instruktorów. Dotychczas uprawnienia instruktorskie w dziedzinie SERE otrzymały tylko trzy kobiety. ■

TU NIE MA MIEJSCA NA NIEDOUCZENIE CZY ŻARTY. ŻOŁNIERZE MAJĄ SPĘDZIĆ DZIEWIĘĆ DNI I NOCY W TERENIE

Psychologowie obserwują również instruktorów. „Nie mają łatwego zadania, wcielają się w role oprawców. Monitorujemy ich zachowanie, by nie zostały przekroczone pewne granice, zwracamy uwagę, jeśli ich działania są zbyt intensywne”, wyjaśnia psycholog. I to, jak twierdzą specjaliści, jest jednym z najważniejszych zadań psychologa oprócz obserwacji kursantów. Mają wspomóc odreagowanie emocjonalne instruktorów, którzy brali udział w bardzo obciążającym ćwiczeniu 24-godzinnej symulowanej przetrzymywania.

WYŻSZA SZKOŁA JAZDY

Szkoleniowcy wojskowi przyznają, że zajęcia SERE w niektórych jednostkach są traktowane po macoszemu. „To bardzo wymagające szkolenie, ale nie jest tak spektakularne i efektowne, jak np. strzelanie czołgów. Tu żołnierze walczą o przetrwanie, unikają przeciwnika, co trudno pokazać”, mówi instruktor. Kursy SERE bardzo wysoko oceniają natomiast ci dowódcy, którzy na własnej skórze doświadczyli tego trudu i przeszli kursy SERE VIP – na poziomie B i C – przeznaczone dla oficerów od stopnia pułkownika w górę.

Instruktorzy przyznają również, że choć tego rodzaju zajęcia są prowadzone od dekady, to ich programy są ciągle modyfikowane. Przyznają też, że brakuje rozwiązań systemowych dotyczących szkolenia personelu wojskowego narażonego na izolację. Jednostki wojskowe nie mają np. etatów dla instruktorów SERE, a szkoleniowcy z centrów i ośrodków czekają na wyposażenie w sprzęt specjalistyczny, taki jak np. pojazdy terenowe i quady, umożliwiające poruszanie się w trudnym terenie, czy sprzęt łączności. Instruktorzy przyznają jednocześnie, że rozważane są nowe pomysły, np. dotyczące kursów SERE organizowanych w mieście. Takie szkolenia są prowadzone np. w Stanach Zjednoczonych i ukończyło je kilku żołnierzy wojsk specjalnych. Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie sygnalizuje z kolei, że opracowano program szkolenia z bytowania na otwartym morzu. Uczestniczyć w nim mieliby przede wszystkim lotnicy. Mjr Kaczmarzyk przygotował już wymagania dotyczące budynku, w którym żołnierze będą się szkolić z przeciwdziałania wykorzystaniu. Będzie to specjalnie przygotowane miejsce z systemem monitorującym, co umożliwi całodobową obserwację „przetrzymywanych” oraz instruktorów prowadzących takie szkolenia. ■

Halę można zamknąć, a na basenie uruchomić urządzenia wytwarzające fale, deszcz czy wiatr. Temperatura wody przekracza co prawda 20°C, ale nawet w takich warunkach organizm po pewnym czasie zaczyna się wychładzać.

PRZEŻYĆ NA FALI

Wydostać się z zalanego śmigłowca, wypiąć z ciągniętego po morzu spadochronu, wejść z wody na kilkumetrową rampę pomimo ciemności, deszczu i wiatru. Taki sprawdzian zaliczają uczestnicy kursów SERE w wojskowym ośrodku szkolenia nurków i pływaczów.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

WOJCIECH KAWCZYŃSKI/OSNIP

SZKOLENIA SERE DLA VIP-ÓW MUSZĄ ZALICZYĆ WSZYSTCY ŻOŁNIERZE OD STOPNIA PUŁKOWNI- KA WZWYŻ

Kabina śmigłowca wpada do basenu i w błyskawicznym tempie zaczyna tonąć. Siedzący w niej żołnierze mają kilka sekund, by nabrać powietrza do płuc i przyjąć bezpieczną pozycję – głowa opuszczona na pierś, ręce skrzyżowane, kciuki zatknięte za pasy bezpieczeństwa. Kabina za moment obróci się do góry dnem, a oni będą musieli wypiąć się z fotela, barkiem wypchnąć drzwi i wypłynąć na powierzchnię. Łatwo powiedzieć, trudniej to zrobić, kiedy błędnik szaleje, woda wdziera się do oczu i nosa, a już po chwili nie ma czym oddychać.

Tak wygląda trening na symulatorze METS. Imituje on kabinę śmigłowca Anakonda i jest jedną z wizytówek Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego w Gdyni (OSNiP). Od niedawna jest wykorzystywany podczas szkoleń SERE (Survival, Evasion, Resistance, Escape, czyli przetrwanie, unikanie wroga, opór w niewoli oraz ucieczka).

VIP W MORZU

Kurs SERE przygotowuje żołnierzy do przetrwania w ekstremalnie trudnych warunkach. Został podzielony na trzy stopnie: A, B i C. Ostatni oznacza najwyższy poziom trudności. W ten sposób szkolą się operatorzy wojsk specjalnych oraz lotnicy, którzy są szczególnie narażeni na zestrzelenie nad terytorium nieprzyjaciela. „Od kilku lat uczestnicy kursów trafiają również do nas. Przez jeden dzień uczą się, jak przetrwać po katastrofie na morzu”, tłumaczy kmdr por. Robert Szymaniuk, komendant OSNiP-u.

Gdyński ośrodek jest jedną z najnowocześniejszych placówek w Europie. Z jego usług korzystają żołnierze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Instruktorzy prowadzą kursy dla adeptów wszelkich nurkowych stopni i specjalizacji. Kształcą specjalistów od ratownictwa, inżynierii, wojny minowej. Do tego dochodzą szkolenia dla podwodniaków, załóg okrętów nawodnych i personelu lotniczego. Pierwsi trenują ewakuację z zatopionego okrętu podwodnego. Drudzy i trzeci, podobnie jak uczestnicy SERE, techniki samoratownia na morzu.

„Kursy SERE organizuje kilka ośrodków w kraju. My współpracujemy z Centrum Szkolenia Sił Powietrznych w Koszalinie i Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Uście”, wyjaśnia kmdr por. Szymaniuk. Koszalińska jednostka przysyła do Gdyni kursantów z poziomu C. „Mamy grupy składające się wyłącznie z personelu latającego: pilotów, nawigatorów czy techników pokładowych, które przechodzą kurs dwutygodniowy, oraz tworzone przez żołnierzy z różnych rodzajów sił

zbrojnych. W ich wypadku zajęcia trwają trzy tygodnie”, tłumaczy mjr Wiesław Wiśniewski, kierownik cyklu SERE w koszalińskiej jednostce. „Szkolenie w OSNiP-ie przechodzą jednak wszyscy. Dla lotników wiąże się ono z utrwaleniem nabytych już wcześniej umiejętności, dla przedstawicieli wojsk lądowych to często nowość. Tym bardziej jednak warto zaliczyć takie zajęcia, bo przecież żołnierz powinien być przygotowany na każdą ewentualność”, dodaje.

Z Centrum Szkolenia MW trafiają do Gdyni uczestnicy kursu SERE na poziomie B i C, tyle że w skróconej wersji dla VIP-ów. „Szkolenia tego typu są adresowane do wszystkich żołnierzy naszej armii od stopnia pułkownika wzwyż”, tłumaczy kmdr ppor. Tomasz Kraśnik

z usteckiej jednostki. „W ich wypadku zajęcia z samoratownia na wodzie mają znaczenie fundamentalne. Wysocy rangą wojskowi często podróżują na pokładzie samolotu czy śmigłowca. Łatwo sobie wyobrazić, że przemieszczają się w ten sposób nad obszarem kontrolowanym przez nieprzyjaciela i zostają tam zestrzeleni. Jeśli spadną na ziemię, ich szanse na przeżycie są minimalne. Znacząco rosną, jeżeli znajdą się w wodzie – czy to morzu, czy jeziorze. Tyle że muszą wiedzieć, jak się wówczas zachować. A zajęcia w OSNiP-ie dają szansę, by takie umiejętności opanować”.

SZTORM W BASENIE

Basen robi wrażenie nawet wówczas, gdy stanie się na jego brzegu. Wystarczy podejść do krawędzi i spojrzeć w dół. Pod stopami otwiera się przestrzeń, jakiej nie zobaczymy ani na standardowej pływalni, ani na jeziorze, ani nawet w Bałtyku. Albo jest tam płycej, albo mała przejrzystość wody zamyka nam widok. A tu możemy sobie obejrzeć logo OSNiP-u na dnie, dokładnie 10 m niżej. To właśnie tutaj, w głównej hali gdyńskiego ośrodka, są prowadzone zajęcia w ramach SERE.

„Grupy liczą maksymalnie 12 osób, a kursanci spędzają w wodzie około sześciu godzin”, informuje kpt. mar. Patryk Kiedrowski, jeden z instruktorów prowadzących zajęcia. Już samo to jest nie lada wyzwaniem. Temperatura w basenie przekracza co prawda 20°C, ale nawet w takich warunkach organizm po pewnym czasie zaczyna się wychładzać. Dyskomfort jest tym większy, że żołnierze mają na sobie połowe mundury bądź kombinezony lotnicze. A przecież to zaledwie szczegół.

„Zajęcia rozpoczynamy od krótkiego szkolenia teoretycznego, instruktażu związanego z użyciem sprzętu i zasadami bezpieczeństwa”, wyjaśnia kpt. mar. Kiedrowski. Po 45-minutowym wstępie kursanci wskakują do basenu. Rusza praktyczna



ŻOŁNIERZE ĆWICZĄ W WARUNKACH JAK NAJBARDZIEJ ZBLIŻONYCH DO TYCH, W KTÓRYCH MOGĄ SIĘ ZNALEŻĆ PODCZAS KATASTROFY NA MORZU

część szkolenia. „Program różni się nieco w zależności od grupy. Wiele elementów pozostaje jednak wspólnych”, tłumaczy instruktor. Przede wszystkim żołnierze muszą odpowiednio przygotować tratwę ratunkową i zająć w niej miejsce. „Organizatorzy SERE z Ustki wołają, by kursanci korzystali z tratwy dużej, sześćcioosobowej. Koszalin preferuje jednoosobowe, które znajdują się w wyposażeniu pilotów. Zasady korzystania z nich są jednak zbliżone”, zaznacza kpt. mar. Kiedrowski. Każdą z nich trzeba obrócić, dopompuwać, do tego wczółgać się na nią wprost z wody. Zadanie niełatwe, zważywszy, że tratwa nie stoi w miejscu. Tymczasem instruktorzy mają narzędzia, by te warunki jeszcze utrudnić. „Halę można zaciemnić, a na basenie uruchomić urządzenia wytwarzające fale, deszcz czy wiatr. Chodzi o to, by żołnierze ćwiczyli w warunkach jak najbardziej zbliżonych do tych, w których mogą się znaleźć podczas katastrofy na morzu”, tłumaczy kpt. mar. Kiedrowski.

W programie jest też wspinaczka na rampę wysoką na 4,5 m. Kursanci na jej szczyt dostają się po specjalnej sieci oraz szstormtrapie, czyli drabinie wykonanej z lin i deseczek, która kołysze się i kręci na wszystkie strony. A kiedy już żołnierze staną na górze, muszą skoczyć z powrotem do basenu. Niby wysokość niezbyt duża, ale jeśli doda się do tego 10 m od lustra wody do dna, ciemność i fale, to wygląda to zupełnie inaczej. Do wyobraźni przemawia też świecąca dioda, którą kursant dostaje do ręki. To w razie, gdyby nie wypłynął. Ratownikowi łatwiej będzie go zlokalizować.

Idźmy jednak dalej. Uczestnicy kursów SERE ćwiczą posługiwanie się lotniczym aparatem ucieczkowym (LAU), czy-

li niewielką butlą z ustnikiem. Obsługa tego urządzenia wydaje się stosunkowo prosta. No chyba, że trzeba go użyć pod wodą, przyjmując pozycję głową w dół. Kursanci przysłani z Koszalina muszą się też odpowiednio wcześniej wypiąć ze spadochronu ciągniętego po powierzchni basenu. W realnych warunkach w momencie lądowania może on zostać porwany przez wiatr. Jeśli skoczek straci nad nim kontrolę, zagrożone będzie jego życie. Wystarczy, że zaplące się w linki i zostanie nakryty czaszą. Żołnierze z kursu dla VIP-ów tego elementu nie ćwiczą.

„Jest mało prawdopodobne, by podczas awarii samolotu czy śmigłowca mieli okazję skakać ze spadochronem. Doszliśmy do wniosku, że w ich wypadku znacznie przydatniejsza będzie umiejętność wydostania się z tonącej maszyny”, stwierdza kmdr ppor. Kraśnik. A symulator METS jest do takiego treningu idealny. Jeden z uczestników kursu SERE dla VIP-ów kmdr Albert Figat, dowódca Dywizjonu Okrętów Wsparcia 3 Flotylli, podkreślał, że jeśli chodzi o zajęcia w OSNiP-ie, to właśnie ten element był najtrudniejszy. „To zawsze robi duże wrażenie”, mówił. „Zresztą cały kurs został naprawdę dobrze przygotowany. Stopień realizmu był bardzo duży. Podczas takich zajęć człowiek może się naprawdę mnóstwo dowiedzieć o sobie i swoich słabościach”.

Aby ukończyć szkolenie w OSNiP-ie, żołnierze muszą pomyślnie zaliczyć jego poszczególne elementy. Jest to warunek niezbędny do tego, by przystąpić do kolejnych etapów kursu SERE. „Zdarzały się osoby, które nie zdołały przebrnąć przez sprawdzian, ale to były naprawdę sporadyczne przypadki”, przyznaje kpt. mar. Kiedrowski. ■

Zrób kolejny krok w swojej karierze

Amazon poszukuje talentów
także wśród byłych wojskowych.



Dowiedz się więcej na:
amazon.jobs



ARMIA

/ WOJSKA SPECJALNE



W ROLI LIDERA

Operatorzy zespołów bojowych w wojskach specjalnych, którzy chcą zostać kapralami, muszą ukończyć kurs podoficerski. Nie uczą się jednak przez sześć miesięcy, jak ich koledzy z jednostek lądowych. W szkole podoficerskiej spędzają cztery tygodnie.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

IREK DOROŻAŃSKI



W

ojska specjalne w Polsce nie mają odpowiedniej placówki, w której żołnierze tego rodzaju sił zbrojnych mogliby podnosić swoje kwalifikacje. Od kilku lat mówi się co prawda o utworzeniu centrum szkolenia, ale

żadne wiążące decyzje w tej sprawie nie zapadły. Ministerstwo Obrony Narodowej wyjaśnia jednak, że system kształcenia specjalsów powinien zostać zmodyfikowany. „Po analizie przeprowadzonej w Dowództwie Komponentu Wojsk Specjalnych postanowiono usprawnić system kształcenia i szkolenia żołnierzy tak, by racjonalniej wykorzystać zasoby ludzkie i finansowe”, informuje resort. Przedstawiciele MON-u przyznają jednocześnie, że proces szkolenia i kształcenia zawodowego żołnierzy wojsk specjalnych jest rozproszony. „Opiera się na potencjale jednostek specjalnych oraz centrów szkolenia wojsk konwencjonalnych – wojsk lądowych w Poznaniu i marynarki wojennej w Ustce. Ponadto żołnierze szkolą się na kursach specjalistycznych w kraju i za granicą”, wyjaśnia MON. W Ustce najczęściej szkolą się żołnierze z Formozy lub z wodnego oddziału GROM-u. W poznańskiej Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych kursy przechodzą zaś specjaliści z GROM-u, Jednostki Wojskowej Komandosów, Agatu, i Nila.

EKSPRESOWE TEMPO

Kursy podoficerskie dla specjalsów są znacznie krótsze niż te, które kończą żołnierze z innych rodzajów wojsk. Kandydaci na kaprali z wojsk lądowych szkolą się przez pół roku, w tym mają trzy miesiące kształcenia ogólnego i trzy specjalistycznego. Ci z zespołów bojowych wojsk specjalnych z kolei całość zaliczają w cztery tygodnie. Skąd taka różnica? „Przychodzą do nas żołnierze, którzy wcześniej ukończyli w swoich jednostkach szkolenie bazowe. Jest to więc starannie wyselekcjonowana grupa ludzi. Trafiają tu najlepsi z najlepszych. Ich przygotowanie bojowe i taktyczne plasuje tych żołnierzy wysoko ponad przeciętną, dlatego przy-

gotowano dla nich skrócony program kursu podoficerskiego. Po prostu nie ma sensu prowadzić z nimi zajęć z taktyki czy treningów strzeleckich – oni już to doskonale potrafią”, przyznaje st. chor. Tomasz Dawidziuk, podoficer sekcji szkolenia SPWL. Warto jednak podkreślić, że na miesięczne kursy podoficerskie mogą się dostać wyłącznie żołnierze, którzy w przyszłości mają służyć jako podoficerowie operatorzy w bojówce. Szeregowi wojsk specjalnych z pododdziałów zabezpieczenia, logistyki czy pionu szkolenia przechodzą standardowe, sześciomiesięczne kursy, tak samo jak ich koledzy z pozostałych rodzajów sił zbrojnych.

W zespołach bojowych, w zależności od jednostki, służą oficerowie, podoficerowie i szeregowi, ale np. w Jednostce Wojskowej Komandosów żołnierze najniższego korpusu nie znajdują dla siebie miejsca wśród operatorów. „Zgodnie z etatem naszej jednostki w grupach specjalnych i grupach wsparcia zespołów bojowych mogą służyć tylko oficerowie i podoficerowie. Zatem wszyscy szeregowi, którzy w perspektywie chcą być operatorami w bojówce, muszą najpierw przejść kurs szkolenia bazowego, następnie obligatoryjnie ukończyć kurs podoficerski”, tłumaczy st. chor. Adam „Kraszan” Kraszewski, starszy podoficer Dowództwa JWK. „Kraszan” wyjaśnia także, że w JWK szczególnie potrzebni są liderzy. „Podczas misji wojskowych nasi podoficerowie są instruktorami lokalnych sił. Prowadząc działania ze wsparcia wojskowego, potrzebujemy operatorów, którzy mają metodyczne przygotowanie do prowadzenia zajęć”, dodaje podoficer.

Ostatni czterotygodniowy kurs podoficerski w Poznaniu odbył się pod koniec 2018 roku. Wówczas do SPWL-u zgłosiło się ponad 30 kandydatów reprezentujących niemal wszystkie jednostki specjalne. St. chor. Tomasz Dawidziuk, specjalista sekcji szkolenia SPWL, wyjaśnia, że kursy dla operatorów z wojsk specjalnych odbywają się rzadko, zwykle raz w roku. Są organizowane na zapotrzebowanie tego rodzaju wojsk i na podstawie koncepcji szkolenia kandydatów na podoficerów w wojskach specjalnych.

Komandosi przygotowują się na nich do roli dowódcy i instruktora. Niemal 30% zajęć zajmuje metodyka szkolenia wojskowego, podczas której

Na miesięczne kursy podoficerskie mogą się dostać wyłącznie żołnierze, którzy w przyszłości mają służyć jako podoficerowie operatorzy w bojówce.



IREK DOROŻAŃSKI

NA KURSY TRAFIAJĄ ŻOŁNIERZE, KTÓRZY WCZEŚNIEJ UKOŃCZYLI W SWOICH JEDNOST- KACH SZKOLENIE BAZOWE. JEST TO WIĘC STARANNIE WYSELEKCJONOWANA GRUPA. **NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH**

żołnierze uczą się m.in. prowadzenia zajęć z regulaminów, szkolenia ogniowego i taktyki. Ponadto poznają przepisy wojskowe, międzynarodowe prawo humanitarne konfliktów zbrojnych. Poruszane są także kwestie etyki żołnierza zawodowego. „Uczymy ich, jak się przygotować do prowadzenia zajęć i jak w praktyce przekazywać wiedzę i umiejętności”, mówi st. chor. Dawidziuk. Specjaliści mają także zajęcia z budowy i eksploatacji sprzętu, choć nie w takim wymiarze, jak ich koledzy z wojsk lądowych. Poznają też podstawy kierowania pojazdami, np. czołgiem czy BWP-em, ale tylko na symulatorach. Jak wyjaśnia kadra SPWL-u,

specjaliści nie muszą podczas przygotowywania dokumentacji do prowadzenia zajęć dopasowywać jej do taktyki wojsk konwencjonalnych. Komandosowie kończą kurs egzaminem. Podobnie jak ich koledzy z innych rodzajów sił zbrojnych zdają teorię i praktykę. Muszą m.in. poprowadzić zajęcia ze szkolenia ogniowego, regulaminów lub taktyki.

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

Kto ma szansę na skrócony kurs podoficerski w wojskach specjalnych? Warunkiem podstawowym jest ukończenie selekcji do jednostki, następnie rozpoczęcie w niej służby. Potem – czasami po





JEŚLI SIĘ KOMUŚ WYDAJE, ŻE MAMY LEPIEJ, BO DLA NAS KURS PODOFICERSKI TRWA TYLKO MIE- SIĄC, TO BARDZO SIĘ MYLI. ŻEBYM ZOSTAŁ OPERATOREM W STOPNIU KAPRAŁA, MUSZĘ SIĘ UCZYĆ 13 MIESIĘCY

kilku miesiącach, czasami po latach – specjaliści są kierowani na kurs bazowy. Wcześniej muszą jeszcze zdać niełatwe egzaminy sprawnościowe i zaliczyć egzamin strzelecki. Szkolenie bazowe trwa w zależności od jednostki kilka lub kilkanaście miesięcy. W przypadku JWK jest to rok. W Lublińcu żołnierze rozpoczynają naukę od pracy z bronią. Trenują celność na strzelnicach zamkniętych i otwartych. Mają również zajęcia z terenoznawstwa i topografii, z łączności oraz medycyny. Uczą się także technik linyowych, współdziałania ze śmigłowcami.

Muszą zaliczyć szkolenie z SERE (Survival, Evasion, Resistance, Escape), treningi w wodzie i górach. W programie są także zajęcia z taktyki, tzw. zielonej (w terenie nieurbaniowanym) i czarnej (w terenie miejskim) oraz działań niekonwencjonalnych. Każdy z etapów bazówki kończy się sprawdzianem. Ten, kto nie zdaje testu, zostaje usunięty z kursu. Ci zaś, którzy dotrą do końca, muszą zmierzyć się jeszcze z najważniejszym egzaminem, podsumowującym cały rok nauki.

„Jeśli komuś wydaje się, że mamy lepiej, bo dla nas kurs podoficerski trwa tylko miesiąc, to bardzo się myli. Żebyśmy zostali operatorami w stopniu kaprała, musimy się uczyć 13 miesięcy. Rok na bazówce i miesiąc w szkole podoficerskiej. Czy to na pewno jest łatwiejsze?”, mówi komandos, jeden z absolwentów szkoły w Poznaniu. Specjaliści podkreślają, że kurs szkolenia bazowego jest najwyższą formą szkolenia specjalistycznego, którego nie da żołnierzom nawet najlepsze w Polsce centrum szkolenia. „W czasie bazówki mamy także zagadnienia poświęcone metodyce szkolenia. Nasi instruktorzy stawiają nas w roli dowódców. W Poznaniu systematyzujemy wiedzę, uczymy się przepisów. Cztery tygodnie to opty-

malny czas, by zdobyć niezbędne informacje. Myślę, że szkolenie operatora w pełnym wymiarze sześciu miesięcy byłoby pewnego rodzaju zamrożeniem umiejętności dobrze wyszkolonego żołnierza”, dodaje komandos z kilkunastoletnim stażem służby.

Specjaliści różnie oceniają kursy podoficerskie. Niektórzy przyznają, że to trochę strata czasu, mówią o „zaciągnięciu hamulca ręcznego” wobec żołnierza, który przez rok bazówki był na pełnych obrotach. Wiele jednak dostrzega plusy. Podkreślają np., że jest to dobre doświadczenie dla osób, które

nie służyły w innych rodzajach sił zbrojnych, bo dzięki temu mogą poznać taktykę i różne rodzaje uzbrojenia. Zwracają uwagę także na to, że wiedza na temat innych wojsk przydaje się zwłaszcza w sytuacji, gdy w walce lub w czasie działań kryzysowych dojdzie do współpracy między żołnierzami różnych formacji. „Instruktorzy z SPWL-u pokazali nam, że wcale nie tak łatwo wyjść przed szereg i dowodzić. A jeszcze trudniej, gdy ktoś staje się dowódcą swoich kolegów. Bez dobrego przygotowania merytorycznego byłoby to niemożliwe”, mówi żołnierz JWK.

A jak specjalsów ocenia kadra z Poznania? „To są bardzo zmotywowani żołnierze, nigdy nie mieliśmy żadnych problemów z dyscypliną czy z postępami w szkoleniu. Są bardzo zaangażowani w zajęcia i chcą uzyskiwać jak najlepsze wyniki. Głodni wiedzy i dociekliwi, dlatego stawiamy ich innym żołnierzom za wzór. Są zdeterminowani, bo przecież szkolili się w trudnych warunkach przez kilkanaście miesięcy i teraz muszą dać z siebie wszystko podczas ostatniego miesiąca nauki w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych. Nie mogą zaprzepaścić szansy na dalszy rozwój w zespołach bojowych”, podkreśla st. chor. Tomasz Dawidziuk. ■

PLUT. PAWEŁ UZAROWICZ



Data i miejsce urodzenia:

9 czerwca 1984 roku, Krosno Odrzańskie.

Tradycje

wojskowe:

tata i dziadek
byli żołnierzami
zawodowymi.

W wojsku

służy od:

2008 roku.

Zajmowane stanowisko:

dowódca drużyny w kompanii zmechanizowanej w 10 Batalionie Zmechanizowanym 10 Brygady Kawalerii Pancernej.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO:

wychowywałem się w wojskowej rodzinie. Znałem specyfikę i trudy służby. I podobnie jak mój ojciec i dziadek, chciałem zostać żołnierzem. Poza tym wojsko gwarantowało mi stabilizację finansową.

MISJE I ĆWICZENIA:

Nie brałem jeszcze udziału w misjach, uczestniczyłem natomiast w wielu ćwiczeniach poligonowych, m.in. „Borsuk”, „Anakonda” czy „Dragon”.

NAJLEPSZA BRÓŃ:

drużyna zmechanizowana korzysta z karabinków kalibru 5,56 mm Beryl. I to jest mój wybór.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ:

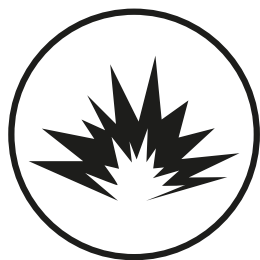
najnowszy wzór umundurowania. Poprzednie wersje, moim zdaniem, nie uwzględniały wszystkich potrzeb żołnierzy.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

ukończenie studiów na kierunku architektura krajobrazu i założenie rodziny.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

narodziny syna.



MOIM NIEZAPOMNIANYM
FILMEM JEST „FURIA”.

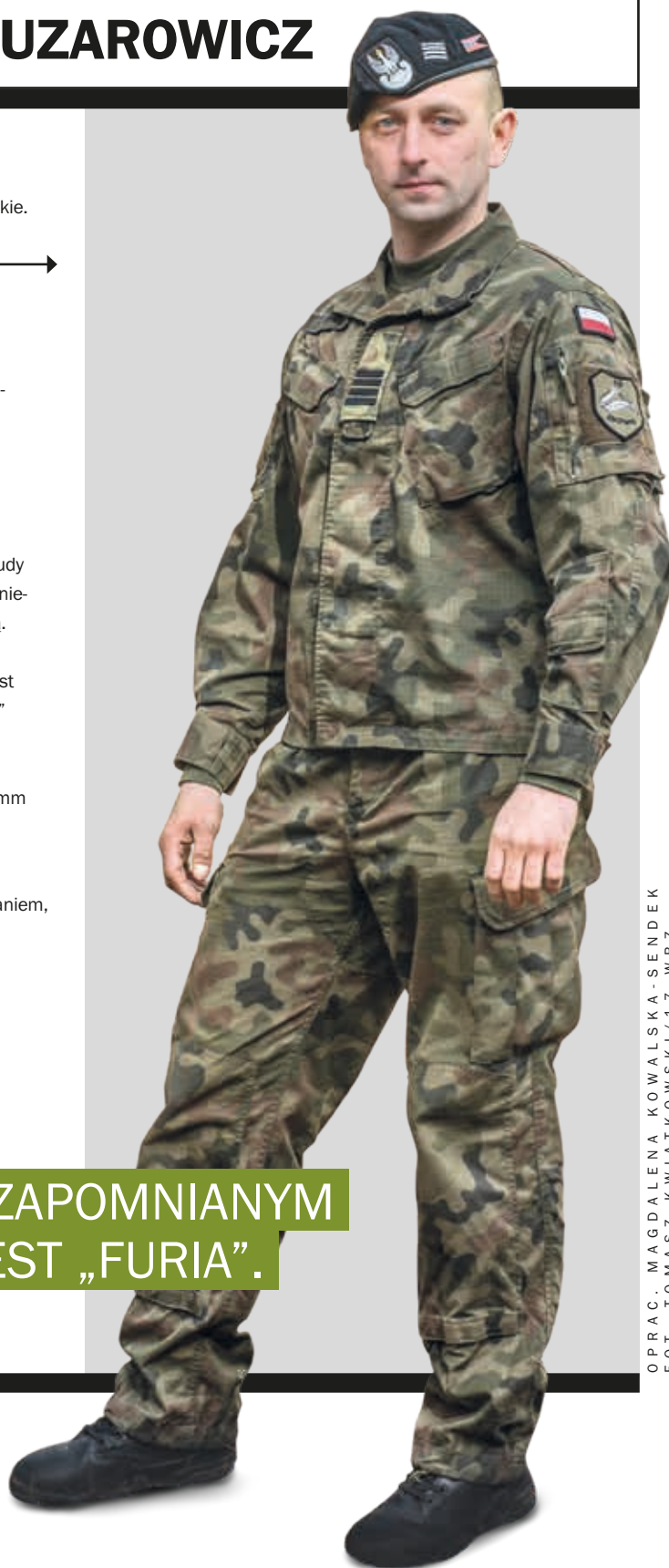
HOBBY:



sport



podróże



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. TOMASZ KWIATKOWSKI/17 WBZ

Kompleksowe przygotowanie terytorialsa do służby zajmuje trzy lata. Pierwszy rok to tzw. szkolenie indywidualne. Później przychodzi czas na szlifowanie umiejętności niezbędnych do wykonywania zadań na konkretnym stanowisku służbowym. Trzyletni cykl kończy szkolenie zgrywające, po którym nastąpi certyfikacja pododdziałów. Niebawem pierwsze kompanie z brygad, które powstały w początkowym etapie tworzenia tego rodzaju wojsk, zakończą szkolenie specjalistyczne. „Ono jest kluczowe w całym modelu”, przekonuje płk Dariusz Słota, dowódca 3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej i dodaje: „Pozwala rozwijać i doskonalić tę wiedzę, którą zdobywali przez pierwszy rok, żeby ją wykorzystać w sekcji lekkiej piechoty, czyli tzw. wspaniałej dwunastce WOT-u”, wyjaśnia płk Słota.

WEWNĘTRZNA SELEKCJA

Struktura „wspaniałej dwunastki” determinuje zakres szkoleń, które przechoǳą ochotnicy w drugim roku służby. W skład podstawowej sekcji lekkiej piechoty wchodzi bowiem 12 żołnierzy – dowódca, jego zastępca, strzelec wyborowy, zwiadowca oraz po dwóch saperów, strzelców, medyków i radiotelefonistów. Dlatego żołnierze przed szkoleniem specjalistycznym zostali poddani wewnętrznej selekcji.

„Staramy się wykorzystywać talenty i kompetencje ludzi. Po zakończeniu szkolenia podstawowego nasi specjaliści budują profil psychologiczny, określają predyspozycje fizyczne i psychofizyczne naszego żołnierza, aby wybrać dla niego jak najlepszą specjalność. Ponadto uwzględniamy czyjeś kierunkowe wykształcenie czy doświadczenie z cywila”, mówi płk Dariusz Słota. Z kolei kpt. Piotr Pyszcak, szef sekcji szkolenia w 2 Lubelskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej, dodaje: „Ochotnik, mający uprawnienia do prowadzenia pojazdów różnej kategorii, trafia najczęściej



PIOTR RASZEWSKI

Profil specjalisty

Pierwsi terytorialsi wkrótce ukończą kluczowy etap szkolenia. Po ostatecznym sprawdzianie, czyli zaliczeniu pętli taktycznej, zasilą grono saperów, kierowców, ratowników czy strzelców.

PIOTR RASZEWSKI

do kompanii logistycznej. Z ratowników medycznych nie próbujemy natomiast na siłę zrobić strzelców wyborowych czy saperów”.

Faza specjalistyczna to 12 miesięcy wyłożonej pracy, którą kończy czternastodniowe szkolenie zintegrowane i, jak po każdym etapie, egzamin z WF-u. Grupa dowódca poświęca ten czas na naukę dowodzenia i przygotowanie się do działalności szkoleniowo-metodycznej. „Na co dzień zarządzam pionem ryzyka w instytucji finansowej. Jestem też prezesem spółki, która wspiera biznes w kwestii ubezpieczeń, kadr, szkolenia

czy marketingu. W cywilu zajmuję się zarządzaniem zasobami ludzkimi, szkolenie specjalistyczne pokazało mi nieco inne podejście do tego zagadnienia”, mówi kpr. Hubert Prus z 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej i dodaje: „W wojsku niezwykle istotne jest zarządzanie czasem. Na zajęciach sporo się nauczyłem i będę mógł tę wiedzę wykorzystać w cywilu”.

Równie zajmujące były szkolenia w innych specjalnościach. W kształceniu strzelców wyborowych i zwiadowców największy nacisk położono na obsługę uzbrojenia i wykonywanie strze-



Szkolenie specjalistyczne w WOT to 12 miesięcy wyjątkowej pracy

lań. Odbyły się zajęcia z balistyki, nawigacji śródlądowej czy taktyki strzelców wyborowych. Ratownicy medyczni z kolei uczyli się m.in. tamowania krwotoków, pierwszej pomocy w urazach jamy brzusznej czy ewakuacji rannego z pola walki. „Wiele zajęć udało nam się przygotować w bardzo atrakcyjny i profesjonalny sposób. W cywilu trzeba by za takie szkolenia sporo zapłacić. Nasi żołnierze mają to wszystko za darmo, a uczą się od niezwykle doświadczonych instruktorów”, zwraca uwagę kpt. Piotr Pyszcza.

Oficerowi wtórują sami terytorialsi. „Od wielu lat interesuję się ratownictwem medycznym i działam w ochotniczym pogotowiu ratunkowym, ale tutaj nauczyłem się wielu nowych rzeczy. Na początku omawialiśmy bliskie mi zagadnienia z ratownictwa cywilnego, by później przełożyć je na te ściśle wojskowe, związane z polem walki”, przyznaje szef. Piotr Woźniak z 2 Lubelskiej Brygady Obrony Terytorialnej. Ochotnik z Lubelszczyzny zauważa również, że ten etap szkolenia znacząco różnił się od podstawowego. „Ćwiczyliśmy już w wyselekcjonowanych grupach osób o podobnych zainteresowaniach. Dzięki temu mogliśmy wspólnie pracować nad rozwiązaniem danego problemu czy wzajemnie się motywować. Jeśli ktoś przyszedł na zajęcia nieprzygotowany,

nie dało się tego ukryć”, przyznaje terytorials z Lublina.

MATERIAŁ NA PROFESJONALISTĘ

Drugi rok szkolenia niesie dla wybranych żołnierzy terytorialnej służby wojskowej także obowiązek instruktorskie. Część ochotników, którzy ukończyli kursy instruktorsko-metodyczne, m.in. pod okiem specjalistów z mobilnych zespołów szkoleniowych, prowadzi zajęcia z żołnierzami młodszymi stażem. „Przygotowanie instruktorów jest dosyć skomplikowane, bo są w ten proces zaangażowane dowództwo WOT-u i sama brygada. Dowództwo za pośrednictwem mobilnych

PO ZAKOŃCZENIU SZKOLENIA PODSTAWOWEGO SPECJALIŚCI Z WOT-U OKREŚLAJĄ PREDYSPOZYCJE FIZYCZNE I PSYCHOFIZYCZNE DANEGO ŻOŁNIERZA, ABY WYBRAĆ DLA NIEGO JAK NAJLEPSZĄ SPECJALNOŚĆ

zespołów szkoleniowych pomaga nam doskonalić instruktorów, zarówno żołnierzy zawodowych, jak i tych z WOT-u. Organizujemy kursy szkoleniowe dla specjalistów, które kończą się egzaminem. Jeśli żołnierze osiągną wymagany wynik, dostają specjalny certyfikat i mogą zasilić naszą kadrę instruktorską”, wyjaśnia płk Dariusz Słota, dowódca 3 PBOT.

Kpt. Piotr Pyszcza z 2 LBOT dodaje z kolei: „Do grupy instruktorskiej trafiają chętni. Nie wszyscy, bo stawiamy na ludzi, którzy wykazują umiejętności przywódcze, są kreatywni i odpowiedzialni. Tacy żołnierze na co dzień szkolą się w swoich specjalnościach, ale korzystamy z ich wiedzy np. przy organizacji »szesnastek« czy szkoleń dodatkowych”, wyjaśnia oficer z lubelskiej brygady.

Oficerowie z Podkarpacia i Lubelszczyzny zapewniają, że w drugim roku szkolenia żołnierze znacząco udoskonalili swoje umiejętności. „Trafiają do nas ochotnicy. Przychodzą na zajęcia, bo chcą się czegoś nauczyć, dlatego każde szkolenie traktują niezwykle poważnie. Często mają już z cywila takie kwalifikacje, że nas zaskakują. To jest materiał na dobrych żołnierzy. Zresztą wiele z tych osób chce związać przyszłość ze służbą zawodową, czasami też ze względu na tradycje rodzinne”, zapewnia mjr Karol Walczak, szef sekcji szkoleniowej 3 Podkarpackiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Oficerowie odpowiedzialni za szkolenie zwracają uwagę na to, że dobrym pomysłem była selekcja do grup specjalistycznych. „Gdy pytam, czy ktoś chciałby zmienić etat, nikt się nie zgłasza. W ramach każdej specjalizacji są bowiem interesujące zajęcia. Dlatego niektórzy chcieliby się zamienić, by uzupełnić wiedzę. Tego jednak nie możemy zapewnić. Lepiej być dobrym w jednej dziedzinie niż przeciętnym w kilku”, dowodzi kpt. Pyszcza.

Pierwsi żołnierze terytorialnej służby wojskowej w maju ukończą szkolenie specjalistyczne. Po zaliczeniu sprawdzianu, jakim jest pętla taktyczna, rozpoczyna szkolenie zgrywające. ■

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO
OD KULIS** PRZECZYTACIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWLOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

Gotowi na patrioty

Przeciwlotnicy z gdyńskiego 33 Dywizjonu Raketowego Obrony Powietrznej pełnili dyżury bojowe w czasie Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej w 2012 roku oraz rosyjskich ćwiczeń „Zapad”.

EWA KORSAK

Jesteśmy jednym z sześciu dywizjonów podporządkowanych 3 Warszawskiej Brygadzie Raketowej Obrony Powietrznej, ale jako jedyni stacjonujemy w województwie pomorskim”, mówi ppłk Krzysztof Rams, dowódca 33 Dywizjonu Raketowego Obrony Powietrznej. „Nie oznacza to jednak, że w razie kryzysu działalibyśmy wyłącznie tutaj. Jesteśmy jednostką manewrową, możemy wykonywać zadania w całej Polsce”. Sercem dywizjonu są zespoły ogniowe. „W skład każdego wchodzi dwa pododdziały, bateria startowa z wyrzutniami rakiet przeciwlotniczych oraz bateria radiotechniczna. Jej żołnierze, wyposażeni w stacje radiolokacyjne, są odpowiedzialni za wykrycie, identyfikację, śledzenie oraz zwalczanie środków napadu powietrznego”, mówi mjr Jacek Słupsek, dowódca trzeciego zespołu ogniowego.

BOJOWE SPRAWDZIANY

Do zadań żołnierzy 33 Dywizjonu Raketowego należy osłona i obrona przed atakiem z powietrza ściśle określonych miejsc. „Są to obiekty strategiczne, takie jak lotniska, mosty, elektrownie, rafinerie oraz stanowiska dowodzenia”, mówi ppłk Rams. Regularne szkolenia przygotowują żołnierzy do wykonywania tego typu zadań. Odbywają się one w całej Polsce, a nie tylko w miejscach, za których

osłonę odpowiadałby dywizjon.

„Musimy być profesjonalistami pod względem dokładności, procedur, sprawnego wykrywania i śledzenia statków powietrznych, błyskawicznej reakcji na zagrożenia. Nie możemy się zatem ograniczać do szkolenia tylko w jednym miejscu. Kluczowa jest tu różnorodność, a nie utarte schematy”, mówi mjr Arkadiusz Grzegorowski, zastępca dowódcy, szef Sztabu 33 Dywizjonu Raketowego.

Jeszcze kilkanaście lat temu wyglądało to zupełnie inaczej. Wojska obrony przeciwlotniczej pełniły bowiem dyżury bojowe, takie jak teraz np. myśliwce F-16 i MiG-29 – gotowe, by w razie potrzeby wzbić się w niebo 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. „Miejsce ćwiczeń żołnierzy było jednocześnie miejscem ich działań w razie kryzysu. Do swoich zadań przygotowywali się na stanowiskach ogniowych, w miejscach swojej stałej dyslokacji”, wyjaśnia ppłk Rams. Dziś tego typu dyżury 33 Dywizjon prowadzi wyjątkowo. Na przykład w 2012 roku podczas Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej. „Żołnierze dywizjonu pełnili dyżur bojowy przez cały czas trwania turnieju, osłaniając stadion





KAMIL KOLLECK/33 DROP

POLSKA DOŁĄCZYŁA DO ELITARNEGO GRONA KRAJÓW, KTÓRE BĘDĄ DYSPONOWAĆ NAJBARDZIEJ ZAAWANSOWANĄ PLATFORMĄ OBRONY PRZECIWLOTNICZEJ I PRZECIWRAKIETOWEJ NA ŚWIECIE. PATRIOTY TRAFIĄ DO JEDNOSTEK 3 WARSZAWSKIEJ BRYGADY RAKIETOWEJ OBRONY POWIETRZNEJ



MACIEJ WERESZCZYŃSKI / 33 DROP

w Gdańsku. Byliśmy w pełnej gotowości”, wyjaśnia mjr Słupek. Dyżurowali na wypadek wystąpienia sytuacji nadzwyczajnych, np. gdyby jakkolwiek obcy wojskowy statek powietrzny naruszył przestrzeń powietrzną Polski lub podjęto by decyzję o uruchomieniu procedury Renegade.

Po latach żołnierze wspominają, że sam dyżur nie był tak wyczerpujący, jak certyfikacja, którą przeszli przed jego rozpoczęciem. „Trzeba było spełnić wymagające kryteria dotyczące sprawności sprzętu i wyszkolenia obsługi”, zaznacza mjr Jacek Słupek. „Dyżur bojowy to przede wszystkim oczekiwanie w pełnej gotowości. Dlatego tak ważne jest niedopuszczenie do spadku koncentracji, osłabienia czujności”, dodaje. Kolejny dyżur raketowcy pełnili podczas ubiegłorocznych manewrów Federacji Rosyjskiej „Zapad”. „Tym razem naszym zadaniem było wyłącznie obserwowanie przestrzeni powietrznej Rzeczypospolitej Polskiej”, mówi mjr Słupek.

SZKOLENIE Z TYGRYSAMI

Przeciwlotnicy z Gdyni w 2018 roku wzięli też udział w szkoleniu pilotów z tygrysich eskadr z całego świata. Do Polski przyleciało ponad 80 samo-

lotów i śmigłowców, wśród nich myśliwce: F-16, Rafale, Eurofighter, Gripen, śmigłowce: Gazelle, Puma i Merlin. Ich załogi codziennie wykonywały różnorodne misje lotnicze.

„Oni ćwiczyli według swoich scenariuszy, a my wykorzystaliśmy ich obecność do szkolenia naszych obsług”, mówi mjr Arkadiusz Grzegorowski. „Lotnicy znali nasze położenie i starali się rozpoznać stanowiska ogniowe. Dążyli do wyeliminowania naszych środków walki. My natomiast mieliśmy ich wykryć, rozpoznać oraz, jeśli scenariusz ćwiczenia zakładał, że dana maszyna należy do przeciwnika, ćwiczebnie zwalczać”, dodaje zastępca dowódcy. Mjr Słupek wspomina, że szkolenie NATO Tiger Meet było dla żołnierzy 33 Dywizjonu niezwykle również dlatego, że mogli obserwować w przestrzeni powietrznej statki powietrzne różnych typów i rodzajów. „Dzięki temu mogliśmy poznać możliwości oraz taktykę i specyficzność prowadzenia działań z wykorzystaniem maszyn, których na co dzień nie mamy. Bardzo cenne doświadczenie”, dodaje major.

Jak wyglądają codzienne ćwiczenia raketowców? Wiele czasu żołnierze spędzają na poligonach



MJR JACEK SŁUPEK: „Jeśli ktoś sobie wyobraża, że docieramy na miejsce w środku walki, to u nas to tak nie wygląda. Nasze działanie polega w dużej mierze na czekaniu w ciszy radiowej, tak, by nikt nie mógł nas wykryć”.



TRZY PYTANIA DO

Krzysztofa Ramsa

Jakich żołnierzy chciałby pan mieć w swojej jednostce?

Do zespołów ogniowych szukamy ludzi o zdolnościach technicznych, wykształceniu elektronicznym lub informatycznym. Regularnie organizujemy spotkania z maturzystami z naszego rejonu i przedstawiamy im swoją ofertę. Mówimy o zaletach, ale i o różnych uciążliwościach służby, która jest bardzo ciekawa, ale... czasochłonna, zwłaszcza w przededniu otrzymania zestawów Patriot. Służba w dywizjonie łączy się z wieloma wyjazdami na kursy, szkolenia oraz ćwiczenia. Odbywają się one nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Szukamy kandydatów do służby, którzy nie

boją się nowych wyzwań, zdecydowanych na ciężką, ale – obiecujemy – satysfakcjonującą służbę.

Czym gdyńska jednostka różni się od innych?

Jesteśmy ze sobą naprawdę zgrani. Cieszę się, że mam tu taki zespół i nie są to puste słowa. Naprawdę łączą nas przyjacielskie relacje, jesteśmy dla siebie jak druga rodzina. Ta przyjazna atmosfera jest dla nas bardzo ważna, ponieważ spędzamy ze sobą mnóstwo czasu na poligonach i szkoleniach. Mamy też taką zasadę, by nie narzekać, lecz robić to, co do nas należy. Jakiś czas temu zastanawiałem się, skąd u moich podwładnych

taki zapał do pracy. Doszedłem do wniosku, że na Pomorze trafiają ludzie twardzi i z pasją.

Co wyróżnia pana ludzi?

Są najlepsi! Świadczą o tym zdobyte tytuły. Co roku dowódca 3 Warszawskiej Brygady Rakietowej Obrony Powietrznej wręcza puchar najlepszemu dywizjonowi rakietowemu obrony powietrznej. Dowodzony przeze mnie oddział otrzymał to wyróżnienie cztery razy, w latach 2012, 2015, 2017 oraz 2018. Zostaliśmy również trzykrotnie docenieni za uzyskanie najlepszych wyników w szkoleniu oraz za najlepiej utrzymaną sprawność techniczną sprzętu. Mam powody do dumy! Wiemy również, że siłą jest wykonywanie zadań we współdziałaniu z innymi jednostkami, a w szczególności z dywizjonami 3 BROP. Jesteśmy silni razem!

Ppłk KRZYSZTOF RAMS jest dowódcą
33 Dywizjonu Rakietowego Obrony
Powietrznej.

w kraju oraz biorą udział w kursach i szkoleniach za granicą, np. w NATO School w Oberammergau w Niemczech. Uczestniczą w połączonych ćwiczeniach wielonarodowych, takich jak choćby „Anakonda”. „Schemat tego, jak działamy, jest sprecyzowany: otrzymujemy zadanie, planujemy jego wykonanie, rozpoznajemy stanowisko ogniowe, zajmujemy je i przystępujemy do walki”, mówi zastępca dowódcy i wskazuje, że kluczowym etapem jest planowanie. Zanim wybiorą odpowiednią lokalizację i rozwiną stanowisko ogniowe, muszą uwzględnić kilkanaście czynników. „Bierzemy pod uwagę to, jaki przeciwnik ma sprzęt, ile uzbrojenia, o jakich zasięgach. Istotne są też strefy rażenia czy rubieże wykonania zadania”, mówi mjr Słupek. Uwzględnia się również warunki atmosferyczne oraz ukształtowanie terenu. „Nasze stacje inaczej wykrywają obiekty w powietrzu nad morzem, inaczej wśród wznieścień. Mgły, opady ograniczają możliwości przeciwnika, ale i nasze”, przyznaje mjr Grzegorowski.

Następnie zespoły ogniowe z zestawami rakietowymi muszą dojechać do rozpoznanego wcześniej miejsca. „Kluczowym czynnikiem jest zachowanie ciągłej i pełnej gotowości do wykonania zadania. Ograniczają nas sprawy dotyczące sprzętu, szczególnie jego zdolności do szybkiego zwinięcia, przemieszczenia i rozwinięcia w nowym rejonie działań. Manewry na wyznaczone stanowiska ogniowe są szczegółowo regulowane

przez doktryny wojskowe, które opisują ze szczegółami licznosc kolumn, odstęp między pojazdami, niezbędne przeglądy i czas odpoczynku kierowców.

Każdy zapis w dokumentach jest jednak dokonywany przez człowieka w określonych rygorach czasowych i w otaczającej go rzeczywistości. Tu ponownie wracamy do kluczowej roli planowania i rekonesansu, który czasem boleśnie potrafi zweryfikować najdoskonalsze plany”, mówi zastępca dowódcy.

Kiedy sprzęt jest już na stanowisku, zaczyna się... czekanie. „Jeśli ktoś sobie wyobraża, że docieramy na miejsce w środku walki, to u nas to tak nie wygląda. W konkretnym miejscu przygotowujemy się do osłony obiektu, a możemy to przewidzieć dzięki rozpoznaniu. Nasze działanie polega wówczas w dużej mierze na czekaniu w ciszy radiowej, tak, by nikt nie mógł nas wykryć”, mówi mjr Słupek. Skoro rakietowcy nie używają radarów, skąd mają obraz przestrzeni powietrznej? „Sytuację powietrzną pozyskujemy z innych źródeł radiolokacyjnych, które nie demaskują naszego miejsca stacjonowania, m.in. wojska radiotechniczne działają na naszą korzyść, przesyłając nam obraz tego, co się dzieje w powietrzu”, mówi dowódca zespołu ogniowego.

Do walki przeciwnicy wchodzi w ostatnim momencie, gdy się rozpoczyna nalot. „I tu zaczyna być bardzo dynamicz-



SPRZĘT

Zołnierze 33 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej mają do dyspozycji zestawy S-125 Newa. Jest to sprzęt skonstruowany w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku w ZSRR. W Polsce dywizjon wyposażony w te zestawy zaczęto tworzyć w 1970 roku. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych Newy w Polsce zmodernizowano. Zmieniono np. podzespoły elektroniczne z analogowych na cyfrowe.

Wyżutnie umieszczono na podwoziach wycofanego z eksploatacji czołgu T-55, kolumnę antenową i kabinę dowodzenia natomiast na pojeździe MAZ-543. Przeciwlotnicze zestawy rakietowe S-125 Newa SC zaczęto wprowadzać do służby w 1999 roku. Zestaw może strzelać rakietami typu 5W27U i D. Ich zasięg wynosi 25 km, a pułap 18 km. W jednostce używa się też armat przeciwlotniczych ZU-23-2, przeznaczonych do zwalczania ce-

lów zbliżających się w odległości do 2800 m, a oddalających się w odległości do 4200 m, na wysokości od 50 do 2300 m. Wykorzystywany jest do bezpośredniej osłony wojsk i ważnych obiektów przed atakiem z powietrza. ZU-23-2 może być przewożony np. na samochodach ciężarowych. Do strzelania wykorzystuje się amunicję 23x152 mm przeciwpancerno-zapalająco-smugową oraz odłamkowo-zapalająco-smugową. ■

AGNIESZKA ENGLER/33 DROP



nie”, mówi mjr Grzegorowski. „Na niebie pojawia się wiele maszyn, niektóre z nich mogą wyłącznie próbować odwrócić naszą uwagę od prawdziwego zagrożenia. Znajomość taktyki jest tutaj kluczowa”, dodaje mjr Słupek. Środki ogniowe, którymi dysponują dywizjon rakietowy, tworzą kompleksową ochronę danego obiektu.

„Mamy zestawy rakietowe Newa SC, taktyczne środki obrony przeciwlotniczej w postaci ZU-23-2, a ponadto, gdyby zaszła taka potrzeba, otrzymalibyśmy wsparcie innych jednostek rakietowych. Nigdy nie jest tak, że jesteśmy sami. Zawsze możemy liczyć na wzmocnienie, by osłona przeciwlotnicza była kompleksowa, bez dziur, które mógłby wykorzystać przeciwnik”, mówi zastępca dowódcy. Wykonanie zadania to niekoniecznie zniszczenie przeciwnika.

ŚWIETNA WSPÓŁPRACA

Czasami, jak twierdzą przeciwlotnicy, wystarczy go odstraszyć, czyli „maksymalnie wykorzystać możliwości bojowe posiadanego zestawu rakietowego, tym samym nie dopuścić do wykonania zadania bojowego przez stronę przeciwną”. „Chodzi o wymuszenie na przeciwniku zachowania, które nam ułatwi działanie. Kiedy np. lata on bardzo nisko, może być niewidoczny dla radarów. My jednak możemy wykorzystać nasze środki ogniowe, by zwiększyć wysokość jego lotu. Wówczas zostanie wykryty przez środki radiolokacyjne”, wyjaśnia mjr Arkadiusz Grzegorowski. „Potem do gry wchodzi nasze środki ogniowe przeznaczone do działania na większych odległościach i wysokościach”, dodaje mjr Słupek.

Naturalnym partnerem do wspólnych szkoleń są dla przeciwlotników siły powietrzne. Na poligonach rakietowcy z 33 Dywizjonu najczęściej ćwiczą z pilotami z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Malborku, 21 Bazy Lotnictwa Taktycznego ze Świdwina i pilotami 49 Bazy Lotniczej z Pruszcza Gdańskiego. „Każde ich działanie to dla nas okazja do treningu. Nie tylko misje »air to ground«, lecz także »air to air«,” mówi mjr Słupek. Podkreśla, że tego typu manewry są okazją do szkolenia obsługi bojowych, m.in. operatorów ręcznego śledzenia.

„To funkcyjni obsługi bojowej, którzy w warunkach dobrej widoczności śledzą cel za pomocą zintegrowanej kamery TV”. Ich zadanie polega na tym, by przechwycić cel i utrzymać jego obserwację z jak największą dokładnością”, mówi mjr Słupek. Później zajmuje się nim oficer naprowadzania odpowiedzialny za przechwycenie celu. To też niełatwe zadanie. Minimalizacja i skrócenie czasu promieniowania elektromagnetycznego przez stację ma duże znaczenie w rozpoznaniu przez przeciwnika. Ostateczną decyzję o zniszczeniu celu powietrznego podejmuje oficer strzelający”, wyjaśnia major. Bez szkolenia z pilotami znacznie trudniej byłoby wykształcić te nawyki i umiejętności.

Przeciwlotnicy cenią sobie również szkolenia z wojskami specjalnymi. „Nasi żołnierze zajmują się nie tylko obsługą przeciwlotniczych zestawów rakietowych, lecz także ochroną wojsk. Działania ze specjalsami pozwalają się nam w tym sprawdzić”, mówi mjr Arkadiusz Grzegorowski. We wspólnych epizodach z pododdziałami wojsk specjalnych szkolili się m.in. podczas kilku edycji ćwiczeń „Cobra”. Znaczna część informacji o szkoleniu jest niejawną,



MJR ARKADIUSZ GRZEGOROWSKI: „Nasze stacje inaczej wykrywają obiekty w powietrzu nad morzem, inaczej wśród wznieścień. Mgły, opady ograniczają możliwości nie tylko przeciwnika”.



33 DYWIZJON RAKIETOWY OBRONY POWIETRZNEJ

Jednostka powstała w 2011 roku na bazie rozformowanych 21, 25 oraz 65 dywizjonów rakietowych OP. Dziedziczy tradycje m.in. tych trzech pododdziałów. Przypomina o tym np. odznaka pamiątkowa. W lewym górnym rogu został umieszczony gryf pomorski (symbol Kaszub, herb województwa pomorskiego oraz symbol 25 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej). Prawa górna część przedstawia fragment Wy-

brzeża z Półwyspem Helskim i Zatoką Pucką (był też symbolem 21 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej). W lewej dolnej części są trzy rakietę zestawu Nawa (nawiązanie do 65 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej). W prawej dolnej części umieszczono liczbę „33”. W centralnym punkcie znajduje się herb miasta Gdyni. Żołnierze dywizjonu noszą odznakę rozpoznawczą. Są to trzy rakietę zestawu Nawa ułożone na mieczu. ■

Armaty przeciwlotnicze ZU-23-2 wykorzystywane są do osłony wojsk przed atakami z powietrza.

ale jednym z zadań żołnierzy wojsk specjalnych było wtargnięcie na teren ugrupowania bojowego dywizjonu i zniszczenie wybranych egzemplarzy jego sprzętu. Wszystko to odbywało się nocą. „To naprawdę duży test dla nas. Sprawdzenie naszej czujności, spostrzegawczości, szybkości reakcji. Były to nie godziny, ale dni poświęcone na operację”, podkreśla zastępca dowódcy.

MARZENIA PRZECIWLOTNIKA

Dziś najważniejszy dla wojsk obrony powietrznej jest program „Wisła”. Kiedy w marcu 2018 roku minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak podpisał kontrakt na dostawę elementów tego systemu, stało się jasne, że wkrótce nasze zestawy rakietowe Nawa przejdą na zasłużoną emeryturę. „Wszystkie dywizjony 3 Brygady Rakietowej Obrony Powietrznej przygotowują się do przyjęcia nie tylko systemu Patriot, lecz także polskich zestawów Pilica oraz Narew”, mówi ppłk Krzysztof Rams. Kiedy ten sprzęt trafi do 33 Dywizjonu? To nie jest jeszcze podawane do informacji publicznej. „Przygotowujemy się do przyjęcia zestawu zgodnie z harmonogramami”, dodaje dowódca gdyńskiego dywizjonu. Żołnierze dodają, że będzie to dla nich skok technologiczny, którego nie da się z niczym porównać. „Proszę nas źle nie zrozumieć, nie narzekamy na to, co mamy. Jesteśmy żołnierzami i staramy się jak najlepiej wykorzystywać dostępny nam sprzęt. Ale patrioty... To zupełnie inna jakość, o której, co tu dużo mówić, marzymy”, mówią żołnierze.

Do przyjęcia patriotów kadra 33 Dywizjonu przygotowuje się już od kilku lat. Od 2010 roku brali udział w rotacjach amerykańskich baterii w Polsce. „Amerykanie byli u nas 11 razy. Ja dziewięć razy uczestniczyłem w takiej rotacji”, mówi mjr Grzegorowski. Amerykańscy żołnierze ćwiczyli m.in. osiąganie gotowości bojowej oraz procedury dotyczące przetrwania sprzętu. „Ale szkolili również nas. Co więcej, niektórzy

z polskich żołnierzy byli certyfikowani do obsługi amerykańskiego sprzętu”, przyznaje zastępca dowódcy.

Dowódca jednostki chce przygotować swoich żołnierzy pod innymi względami. „Dążymy do tego, aby żołnierze w dywizjonie znali język angielski na poziomie trzecim według amerykańskiego STANAG-u 6001. Jest to konieczne, ponieważ wszystkie procedury, instrukcje, dokumenty, kursy dotyczące systemu Patriot będą napisane i prowadzone po angielsku. Powinien więc go znać każdy, od szeregowego do dowódcy jednostki”, mówi ppłk Rams. Na razie angielski zna 85% żołnierzy, ale nie wszyscy na poziomie trzecim. „Mamy jeszcze zapas czasowy, a wszystko idzie w bardzo dobrym kierunku”, zapewnia dowódca. Problem się pojawia, gdy mowa o ukompletowaniu stanowisk podoficerów starszych, zajmujących stanowiska techniczne, którzy – jak podkreśla dowódca jednostki – stanowią siłę dywizjonu. „To oni zajmują większość kluczowych stanowisk w obsłudze sprzętu rakietowego, a czas ich wyszkolenia jest długi. Starszy chorąży sztabowy ma za sobą około 24 lat służby”, mówi dowódca. „Jeśli dziś przyjmiemy szeregowego, to dopiero za kilka lat będzie on specjalistą, którego można wyznaczyć na kluczowe stanowiska w dywizjonie”, dodaje.

Odpowiedzią na ten problem ma być uruchomienie ośrodków szkolenia, kształcących podoficerów do jednostek wyposażonych w nowoczesne zestawy rakietowe. Oficerów w tym kierunku już szkoli Wojskowa Akademia Techniczna. „Niektórzy z nich zostaną wysłani do ośrodków szkolenia specjalistycznego w bazach wojskowych w Stanach Zjednoczonych na kursy obsługi zestawów Patriot”, mówi ppłk Krzysztof Rams. „Patrioty to początek etapu, który będzie dla nas wielkim wyzwaniem. Trudnym, ale ciekawym. Sprzęt, który mamy i ten, który mieć będziemy, dzieli przepaść technologiczną. I my tę przepaść mamy zamiar sprawnie przeskoczyć”, zapewnia ppłk Rams. ■



Elementarz szturmana

Będą się szkolić niemal przez rok. Większość tego czasu spędzą na poligonach, gdzie nauczą się specyfiki działania wojsk specjalnych. I tylko ci, którzy zaliczą dziesiątki sprawdzianów i egzaminów, zostaną operatorami.

EWA KORSAK,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Szkolenie bazowe w gliwickiej jednostce specjalnej trwa kilka miesięcy. Jest to kurs podstawowy dla żołnierzy, którzy w przyszłości chcą służyć w zespołach bojowych. Biorą w nim udział wyłącznie ci, którzy wcześniej przeszli selekcję w górach. „Bazówka to bardzo trudny czas dla żołnierzy i ich rodzin. Przez wiele miesięcy kursanci są praktycznie wyłączeni z życia prywatnego, bo większość czasu spędzają na poligonach lub w górach”, mówi „Dziki”, instruktor kursu bazowego, i dodaje: „Ale niech się hartują, bo gdy już znajdą się w zespole bojowym, wcale nie będą mieli mniej zadań”.

Wysiłek i wymagania, z jakimi muszą mierzyć się kandydaci na operatorów, ciężko do czegoś porównać. Trudno też jakiegokolwiek szkolenie bazowe zestawiać z selekcją, choćby ze względu na intensywność obu kursów i ich długość. Bazówka trwa niemal rok, a selekcja pięć dni. W górach instruktorzy sprawdzają kandydatów indywidualnie, oceniają ich fizyczne i psychiczne przygotowanie do służby w jednostce. „Sprawdzamy, jak zmęczeni radzą sobie z nawigacją w trudnych warunkach terenowych. W górach przeważnie działają w pojedynkę. Z kolei na bazówce jest już praca w grupie, typowo wojskowe szkolenie”, mówi „Dziki”. „A ja znajduję podobieństwo”, dopowiada „Ocet”, kolejny instruktor. „Z kursu bazowego, podobnie jak z selekcji, można odpasć w każdej chwili”, przyznaje z uśmiechem.

PRZYKRĘCANIE ŚRUBY
Wylecieć można z wielu powodów. Ze względu na brak postępów w szkoleniu, oblane egzaminy kończące poszczególne fazy albo złamanie warunków bezpieczeństwa. W takich wypadkach

nie ma taryfy ulgowej. Na poprzednich kursach zdarzyło się, że żołnierze odpadli w dniu finalnego egzaminu.

Program szkolenia bazowego w Agacie niedawno został zmieniony i nadal będzie modyfikowany, m.in. dlatego ci, którzy odpowiadają za szkolenie, nie zdradzają szczegółów. Wyjaśniają jednak, że w czasie bazówki żołnierze poznają taktykę działania typową dla wojsk specjalnych. Zaczynają od podstaw, czyli np. szkolenia strzeleckiego czy medycznego, by później przejść do trudniejszych zagadnień i scenariuszy związanych z zieloną i czarną taktyką. „Każda faza szkolenia jest wymagająca, a kursanci działają na pełnych obrotach. Zresztą instruktorzy też. Przykręcamy kandydatom śrubę na maksa, żeby zobaczyć, kim oni są. Wrywamy ich z domowych pieleszy i wrzucamy na poligon, daleko od domu. Z czasem zauważamy, że zaczynają żyć tą pracą, stają się pasjonatami. Przyjemnie się na to patrzy”, mówi „Dziki”.

SZLIFOWANIE SPECJALISÓW

Na instruktorach szlifujących zdolności przyszłych szturmanów Agatu ciąży duża odpowiedzialność. Wiedzą, że to spod ich rąk wyjdą kolejne pokolenia operatorów, którym być może zostaną powierzone najtrudniejsze misje. „Przygotowujemy żołnierzy, którzy w niedalekiej przyszłości dołączą do zespołów bojowych. Nie chcemy naszym kolegom z bojówki dawać wyszkolonych byle jak szturmanów, dlatego wyciskamy z nich wszystko. Znamy dobrze oczekiwania kolegów”, uzupełnia „Ocet”.

Wielomiesięczny kurs zakończy się egzaminem, który na pewno obnaży wszystkie niedociągnięcia kandydatów na operatorów. Instruktorzy zdradzają jedynie, że żołnierze będą musieli zaplanować i przeprowadzić operację specjalną. „Ale to nie wszystko”, dodają.

„Droga do zespołu bojowego jest długa i trudna. Trzeba mieć porządną motywację i siłę, by dopiąć swego. Widzimy, jak kandydaci stają się z chłopców mężczyznami, żołnierzami. Teraz z tych żołnierzy chcemy zrobić komandosów”, mówi jeden z instruktorów.

ELEMENTEM SZKOLENIA BYŁO STRZELANIE PROWADZONE, GDY ŻOŁNIERZE CZULI SIĘ JUŻ SOLIDNIE ZMĘCZENI. „TRUDNIEJ ODDAWAĆ CELNE STRZAŁY, KIEDY DŁONIE TRZĘSĄ CI SIĘ Z WYCZERPANIA. TRZEBA UMIEĆ NAD TYM ZAPANOWAĆ”, WYJAŚNIA „OCET”.





MICHAŁ NIWICZ

Program szkolenia bazowego w Agacie niedawno został zmieniony i nadal będzie modyfikowany. Między innymi dlatego specjaliści odpowiedzialni za szkolenie kursantów nie chcą zdradzać szczegółów. Wyjaśniają jednak, że w czasie bazówki żołnierze poznają taktykę działania typową dla wojsk specjalnych.



Podczas zimowego poligonu żołnierze kończyli szkolenie strzeleckie. Doskonalili zdobywane przez wiele tygodni umiejętności i przygotowywali się do egzaminu. Pod okiem instruktorów strzelali z karabinków, broni maszynowej i pistoletów. „Uczymy ich m.in. tego, jak w działaniach wykorzystać różne przeszkody terenowe czy jak prowadzić ogień z karabinka, kryjąc się za murkiem czy stertą opon. Pokazujemy, że nawet krawężnik może osłonić ich przed ostrzałem przeciwnika”, mówi „Oceć”.

PROSTO W CEL

Taryfy ulgowej nie było, gdy do tarcz mierzyli z pistoletów. Instruktorzy przyznają, że to właśnie pistolet dla wielu kursantów jest prawdziwym wyzwaniem. Żołnierze nie używają urządzeń optycznych, wykorzystują jedynie te mechaniczne. „Chodzi o to, by jak najlepiej poznali broń. Takie strzelanie jest trudniejsze, ale żołnierz ma większą świadomość tego, co robi. Jest bardziej skoncentrowany i skrupulatny”, wyjaśnia „Dziki”. Przyznaje, że strzelanie z pistoletu jest trudniejsze niż na przykład z karabinka, bo nawet delikatne przesunięcie palca na języku spustowym może spowodować, że strzał będzie niecelny. O błędach w tym wypadku decydują detale, m.in. nieustabilizowany i przyspieszony oddech. Stąd też żołnierze uczą się oddychania przeponą. „Wszystkie wskazówki są cenne, dlatego staramy się dokładnie wykonywać każde polecenie instruktorów. Efekty szkolenia widać na przykład na mojej tarczy strzeleckiej. To, co było na początku kursu a teraz, to niebo a ziemia. To, że dzisiaj mam lepszą celność, wynika właśnie z ćwiczeń, z ciągłego, uporczywego powtarzania pewnych czynności”, mówi jeden z kursantów.

Elementem szkolenia było też strzelanie prowadzone, gdy żołnierze czuli się już solidnie zmęczeni. Zanim wycelowali broń do tarcz, musieli bowiem w pełnym oporządzeniu wyko-

nać serię ćwiczeń fizycznych. Robili dziesiątki pompek, maszerowali z kilkunastokilogramowymi dużymi oponami, dźwigali też siebie nawzajem. „Chcieliśmy jak najbardziej zmęczyć ich ręce. Trudniej oddawać celne strzały, kiedy dłonie trzęsą ci się z wyczerpania. Trzeba umieć nad tym zapanować”, wyjaśnia „Oceć”.

Każde z zadań na strzelnicy żołnierze wykonywali setki razy. Wyjmowali broń, celowali do tarczy, oddawali strzał. Pracowali nie tylko nad celnością, lecz także nad prawidłową postawą, bezpieczeństwem swoim i kolegów z pododdziału. Potem te same czynności powtórzyli po zmroku. W trakcie strzelania korzystali też z latarek, noktowizji i laserów. „Oni muszą ciągle powtarzać te zadania. Raz po razie, bo tylko w ten sposób nabierają nawyków, pamięci mięśniowej”, przyznaje „Dziki”. Kursanci nie narzekają i bez słowa wykonują kolejne polecenia instruktorów. Można przypuszczać, że po wielogodzinny treningu są już zmęczeni, ale zaciskają zęby i nie dają tego po sobie poznać.

„Już kiedy startowałem do selekcji, marzyłem o służbie w zespole bojowym. Chciałem jak najszybciej dostać się na kurs bazowy i uczyć się jak najwięcej. Spodziewałem się, że będzie tu ciężko. I tak właśnie jest”, mówi 29-letni żołnierz. Czy czegoś się obawia? „Nie boję się wysiłku fizycznego ani nauki. Najgorsze byłoby złapanie wymagającej długiego leczenia kontuzji”, dodaje. Jego kolega z kursu, 32-letni „Mandat”, do bazówki starannie się przygotowywał przez ostatnie dwa lata, czyli od selekcji. Systematycznie trenował, ćwiczył także umiejętności, które mogą mu się przydać w służbie, na przykład wspinaczkę i techniki linowe. „Na bazówce z każdym dniem poziom trudności zajęć rośnie. Jeśli wydaje nam się, że daliśmy już z siebie wszystko, to instruktorzy udowadniają nam, że możemy jeszcze więcej. Tu każdego dnia pokonujemy granice swoich możliwości”, przyznaje. ■

ŻANDARM NA TROPIE

Od wykrywania przestępstw i zatrzymywania sprawców ważniejsze jest prowadzenie skutecznej profilaktyki, aby w wojsku nie dochodziło do łamania prawa.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Gwar panujący na korytarzu pododdziału, głośne komendy wydawane przez podoficera dyżurnego nie robią na Inie wrażenia. Siedzi cierpliwie przy nodze swojego pana, nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia przechodzących obok żołnierzy. Gdy plut. Łukasz Zaskórski pochyla się nad nią, natychmiast staje na równe nogi gotowa do działania. Pada ciche polecenie i owczarek niemiecki wbiega do izby żołnierskiej. Obwąchuje koce leżące na łóżkach i zagłówki. Podchodzi do szafek, sprawdza duże szafy, w których wiszą mundury. W żadnym miejscu nie zatrzymuje się na dłużej. To dobry znak. „Ta izba żołnierska jest czysta”, melduje podoficer.

Ina w wojsku służy od czterech lat. Gdy miała 18 miesięcy, rozpoczęła półroczne szkolenie w ośrodku szkolenia psów do zadań specjalnych w Celestynowie. Teraz pełni służbę w Wydziale Żandarmerii Wojskowej we Wrocławiu. Jej praca polega na wyszukiwaniu narkotyków. W kompanii ochotników do Narodowych Sił Rezerwowych w Ośrodku Szkolenia Podstawowego Centrum Szkolenia Wojsk Inżynierskich i Chemicznych we Wrocławiu zjawia się kilka razy w roku. Komenda ośrodka we współpracy z Żandarmerią stara się, aby takie sprawdzenie odbywało się na początku każdego turnusu. „Chcemy, aby kandydaci na żołnierzy od samego początku służby wiedzieli, że w wojsku obowiązują restrykcyjne zasady dyscyplinarne. Takie kontrole z wykorzystaniem specjalnie wyszkolonego psa są dla elewów ostrzeżeniem, że posiadanie narkotyków może zostać szybko ujawnione”, →



BOGUSŁAW POLITOWSKI



Ina obwąchuje koce leżące na łóżkach i zagłówki. Podchodzi do szafek, sprawdza duże szafy, w których wiszą mundury. W żadnym miejscu nie zatrzymuje się na dłużej. To dobry znak. Ta izba żołnierska jest czysta.

mówi mjr Robert Wątroba, komendant Ośrodka Szkolenia Podstawowego wrocławskiego centrum.

Podobne akcje prewencyjne w porozumieniu z dowództwami jednostek prowadzone są w wielu garnizonach. Czy odnośzą skutek? „Jesteśmy zaskoczeni, bo taka akcja odbyła się kilka tygodni temu. To jest dla nas przestroga, żeby nawet podczas przepustek nikt z nas nie miał kontaktu z zakazanymi substancjami. Pies może to szybko wykryć”, przyznaje szer. elew Klaudia Wojnarowska. Po kilkuminutowej lustracji jednej izby żołnierskiej Ina wchodzi do następnej. Na razie wynik kontroli jest zadowalający. W żadnym miejscu pies nie dał przewodnikowi znaku, że coś wyczuł. Nie zawsze tak było. „Ina ma doskonały węch i potrafi znaleźć każdy rodzaj narkotyku. Ma na swoim koncie spore sukcesy w wykrywaniu amfetaminy, metamfetaminy i dopalaczy”, przyznaje plutonowy.

NIEPRAWIDŁOWOŚCI NA CELOWNIKU

Od 2018 roku Żandarmeria Wojskowa notuje wzrost liczby wszczynanych i wdrażanych śledztw, dochodzeń i postępowań sprawdzających. Zwiększyła się głównie liczba sprawców – żołnierzy popełniających przestępstwa polegające na kierowaniu pojazdami mechanicznymi po spożyciu alkoholu. Do takich zdarzeń na szczęście nie dochodzi w czasie pełnienia obowiązków służbowych, ale i tak zbyt duża jest liczba wypadków w czasie korzystania z prywatnych pojazdów mechanicznych. Przykłady?

8 listopada 2018 roku patrol policji w Łasku zatrzymał podoficera tamtejszej jednostki, który prowadził prywatny pojazd w stanie nietrzeźwości i uszkodził hydrant. W tym samym miesiącu policjanci z Zakopanego zatrzymali żołnierza, który po alkoholu spowodował wypadek drogowy i odjechał z miejsca zdarzenia. Oba postawiono zarzuty z art. 178a § 1 k.k. Tęgo rodzaju zdarzeń Żandarmeria odnotowuje w ciągu roku dziesiątki. Mniej występuje w armii przestępstw i wykroczeń związanych z narkotykami, ale za to są

ROZWÓJ JEST WAŻNY

W 2018 roku liczba zajęć profilaktycznych, czyli spotkań, pogadanek, prelekcji, szkoleń i instruktaży, które prowadzili żandarmi w jednostkach i instytucjach wojskowych, wzrosła o około 10%.

2017

5324
zajęć
profilaktycznych

616
odnosiło się
do zapobiegania
przestępstwom
korupcyjnym

2018

5700
zajęć
profilaktycznych

470
zostało poświęco-
nych bezpieczeń-
stwu podczas
korzystania z sieci
internetowych

2098
z nich dotyczyło
bezpieczeństwa
w ruchu
drogowym

2032
było na temat
zagrożeń związanych
z używaniem środków
psychoaktywnych,
takich jak alkohol
i narkotyki

36,8%
35,6%
10,8%
8,2%
8,6%

484
inne



one bardziej nagłaśniane przez media. 5 października 2018 roku żołnierze Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Elblągu zatrzymali dwóch szeregowych podejrzanych o posiadanie i udzielanie narkotyków oraz handel nimi. W trakcie prowadzonych czynności ujawniono znaczne ilości amfetaminy, papierosy bez polskich znaków akcyzy oraz kilkadziesiąt tysięcy złotych w gotówce. Kilka miesięcy wcześniej Żandarmeria zlikwidowała grupę przestępczą zajmującą się rozprowadzaniem narkotyków. W jej skład wchodziło 15 osób, w tym żołnierze i pracownicy dwóch mazowieckich jednostek wojskowych oraz osoby cywilne. W czasie przeszukań znaleziono amfetaminę pozwalającą na wprowadzenie do nielegalnego obrotu łącznie 1200 porcji narkotyków, susz i rośliny konopi indyjskich oraz akcesoria służące do ważenia i porcjowania narkotyków.

NIE TYLKO TEORIA

Chcąc reagować na te niepokojące zjawiska, żandarmi angażują się w różnego rodzaju akcje prewencyjne i programy profilaktyczne. Wolą dmuchać na zimne. „Zajmujemy się planowaniem, koordynowaniem i organizowaniem działań mających na celu przeciwdziałanie przestępczości i ograniczanie występowania niepożądanych zjawisk w Siłach Zbrojnych RP”, twierdzi gen. bryg. Tomasz Połuch, komendant główny Żandarmerii Wojskowej. „Nasze działania ukierunkowane są przede wszystkim na ograniczenie ryzykownych zachowań, związanych z prowadzeniem pojazdów pod wpływem alkoholu i używaniem środków psychoaktywnych, narkotyków czy dopalaczy”, dodaje płk Wojciech Łomnicki, szef Oddziału Profilaktyki KG ŻW. Zapewnia jednak, że starają się także przeciwdziałać przestępczości o charakterze korupcyjnym, naruszeniu dyscypliny wojskowej, a nawet zagrożeniom związanym z korzystaniem z internetu.

Po sprawdzeniu kilku izb żołnierskich plut. Zaskórski prowadzi Inę do szatni, gdzie kandydaci na żołnierzy przechowu-

ją ubrania cywilne. Akcja prewencyjna została połączona z działaniami profilaktycznymi, więc w kompanijnej świetlicy st. chor. sztab. Beata Cierpień z Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Żaganiu prowadzi w tym czasie pogadankę z elewami na temat złego wpływu narkotyków i środków psychoaktywnych na funkcjonowanie organizmu. Podczas prelekcji wyszło na jaw, że zmiany w prawie nie zawsze ułatwiają pracę żandarmom. Wojskowi policjanci nie mogą na przykład przeprowadzać wyrywkowych kontroli żołnierzy przy użyciu narkotestów. „Możemy to zrobić tylko wówczas, gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że żołnierz jest pod wpływem niedozwolonych substancji”, wyjaśnia st. chor. sztab. Cierpień. Dodaje, że ze względu na zmianę w przepisach wyszkolony pies nie może już obwąchiwać ludzi. W ten sposób sprawdza się teraz jedynie pomieszczenia służbowe, a na lotniskach także bagaże pasażerów w mundurach.

Działania prewencyjne i profilaktyczne to nie tylko tego rodzaju prelekcje. Wydziały i oddziały Żandarmerii zostały wyposażone w trenażery, dzięki którym żołnierze mogą się przekonać, jak niekorzystnie substancje psychoaktywne oddziałują na organizm. Podczas akcji antynarkotykowej we wrocławskim centrum elewi siadali za kierownicą symulatora 3D, w którym mogli poczuć się jak kierowca będący pod wpływem alkoholu. Przekonali się o tym, że ich reakcje są znacznie spowolnione. Tego rodzaju trenażerów żandarmi mają więcej: jeden symulator dachowania, osiem symulatorów jazdy w systemie 3D, 12 symulatorów zderzeń oraz kilkadziesiąt tzw. alkogogli, po założeniu których człowiek zachowuje się, jakby miał we krwi około 1 promila alkoholu.

ZAGROŻENIA W SIECI

Żandarmi odnotowują także zwiększającą się liczbę zdarzeń związanych z tzw. uzależnieniem sieciowym. Chodzi o korzystanie z internetu w czasie wykonywania obowiązków służbowych. Z roku na rok coraz większa jest niedozwolona aktywność żołnierzy na portalach społecznościowych, korzystanie z gier w godzinach pracy, a nawet uprawianie hazardu. „Tylko z pozoru są to przypadki mało przestępczotwórcze. Przy takiej aktywności może dochodzić do zawirusowania sprzętu służbowego, wycieku danych, a nawet ujawnienia tajemnic wojskowych”, wyjaśnia płk Łomnicki. Szef Oddziału Profilaktyki KG ŻW dodaje, że do internetu trafiają też różnego rodzaju zdjęcia sprzętu, fotografie wykonywane wewnątrz jednostek i baz wojskowych oraz informacje o nich.

Niestety, efekty wszelkich działań profilaktycznych i prewencyjnych są trudne do zmierzenia. Ich skuteczność można oceniać dopiero po analizie statystyk, w systemie długofalowych badań. Na razie jednak lepszej metody przeciwdziałania patologiom nie znaleziono.

We wrocławskim centrum, w szatni ubrań cywilnych Ina też nie zatrzymała się nigdzie na dłużej. Akcja prewencyjna zakończyła się pozytywnie. Plut. Zaskórski i jego czworoosobowa pupilka nie znaleźli żadnych narkotyków ani śladów wskazujących, że któryś z elewów miał z nimi kontakt. ■

**OD 2018 ROKU
ŻANDARMERIA
WOJSKOWA NOTUJE
WZROST LICZBY
WSZCZYNANYCH
I WDRAŻANYCH
ŚLEDZTW
I POSTĘPOWAŃ
SPRAWDZAJĄCYCH**

MILITARIA

/ PRZEGLĄD



ZWIĘKSZONA SIŁA RAŻENIA

Po wprowadzeniu do służby wieloprowadnicowych wyrzutni rakietowych HIMARS w polskiej armii nastąpi przełom, zarówno technologiczny, jak i operacyjno-taktyczny. Dzięki pociskom ATACMS o zasięgu 300 km nasze wojska rakietowe i artyleria zyskają możliwości, jakich nigdy jeszcze nie miały.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Zakup dywizjonu wyrzutni rakietowych HIMARS został przeprowadzony w formule Foreign Military Sales, czyli przez zawarcie umowy między rządami Rzeczypospolitej Polskiej oraz Stanów Zjednoczonych Ameryki.

AARON ELLERMAN / US ARMY



HIMARS

**EWOLUOWAŁ OD BRONI RAŻENIA
OBSZAROWEGO DO BRONI
PRECYZYJNEGO RAŻENIA**

W

ojska raketowe i artyleria do 2023 roku otrzymają 18 wyrzutni bojowych M-142 HIMARS (High Mobility Artillery Rocket System), dwie wyrzutnie szkolne, systemy kierowania ogniem AFATDS (Advanced Field Artillery Tactical Data Sys-

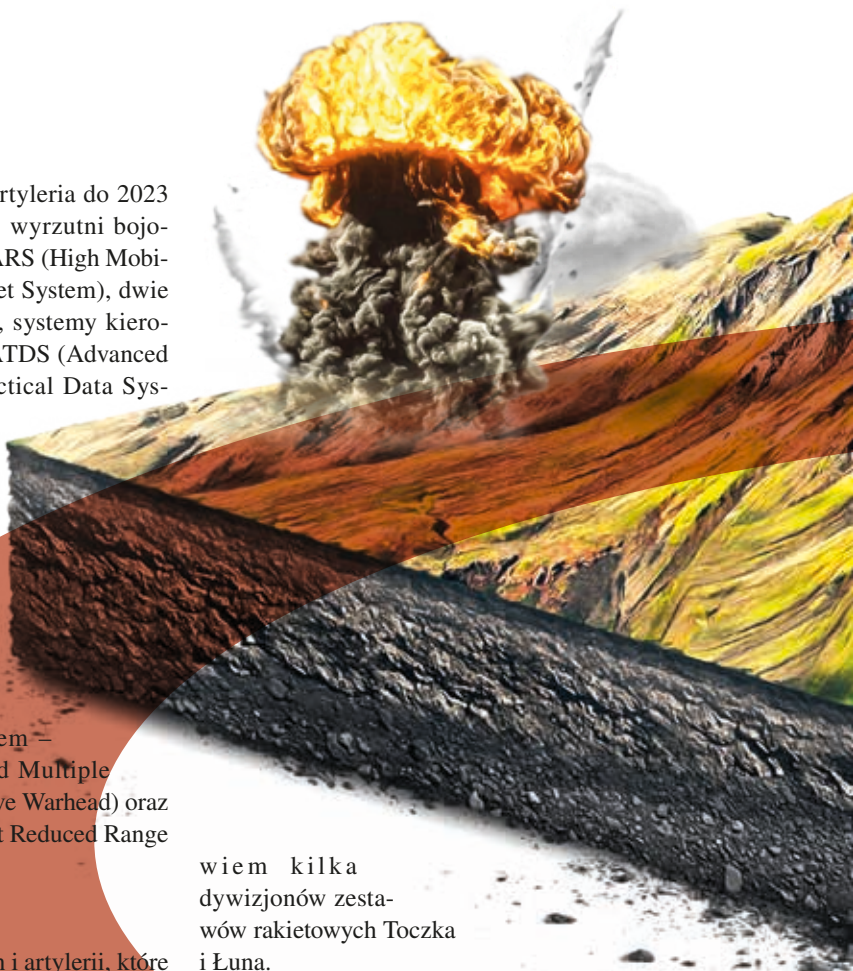
tems), pojazdy dowodzenia, wozy amunicyjne, ciągniki ewakuacyjne, a także pakiet logistyczny i szkoleniowy. Oreżem polskiego HIMARS-a, który w rodzimej armii otrzymał oznaczenie Homar, będą trzy typy pocisków bojowych: ATACMS (Army Tactical Missile System), GMLRS-U (Guided Multiple Launch Rocket System – Unitary), GMLRS-AW (Guided Multiple Launch Rocket System Alternative Warhead) oraz rakiety szkolne LCRR (Low Cost Reduced Range Practice Rocket Pods).

NOWY WYMIAR

Dla naszych wojsk raketowych i artylerii, które dysponują systemami uzbrojenia o maksymalnym zasięgu około 70 km, czyli wyrzutniami WR-40 Langusta z unowocześnionymi pociskami Feniks, pozyskanie wyrzutni HIMARS, które pozwalają razić cele oddalone nawet o 300 km, to zmiana fundamentalna. „Wprowadzenie ich do służby przywróci wojskom raketowym i artylerii zdolność do rażenia operacyjnego, czyli na większe odległości, którą utraciliśmy w 2005 roku, kiedy zostały wycofane ze służby zestawy 9K79 Toczka o zasięgu około 70 km, a parę lat wcześniej zestawy 9K52 Łuna-M”, wyjaśnia były dowódca wojsk raketowych i artylerii, gen. bryg. rez. Jarosław Wiercholski, który dodaje, że jeszcze na początku XXI wieku polska artyleria raketowa dalekiego zasięgu była siłą, z którą ewentualny przeciwnik musiał się liczyć. Do dyspozycji mieliśmy bo-

wiem kilka dywizjonów zestawów raketowych Toczka i Łuna.

Kupno HIMARS-ów nie będzie jednak tylko prostym odbudowaniem zdolności do operacyjnego rażenia, ale nadaniem mu zupełnie nowego wymiaru. Rodzima artyleria nigdy dotąd nie dysponowała bronią mogącą zwalczać cele oddalone o kilkaset kilometrów. Co więcej, do momentu zakupu w grudniu 2014 roku 40 manewrujących raket powietrze–ziemia AGM-158A JASSM (do samolotów F-16 Jastrząb), których zasięg rażenia wynosi około 370 km, całe polskie siły zbrojne nie miały uzbrojenia pozwalającego zwalczać oddalone o więcej niż kilkadziesiąt kilometrów cele naziemne. Morские tak, bo w 2008 roku kupiliśmy przeciwookrętowe rakiety NSM (Naval Strike Missile), którymi można niszczyć jednostki nawodne nieprzyjaciela z odległości nawet 200 km. Lądowych obiektów,



GMLRS

GUIDED MULTIPLE LAUNCH ROCKET SYSTEM

Zasięg
od 8 do 70 km
(niektóre źródła podają,
że jest to 80 km)

Waga od 254
do około 300 kg
(w zależności od wersji)

Długość 3,93 m

Głowica bojowa
od 20 do około 90 kg
(w zależności od wersji)

Średnica
227 mm



Zasięg
maksymalny
około
300 km

Prędkość
około 3 Ma

MGM-140 ATACMS

Najwyższy
pałap lotu
50 km

Naprowadzanie
na cel
w końcowej
fazie lotu GPS

Głowica bojowa powyżej 200 kg
(w zależności od wersji)

Waga powyżej
1600 kg
(w zależności
od wersji)

Średnica
610 mm

Długość 3,98 m

takich jak stanowiska dowodzenia nieprzyjaciela, centra łączności, kluczowe radary, magazyny paliw czy składy amunicji, nie mieliśmy jednak czym razić.

SPRAWDZONY SYSTEM

Prezydent Andrzej Duda, podpisując 13 lutego 2019 roku kontrakt na dostawę dywizjonu wyrzutni HIMARS, podkre-

ślał, że kupujemy uzbrojenie nie tylko nowoczesne, ale i sprawdzone. „HIMARS jest bronią wypróbowaną w warunkach bojowych”, mówił.

Amerykanie prace nad nowym mobilnym wieloprowadnicowym systemem artylerii raketowej rozpoczęli w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Tamtejsi stratedzy doszli bowiem do wniosku, że nie sprawdza się dotychczasowa



POLSKA ARMIA WRAZ Z 20 WYRZUTNIAMI HIMARS ZAMÓWIŁA WSZYSTKIE DOSTĘPNE DO NICH TYPY RAKIET

doktryna wojenna wojsk lądowych, dająca priorytet artylerii lufowej. Punktem przełomowym była wojna Jom Kippur, w czasie której wojska egipskie i syryjskie zadawały Izraelczykom bardzo dotkliwe straty, dzięki temu, że wykorzystaly na dużą skalę wyrzutnie raketowe BM-21.

Stworzona na podstawie wniosków i doświadczeń z tego konfliktu nowa doktryna zakładała, że żołnierze NATO – do prac koncepcyjnych zaangażowano cały Sojusz – muszą mieć do dyspozycji raketową artylerię wsparcia (General Support Rocket System – GSRS), która będzie wspomagała jednostki pancerne. Zlecenie opracowania odpowiedniego uzbrojenia, czyli wieloprowadnicowej wyrzutni raketowej kalibru 227 mm, osadzonej na podwoziu gąsienicowym, otrzymały w 1977 roku firmy Boeing i Vought Aerospace. Efektem ich prac były prototypowe wyrzutnie M270 Multiple Launch Rocket System (MLRS), które przekazano amerykańskiemu wojsku do testów w 1980 roku. Pierwsza seryjna jednostka trafiła do służby w 1983 roku.

MLRS nie był projektowany jako broń rażenia precyzyjnego, lecz obszarowego. Dlatego uzbrojono go przede wszystkim w rakiety z głowicami kasetowymi. Ich zasięg nie był imponujący, bo około 30 km. Nie należy się zatem dziwić, że w tym samym roku, kiedy wprowadzono do służby pierwsze wyrzutnie MLRS, amerykańska armia uruchomiła program opracowania do nich pocisków o zdecydowanie większym zasięgu. Tak naprawdę to było coś więcej, bo Army Tactical Missile System, nazywany również Joint Tactical Missile System, zakładał skonstruowanie całej rodziny pocisków kalibru 607 mm – od takich z głowicami odłamkowo-burzącymi, przez kumulacyjne, aż po subamunicyjne. Dzięki dywersyfikacji środków ogniowych dowódcy mieli zyskać większą swobodę operacyjną. Kiedy trzeba zniszczyć strategiczny bunkier, sięga się po jeden typ rakiety, a kiedy na celownik bierze się kolumnę pojazdów – po drugi. Pierwsze rakiety MGM-140 ATACMS firmy Lockheed Martin o zasięgu około 130 km trafiły do służby w 1990 roku, tuż przed wybuchem pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Chrzest bojowy przeszedł 18 stycznia 1991 roku. W czasie wojny z Irakiem z wykorzystaniem MLRS łącznie wystrzelono około 9 tys. rakiet, z czego tylko 32 sztuki ATACMS.

ULEPSZANIE DOBREGO

Amerykańskie wojska lądowe były tak zadowolone z MLRS, że gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku dowództwo Korpusu Piechoty Morskiej zgłosiło

potrzebę doposażenia tego rodzaju sił zbrojnych w mobilne zestawy raketowe, Pentagon zlecił koncernowi Lockheed Martin opracowanie kołowej wersji M270. Prototypowy M142 HIMARS przekazano armii do testów w 1998 roku. W 2003 roku podpisano kontrakt na produkcję seryjną, a pierwsze zestawy weszły do służby w 2005 roku.

US Army i Marine Corps nie porzuciły jednak tylko na pozyskaniu nowego typu wyrzutni raketowych. Zleciły przemysłowi opracowanie również całej gamy naprowadzanych na cel pocisków (kierowanych), które miały sprawić, że MLRS i HIMARS z broni obszarowej stałyby się bronią precyzyjnego rażenia. Firma Lockheed Martin działała pod dużą presją czasu, bo armia, ze względu na planowaną operację militarną przeciwko Irakowi, chciała mieć nowe rakiety w linii jak najszybciej. Opracowała zatem dwa typy precyzyjnych rakiet kalibru 227 mm do systemu M270 – pociski Guided Multiple Launch Rocket System – Unitary (GMLRS-U) oraz Guided Multiple Launch Rocket System Alternative Warhead (GMLRS-AW). Pierwsze, wyposażone w 90-kilogramową głowicę odłamkowo-burzącą, mają zasięg około 70 km i na cel są naprowadzane w końcowej fazie lotu przez system nawigacji satelitarnej (GPS), dzięki czemu umożliwiają trafienie w cel z dokładnością do kilku metrów. Drugi typ rakiet ma identyczny zasięg i system naprowadzania. Jest też wyposażony w głowicę o wadze około 90 kg, ale mieści się w niej kilkanaście mniejszych ładunków (subamunicja). Dzięki temu pociski te lepiej nadają się do atakowania siły żywej nieprzyjaciela, kolumn pojazdów, magazynów i składów amunicji czy paliw.

MIEJSCE PRZEZNACZENIA

Polska armia wraz z 20 wyrzutniami HIMARS zamówiła wszystkie dostępne do niego typy rakiet. Amerykański Kongres zgodził się na sprzedaż naszemu krajowi 36 pakietów pocisków (sześć w każdym) Guided Multiple Launch Rocket System – Unitary (GMLRS-U), dziewięć pakietów po sześć rakiet GMLRS-AW, 30 pocisków balistycznych ATACMS oraz 20 pakietów rakiet szkolnych (LCRR).

Dokąd trafią systemy raketowe w nie wyposażone? Na razie resort obrony narodowej unika jednoznacznego wskazania jednostki, która zostanie uzbrojona w nowy typ broni. Minister Mariusz Błaszczak zasugerował tylko w jednym z wywiadów, że będzie to ściana wschodnia i nowo tworzona 18 Dywizja Zmechanizowana. Przekonamy się o tym w 2023 roku, kiedy dywizjon homarów trafi do naszego kraju. ■



Leopardy w pułapce

Rok 2016 był jednym z najgorszych w dziejach współczesnej armii tureckiej (Türk Silahlı Kuvvetleri – TSK). Najpierw 15 lipca część jednostek sił lądowych, głównie zmechanizowanych i pancernych, wyszła wraz ze swym sprzętem z koszar, żeby obalić rządy prezydenta Recepta Erdoğan. Pucz zakończył się fiaskiem już po kilkunastu godzinach i doprowadził do fali czystek w szeregach TSK. Kilka miesięcy później osłabiona armia turecka została wysłana do walki w północnej Syrii. Formalnym celem operacji „Tarcza Eufratu” było zwalczanie formacji Państwa Islamskiego (IS), ale Ankarze chodziło bardziej o zahamowanie postępów syryjskich sił kurdyjskich. Dziesięciokrotnie w wyniku masowych aresztowań wśród kadry oficerskiej i szeregowych żołnierzy TSK nie była jednak w stanie właściwie wywiązać się z zadań. Siły tureckie, wspierane przez „prodemokratyczne” formacje syryjskie z Wolnej Armii Syryjskiej (Free Syrian Army – FSA), utknęły już kilkanaście kilometrów od granicy, a ich postępy każdorazowo okupione były dużymi stratami w ludziach i sprzęcie. Wtedy właśnie świat obiegły szokujące filmy, pokazujące jak bojownicy z łatwością „odstrzelują” tureckie czołgi przy użyciu przeciwpancernych pocisków kierowanych ATGM (Anti-Tank Guided Missile). Między sierpniem a październikiem 2016 roku Turcy stracili w północnej Syrii kilkanaście czołgów typu M-60A3 i drugie tyle różnego rodzaju pojazdów opancerzonych. Niezwyciężona dotychczas armia turecka zaczęła się chwiać w posadach. Nic dziwnego, że zdesperowani Turcy podjęli późną jesienią 2016 roku brzemienne w skutkach decyzję o użyciu na froncie syryjskim swych najlepszych maszyn – Leopardów 2A4.

NIEMIECKA TECHNOLOGIA

Turcja dysponuje 325–350 (według różnych źródeł) czołgami tego typu. Dostała je od Niemiec z nadwyżek Bundeswehry na początku stulecia. Przy czym Berlin tę transakcję obwarował warunkiem, że leopardy nigdy nie zostaną użyte w działaniach zbrojnych przeciwko ludności kurdyjskiej w Turcji. Leopardy 2A4, jako najnowocześniejsze w arsenale tureckim, znalazły się w wyposażeniu jednostek wchodzących w skład 1 Armii TSK, rozmieszczonej na zachodzie i północy kraju.

**Dlaczego tureccy
żołnierze ponieśli
sromotną klęskę, jeżeli
posługiwali się jednym
z najnowocześniejszych
i najlepszych narzędzi
wojennych?**

T O M A S Z O T Ł O W S K I

O ile jednak załogi tureckich leopardów szkolono według najwyższych standardów NATO, o tyle maszyny nie były przystosowywane do szybko zmieniających się warunków pola walki.

W grudniu 2016 roku turecki sztab generalny zdecydował o przerzucie na front syryjski kilku batalionów TSK wyposażonych w czołgi Leopard 2A4, głównie z 2 Brygady. Sytuacja Turków w operacji „Tarcza Eufratu” stała się tymczasem tak zła, że po dotarciu na miejsce dyslokacji w południowej Turcji pododdziały pancerne TSK niemal wprost z ramp kolejowych musiały wejść do akcji w sąsiedniej Syrii.

W połowie grudnia 2016 roku protureckie formacje FSA, wspierane przez pododdziały TSK i tureckie lotnictwo, przystąpiły do kolejnej ofensywy na silnie ufortyfikowane przez bojowników Państwa Islamskiego miasto Al-Bab. Ankarze zależało, by zająć tę aglomerację, zanim dotrą do niej oddziały syryjskich sił rządowych lub Syryjskich Sił Demokratycznych (Syrian Democratic Forces – SDF). Do kulminacji starć doszło 12–17 grudnia 2016 roku, przy czym wyjątkowo feralny okazał się 16 grudnia. Tego dnia w kolejnym ataku sił tureckich i FSA na zachodnie przedmieścia Al-Bab wykorzystano około 30 czołgów Leopard 2A4 i 10–12 maszyn typu M60T Sabra (turecka modyfikacja tego czołgu przeprowadzona przez Izraelczyków). To spory potencjał, ale wozy te działały bez odpowiedniej osłony własnej piechoty – jeśli nie liczyć kilkuset Syryjczyków z FSA, poruszających się głównie tureckimi transporterami opancerzonymi (ACV-15 i Otokar Kobra) oraz kilkudziesięciu żołnierzy z sił specjalnych TSK.

Turkom nie sprzyjała też pogoda – mróz, duże zachmurzenie, mgła i przelotne opady śniegu utrudniały działania lotnictwa i artylerii. Co gorsza, nacierające oddziały tureckie nieustannie szarpane były przez mobilne grupy bojowe IS, wyposażone w ciężką broń maszynową, RPG i wyrzutnie ATGM. W rezultacie bojownikom kalifatu udało się nie tylko skutecznie opóźnić tempo działań nacierających sił TSK, lecz także pokrzyżować pierwotne plany ich dowództwa. Zmuszone ono zostało do podzielenia oddziałów na wiele mniejszych ugrupowań szturmujących odrębne punkty oporu islamistów. Turcy dali się wciągnąć w przygotowany przez IS system wzajemnie się uzupełniających i flankujących



Zniszczony pod Al-Bab turecki Leopard 2A4

LEOPARDY NIE BYŁY PRZYSTOSOWANE DO SZYBKO ZMIENIAJĄCYCH SIĘ WARUNKÓW WSPÓŁCZESNEGO POLA WALKI, MIMO ŻE ICH ZAŁOGI SZKOŁONO ZGODNIE Z NAJNOWSZYMI STANDARDAMI NATO

pułapek i zasadzek ogniowych. Skutki prowadzonej w takich warunkach kilkugodzinnej chaotycznej bitwy okazały się dla elity sił pancernych TSK opłakane.

SROMOTNA KLĘSKA

Do dzisiaj nie wiadomo, co dokładnie stało się owego 16 grudnia 2016 roku. Wiemy jedynie, że po przegranej na polu starcia pozostało dziesięć wyeliminowanych z walki leopardów oraz kilka innych pojazdów tureckich. Spośród tych maszyn co najmniej pięć to wypalone i zdruzgotane wraki, z oderwanymi wieżami lub rozprutymi wskutek wybuchu amunicji czołgowej korpusami. Dwa leopardy – najmniej uszkodzone – islamiści odholowali z pola bitwy jako wojenne trofea. Z biegiem czasu pojawiło się wiele analiz przebiegu starcia pod Al-Bab, sporządzonych m.in. na podstawie oceny danych fotograficznych z miejsca walki. Wszystkie zdjęcia i filmy pochodzą jednak z materiałów propagandowych IS, a część z nich wykonano w kilka tygodni po walce.

Jak oceniają eksperci, spośród dziesięciu wyeliminowanych czołgów Leopard 2A4 co najmniej sześć zostało skutecznie porażonych (choć z różnym skutkiem) przez kierowane pociski

przeciwpancerne (Fagot lub Konkurs), trzy padły ofiarą improvizowanych ładunków wybuchowych lub fugasów, a jeden poważnie uszkodzono zapewne za pomocą samobójczego pojazdu z improvizowanym urządzeniem wybuchowym SVBIED (Suicide Vehicle-Borne Improvised Explosive Device). Sugeruje to, że nacierające ugrupowanie turecko-syryjskie znalazło się w zasadzce precyzyjnie przygotowanej przez islamistów. Świadczyć o tym może również to, że wszystkie leopardy wyeliminowane przy użyciu ATGM zostały trafione z boku lub z tyłu, czyli w miejsca, gdzie pancierz jest najsłabszy. Jest to zatem koronny dowód na to, że atakujące czołgi nie miały w czasie walki należytej osłony własnej piechoty.

Zdaniem niektórych specjalistów stopień zniszczenia co najmniej trzech czołgów sugeruje też, że najpewniej zostały one – już po bitwie – „dobite” przez lotnictwo tureckie, aby zapobiec przejściu ich przez IS. Warto dodać, że do dzisiaj nie wiadomo też, jaka była skala strat wśród załóg maszyn, które znalazły się w zasadzce pod Al-Bab. Dowództwo TSK długo zaprzeczało, że w ogóle straciło w Syrii jakiegokolwiek leopardy.

Doniesienia z Syrii na temat skali strat tureckich sił pancernych zszokowały zarówno profesjonalistów, na co dzień zajmu-



Tureckie porażki w Syrii z udziałem czołgów Leopard 2A4 ponownie ożywiły – trwającą co najmniej od dwóch dekad – dyskusję o przyszłości tych wozów, a zwłaszcza o ich przydatności w dominujących na świecie wojnach o charakterze asymetrycznym.

XINHUA / EYEVINE / FORUM

jących się wojskowością i bezpieczeństwem, jak i opinię publiczną na Zachodzie, szczególnie w Niemczech. Nic dziwnego – klęska Turków pod Al-Bab to nie tylko pierwsze nieodwracalne straty bojowe czołgów Leopard 2 od chwili ich wprowadzenia do służby przed czterema dekadami. To również bodajże pierwszy wypadek, gdy armia wystawiająca do walki nowoczesne czołgi najnowszej generacji traci w jednym starciu (do tego asymetrycznym) aż tyle maszyn naraz. Nie udało się tego dokonać nawet Irakijczykom, dość nieudolnie wykorzystującym amerykańskie maszyny Abrams A1M1-SA w walkach z oddziałami IS w zachodnim Iraku w latach 2014–2015.

PRZYSZŁOŚĆ POD ZNAKIEM ZAPYTANIA

Tureckie porażki w Syrii z udziałem Leopardów 2A4 ponownie ożywiły – trwającą co najmniej od dwóch dekad – dyskusję o przyszłości czołgów, a zwłaszcza ich przydatności w dominujących na świecie wojnach o charakterze asymetrycznym. Warto jednak pamiętać, że leopardy, tak jak inne typy czołgów najnowszej generacji, to bojowe maszyny zaprojektowane i konstruowane na bazie klasycznych reguł operowania sił pancernych na polu walki. Chodzi o rozgrywanie bitew pancernych w bliskiej kooperacji z piechotą, lotnictwem i artylerią, a nie działania w terenie zurbanizowanym (do tego bez odpowiedniego rozpoznania i wsparcia) czy też operacje o charakterze przeciwpartyzanckim (COIN) i asymetrycznym.

Przegrana przez Turków bitwa o Al-Bab z grudnia 2016 roku wymaga też odpowiedniego umiejscowienia w kontekście operacyjnym i politycznym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że problem dotyczy nie tyle samych czołgów, ile załóg poszczególnych maszyn, a także dowódców pododdziałów oraz kendantów szczebla strategicznego i polityków decydujących o podjęciu tej operacji. Na grudzień 2016 roku przypadało apogeum represji w tureckiej armii. Nie tylko jej morale, ale też obiektywne zdolności bojowe zostały bardzo poważnie nadzarpanięte. Było tak w przypadku zwłaszcza tych jednostek, które najaktywniej uczestniczyły w próbie obalenia konstytucyjnego porządku w Turcji. A do nich należała m.in. właśnie 2 Brygada Pancerna ze Stambułu. Jej leopardy zablokowały wieczorem 15 lipca 2016 roku mosty nad Bosforem oraz główne place i skrzyżowania miasta. Być może były wśród nich maszyny, które pięć miesięcy później zakończyły swój żywot pod Al-Bab. Jeśli nawet, to ich załogi walczące w Syrii były już jednak z pewnością zupełnie nowe – niedostatecznie wyszkolone, niezgrane i jeszcze gorzej dowodzone, zarówno na poziomie drużyny, jak i wyższych szczebli działania. Suma tych błędów sprawiła, że TSK poniosła jedną z największych porażek w swej stuletniej historii. Tym bardziej upokarzającą, że tureccy żołnierze posługiwali się jednym z najnowocześniejszych i najlepszych w swej klasie narzędzi wojennych, jakim bez wątpienia są i długo jeszcze pozostaną czołgi typu Leopard 2. ■

Polityczne transakcje

Handel bronią jest ściśle powiązany z polityką, a ta czasami powoduje, że transakcje nie przynoszą skutku, kontrakty zaś zostają zerwane.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Najwięksi producenci uzbrojenia mają różne podejście do zasad sprzedaży broni. Niektórzy nie zgadzają się na jej eksport do krajów, które naruszają prawa człowieka. Zdarza się, że do umów o sprzedaży uzbrojenia i sprzętu wojskowego wprowadzane są specjalne klauzule nakładające ograniczenia co do jego użycia przez nabywcę. Takich warunków nie stawiają na przykład Chiny czy Rosja, dlatego część państw decyduje się na współpracę wojskowo-techniczną z firmami z tych krajów.

BLOKADA EKSPORTU

W ostatnich miesiącach doszło do sporu pomiędzy Niemcami a Francją i Wielką Brytanią w kwestii eksportu uzbrojenia do Arabii Saudyjskiej. Berlin wprowadził bowiem czasowy zakaz jego sprzedaży monarchii z Półwyspu Arabskiego. Minister spraw zagranicznych Heiko Maas poinformował, że do końca marca nie zostały wydane żadne zgody na eksport. Co więcej, sprzęt, na który zostały one podpisane wcześniej, nie będzie dostarczony.

Zakaz został wymuszony przez Socjaldemokratyczną Partię Niemiec, tworzącą koalicyjny rząd razem z chadecją. Jej politycy wskazali jako jeden z powodów wojnę domową w Jemenie, w której uczestniczy Arabia Saudyjska. Szacuje się, że od 2015 roku zginęło w tym konflikcie około 10 tys. osób. Wojna spowodowała też wielki kryzys humanitarny. Innym powodem są zarzuty o łamanie praw człowieka przez monarchię Saudów. Niemieckie embargo wprowadzono po

brutalnym zamordowaniu opozycyjnego dziennikarza Dżamala Chaszodżdżiego 2 października 2018 roku w saudyjskim konsulacie w Stambule. Pojawiły wówczas doniesienia, że o zabójstwie zdecydowano na najwyższych szczeblach władzy w Rijadzie.

Embargo oprócz przedstawicieli niemieckiego przemysłu obronnego ostro krytykują również Francja i Wielka Brytania. Oba te kraje nadal dostarczają do Arabii Saudyjskiej broń, której części lub komponenty pochodzą z Niemiec. Ponieważ zawierają je także wyroby przeznaczone dla ich własnych sił zbrojnych, Francuzi i Brytyjczycy chcą wyłączenia spod embargo programów wielonarodowych. Takimi przykładami są samolot wielozadaniowy Typhoon i pocisk rakietowy powietrze–powietrze Meteor.

Prezes europejskiego koncernu lotniczo-zbrojeniowego Airbus Tom Enders ostrzegł, że działania socjaldemokratów mogą storpedować plany niemiecko-francuskiej współpracy obronnej i doprowadzić do izolacji Berlina w Europie. Firma Endersa liczy na to, że uda się podpisać z Saudyjczykami umowę na dostawę transportowców A400M. Podobne ostrzeżenie o negatywnych skutkach embargo dla obecnych i przyszłych europejskich projektów wojskowych wystosował Matthias Wachter, szef działu bezpieczeństwa i surowców w Federacji Niemieckiego Przemysłu (Bundesverband der Deutschen Industrie e.V.). Wśród już zapowiedzianych wspólnych projektów niemiecko-francuskich można wymienić nowej generacji samolot wielozadaniowy i czołg.



Minister spraw zagranicznych HEIKO MAAS poinformował, że do końca marca nie zostały wydane żadne zgody na eksport uzbrojenia do Arabii Saudyjskiej.

Spór pomiędzy Berlinem a Paryżem i Londynem pokazuje, że poza wieloma pozytywnymi aspektami programy wielonarodowe niosą też ryzyko. Jest ono jeszcze większe, gdy partnerzy nie mają uzgodnionej wspólnej polityki zagranicznej, a co się z tym łączy – wspólnej polityki eksportu uzbrojenia. Krokiem w kierunku jej stworzenia jest traktat z Akwizgranu o pogłębieniu współpracy niemiecko-francuskiej, który podpisali 22 stycznia tego roku kanclerz Angela Merkel i prezydent Emmanuel Macron. Znalazły się w nim zapisy, że oba kraje będą razem eksportowały wspólnie opracowane uzbrojenie. Przewidziano stworzenie stałego organu, który ma doradzać w podstawowych kwestiach dotyczących eksportu. Jednak problemem są nadal aspekty polityki wewnętrznej. W wypadku Niemiec socjaldemokratyczni politycy ostro przeciwstawiają się eksportowi broni nie tylko do Arabii Saudyjskiej, lecz także do wszystkich stref konfliktu. Tym samym nie można wykluczyć pojawienia się sytuacji patowych w przyszłości.

Problemy polityczne związane z eksportem broni do państw, których działania naruszają prawa człowieka, nie są niczym nowym. Na początku 2018 roku głośno było o ogłoszonej przez Bell Helicopters 6 lutego sprzedaży 16 śmigłowców Bell 412 EPI Filipinom. Była to umowa międzyrządowa pomiędzy filipińskim resortem obrony a Canadian Commercial Corporation. Bell podawał, że maszyny będą używane podczas akcji pomocy ofiarom katastrof, misji poszukiwawczo-ratowniczych oraz do transportu osób i ładunków. Jednak władze w Manili wymieniły też operacje „antyterrorystyczne”, w tym ewakuacje żołnierzy rannych w walkach z rebeliantami. Wtedy uaktywnili się kanadyjscy obrońcy praw człowieka, wyrażając obawy co do sposobu wykorzystania śmigłowców przez administrację kontrowersyjnego prezydenta Rodriga Dutertego. Wskazano m.in. na pozasądowe zabójstwa tysięcy ludzi podejrzanych o związki z narkotykami. Premier Justin Trudeau polecił wówczas przeprowadzenie przeglądu pod kątem przestrzegania praw człowieka na Filipinach. Zirytowany tym Duterte



PRZYKŁADEM ZASTOSOWANIA PRZEPISÓW ITAR ORAZ USTAWY O KONTROLI EKSPORTU UZBROJENIA JEST ZABLOKOWANIE SPRZEDAŻY PRZEZ FRANCJĘ DRUGIEJ TRANSZY 12 SAMOLOTÓW WIELOZADANIOWYCH RAFALE EGIPTOWI. SPRZECIW DOTYCZYŁ UZBROJENIA TYCH MASZYN – POCISKÓW SCALP, W KTÓRYCH SĄ AMERYKAŃSKIE KOMPONENTY.

WIĘKSZOŚĆ EKSPORTOWANEGO UZBROJENIA POCHODZI ZE ŚWIATA ZACHODNIEGO, A GŁÓWNYM GRACZEM NA RYNKU POZOSTAJĄ AMERYKANIE

anulował kontrakt na belle. Stwierdził też, że nie ma co kupować broni w Kanadzie i USA, bo zawsze są stawiane jakieś warunki.

Mimo to w grudniu 2018 roku ogłoszono, że Filipiny zakupią 16 amerykańskich maszyn Black Hawk. W styczniu pojawiła się zaś informacja, że będą to S-70i produkowane w Mielcu (Filipiny przed laty kupiły 8 egzemplarzy W-3 Sokół ze Świdnika). Jak ujawnił filipiński minister obrony Delfin Lorenzana, Duterte dał zielone światło, choć decyzja sił powietrznych była sprzeczna z jego zapowiedzią o niekupowaniu broni od Amerykanów.

PRECYZYJNA KONTROLA

Wcześniej Filipiny były bliskie zakupu śmigłowców Mi-171 od Rosji. Jednak ostatecznie nie podjęto tej decyzji. Oprócz atrakcyjnych warunków finansowych zaproponowanych przez Waszyngton (Filipińczycy mają na ten zakup 240 mln dolarów) ważne były, jak ujawnił minister Lorenzana, obawy przed amerykańskimi sankcjami. Zgodnie z podpisaną 2 sierpnia 2017 roku przez prezydenta Donalda Trumpa ustawą (Countering America's Adversaries Through Sanctions Act) grożą one krajom, które będą kupować uzbrojenie od państw uznanych za przeciwników USA – Rosji, Iranu i Korei Północnej.

Kontrola nad eksportem uzbrojenia i sprzętu wojskowego jest ważną częścią amerykańskiej polityki zagranicznej oraz promocji własnej zbrojeniówki. Kwestie te obejmują przyjęte jeszcze podczas zimnej wojny w 1976 roku regulacje międzynarodowego przepływu uzbrojenia (International Traffic in Arms Regulations – ITAR) oraz ustawa o kontroli eksportu uzbrojenia (Arms Export Control Act). Reżim ten dotyczy transferu gotowych produktów powstałych nie tylko w USA, lecz także w innych państwach, jeśli wykorzystano w nich jakieś amerykańskie części bądź technologie.



ROSYJSKI SPRZECIW

Na początku roku w mediach południowokoreańskich pojawiła się informacja, że Moskwa naciska na Indie, aby nie kupowały tamtejszego uzbrojenia przeciwlotniczego. Kontrakt wartości około 2,7 mld dolarów dotyczy systemu artyleryjsko-rakietowego K30 Biho (na zdjęciu). Rosjanie blokują eksport, ponieważ Koreańczycy do stworzenia systemu wykorzystali ich technologię. ■

Dobrym przykładem zastosowania tych przepisów jest zablokowanie sprzedaży przez Francję drugiej tranzy 12 samolotów wielozadaniowych Rafale Egiptowi. W tym wypadku sprzeciw dotyczył uzbrojenia tych maszyn – pocisków manewrujących Scalp, w których są amerykańskie komponenty. „To prawda, że jesteśmy zależni od tego mechanizmu. Jesteśmy na łasce Amerykanów, gdy chodzi o nasz sprzęt”, przyznała francuska minister sił zbrojnych Florence Parly podczas posiedzenia Komisji Obrony Narodowej i Sił Zbrojnych w Zgromadzeniu Narodowym 4 lipca ubiegłego roku. Według niej egipski kontrakt nie jest jeszcze stracony, bo producent pocisków, firma MBDA, może opracować komponenty, które zastąpią te amerykańskie.

W 2006 roku USA wykorzystały ITAR do blokady transakcji pomiędzy EADS CASA a Wenezuelą, którą rządził skonfliktowany z Amerykanami prezydent Hugo Chavez. Umowa doty-

czyła sprzedaży dziesięciu transportowców C-295 i dwóch morskich maszyn patrolowych CN-235MP. Europejczycy stracili wart pół miliarda euro kontrakt na rzecz Chin, gdzie zamówiono samoloty Y-8. Z podobnych powodów w 2006 roku Brazylii nie udało się sprzedać 36 lekkich szturmowych samolotów Super Tucano Wenezueli, a kilka lat później Czechom sześciu samolotów bojowych L-159 ALCA Boliwii.

Oczywiście amerykański system obejmuje głównie firmy krajowe, które w razie jego naruszenia muszą liczyć się z karami. Z drugiej strony blokada dotyczy tylko niewielu umów, a zagraniczni producenci, jeśli akceptują politykę USA, mogą liczyć na dostęp do zaawansowanych technologii i duże zamówienia. Przykładem jest chociażby wielomiliardowy kontrakt EADS Eurocopter na wojskowe maszyny EC-145 (UH-72 Lakota). Innym sposobem na obejście ITAR jest wprowadzenie zamienników amerykańskich komponentów, ale to bywa kosztowne. ■

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

 **Targi Kielce**
exhibition & congress centre



MSPO

XXVII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

WYSTAWA NARODOWA USA



3-6.09.2019, Kielce

Partner strategiczny



www.mspo.pl

GOŹDZIK Z KRABEM

Najnowocześniejszym działem samobieżnym w polskim arsenale jest armatohaubica Krab. Wojsko Polskie dysponuje jednak podobnym sprzętem różnego kalibru.

W połowie lat osiemdziesiątych XX wieku do Wojska Polskiego wprowadzono osiem samobieżnych 203-milimetrowych armat połowych kupionych w Związku Radzieckim. Poza amunicją konwencjonalną piony były przygotowane do użycia granatów chemicznych i jądrowych. Działa te wycofano z uzbrojenia WP w 2006 roku.

2S7 PION

- ❶ Masa bojowa – 45 t
- ❷ Trakcja – gąsienicowa
- ❸ Długość – 13,1 m
- ❹ Szerokość – 3,38 m
- ❺ Wysokość – 3 m
- ❻ Uzbrojenie – armata 2A44 203,2 mm/55,3 kalibra
- ❼ Zasięg ognia – 37,5–47,5 km
- ❽ Załoga – 7 osób



WZ.1977 DANA

- ❶ Masa bojowa – 29,25 t
- ❷ Trakcja – kołowa 8x8
- ❸ Długość – 11,35 m
- ❹ Szerokość – 3 m
- ❺ Wysokość – 3,35 m (bez karabinu maszynowego)
- ❻ Uzbrojenie – armatohaubica 152,4 mm/36,5 kalibra; przeciwlotniczy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm
- ❼ Zasięg ognia – 18,7–20 km
- ❽ Załoga – 4+1 osób

W 1983 roku Polska kupiła czesko-słowackie samobieżne armatohaubice kalibru 152 mm, zaprojektowane w latach siedemdziesiątych XX wieku na ośmiokołowym podwoziu ciągnika T-815 VT Kolos firmy Tatra. Działo wyposażono w automatyzowany układ ładowania.





2S1 GOŹDZIK

- ❶ Masa bojowa – 15,7 t
- ❷ Trakcja – gąsienicowa
- ❸ Długość – 7,26 m
- ❹ Szerokość – 2,85 m
- ❺ Wysokość – 2,74 m
- ❻ Uzbrojenie – haubica 2A31 122 mm/35 kalibrów
- ❼ Zasięg ognia – 15,2 km
- ❽ Załoga – 4 osoby

W 1974 roku do artylerii wojsk lądowych zaczęto wprowadzać samobieżne haubice kalibru 122 mm, zbudowane na wydłużonym podwoziu transportera MTLB. Dziesięć lat później uruchomiono ich produkcję licencyjną w Hucie Stalowa Wola. Ostatnie działa powstały tam w 1994 roku.

OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
GRAF. MARCIN DMOŃSKI

AHS KRAB

Dotychczas postanowiono kupić pięć dywizyjnych modułów ogniowych, mających po 24 kraby, oraz inne pojazdy specjalistyczne



W krabie używa się amunicji rozdzielnego ładowania.

- ❶ Masa bojowa – 48 t
- ❷ Trakcja – gąsienicowa
- ❸ Długość – 12,05 m
- ❹ Szerokość – 3,64 m
- ❺ Wysokość – 3 m (bez karabinu maszynowego)
- ❻ Uzbrojenie – armatohaubica 155 mm/52 kalibry; przeciwlotniczy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm
- ❼ Zasięg ognia – 30–40 km
- ❽ Załoga – 4+1 osób

Najnowszym nabytkiem artylerii WP jest samobieżna armatohaubica Krab. Działo powstało na bazie licencyjnego brytyjskiego systemu wieżowego AS90/52. Problemy z opracowywaniem w kraju podwoziem spowodowały, że konieczne było kupienie podwozia licencyjnego w Republice Korei.



Oślepiający puchacz

Do wyposażenia marynarki Federacji Rosyjskiej weszły pierwsze egzemplarze systemu 5P-42 Filin. Ma oślepiać przeciwnika i zakłócać działanie jego urządzeń celowniczych.

ROBERT SENDEK

Flota rosyjska otrzymała systemy oślepiające przeciwnika”, poinformowała w początkach lutego 2019 roku rosyjska agencja informacyjna RIA Nowosti. Doniesienia o nowej rosyjskiej broni szybko pojawiły się w światowych mediach, wspominała o tym także polska prasa. Chodzi o system 5P-42 Filin (ros. Puchacz), opracowany przez Zakład Doświadczalny Integral, będący częścią rosyjskiego holdingu Roselektronika. Informacje medialne związane były z tym, że pierwsze dwa urządzenia tego typu właśnie weszły do użytku. Zostały one zainstalowane na fregatach rakietowych projektu 22350, „Admirał Gorszkow” i „Admirał Kasatonow”. Systemy te mają także być montowane na dwu kolejnych fregatach projektu 22350, budowanych w stoczniach rosyjskich.

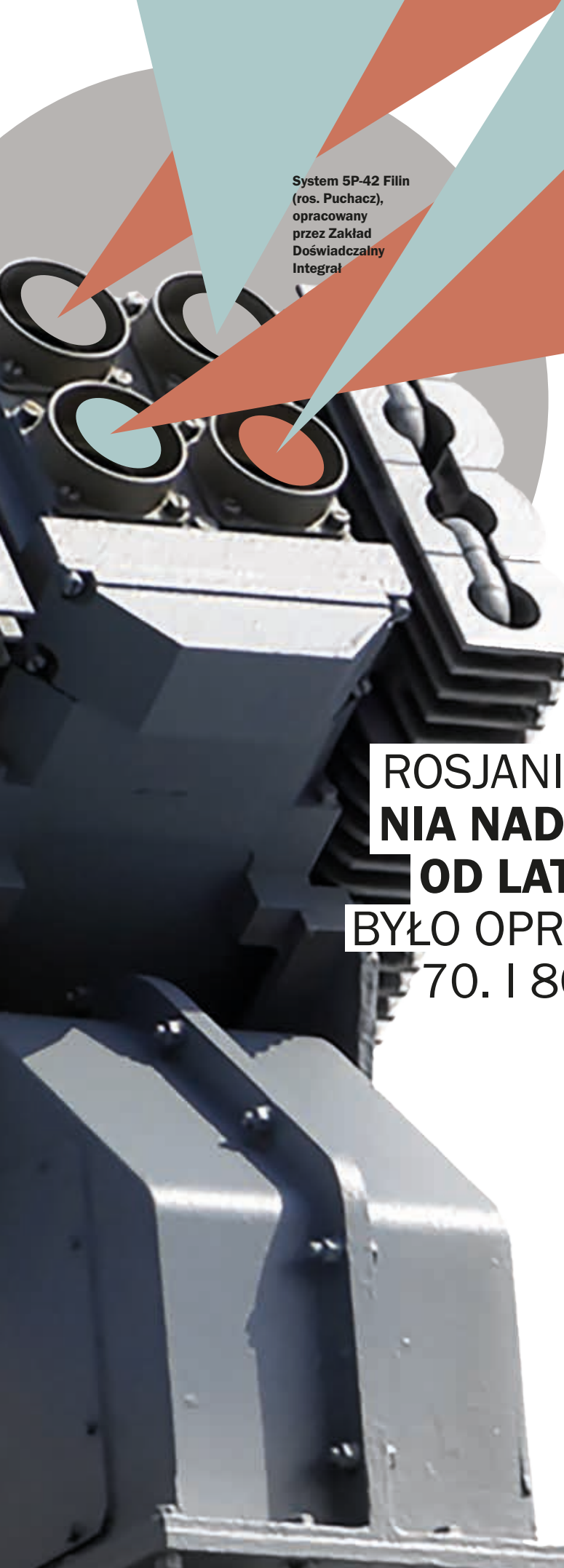
SYSTEM WYWOŁUJĄCY HALUCYNACJE

Puchacz jest jednym z wielu nowych rosyjskich systemów broni i wyposażenia, które w ostatnim czasie weszły do użytku. Zintensyfikowanie wysiłków rosyjskiego sektora wojskowego i koncentracja na nowych systemach mają związek z planami modernizacyjnymi armii rosyjskiej, co wynika z zaostrzenia sytuacji międzynarodowej po zajęciu Krymu przez Rosję w 2014 roku. Zainicjowane wówczas projekty i konkretne rozwiązania techniczne teraz powoli wchodzi do wyposażenia rosyjskiego wojska.

Doniesienia medialne informujące o puchaczu są dość lakoniczne, a opisy techniczne tego sprzętu nie zawierają wielu szczegółów. System ten ma służyć do zakłócania wizualno-optycznych i optyczno-elektronicznych kanałów obserwacji oraz celowania broni przeciwnika. W mediach pojawiły się in-



ROSTECH



System 5P-42 Filin
(ros. Puchacz),
opracowany
przez Zakład
Doświadczalny
Integral

formacje, że wykorzystuje on intensywną wiązkę światła o zmiennej modulacji.

Puchacz działa w zakresie światła widzialnego oraz podczerwieni, przy czym akcentuje się, że w tym pierwszym wypadku może operować przede wszystkim po zmierzchu oraz nocą. Ma wpływać zarówno na ludzki zmysł wzroku, jak i na sprzęt optyczny i elektroniczny przeciwnika. Nieprzypadkowo system został nazwany oślepiającym, u ludzi ma bowiem wywoływać czasowe, odwracalne, zakłócenia zmysłu wzroku. Równocześnie może on zakłócać działanie laserowych celowników i dalmierzy, noktowizorów oraz systemów naprowadzania rakiet przeciwpancernych na dystansie do 5 km. Pisano w związku z tym, że jest to broń laserowa. Część analityków (m.in. James Holmes, amerykański naukowiec zajmujący się strategią morską) uznaje jednak, że to właściwie broń stroboskopowa.

W materiałach serwisu RIA Nowosti, które następnie przedrukowały inne rosyjskie, a później także światowe media, znalazła się wypowiedź anonimowego pracownika holdingu Roselektronika. Wynika z niej, że system przeszedł różnorakie testy i próby, w tym także z udziałem ochotników. Na podstawie tych badań ustalono, że system uniemożliwia prowadzenie ognia z broni strzeleckiej do celów ma-

ROSJANIE PROWADZĄ BADA- NIA NAD BRONIĄ LASEROWĄ OD LAT 60., A ICH EFEKTEM BYŁO OPRACOWANIE W LATACH 70. I 80. LICZNYCH PROJEK- TÓW TEJ BRONI

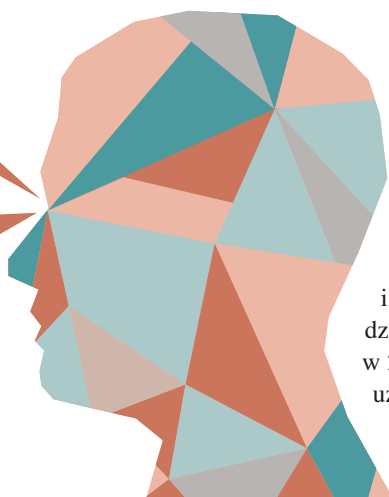
skowanych przez system, gdy puchacz jest oddalony od pozycji strzelców na odległość do 2 tys. m. Cele – według testujących – były wówczas niewidoczne. Niewielka część ochotników relacjonowała przy tym, że puchacz wywołał u nich halucynacje, opisywane jako „plama światła unosząca się przed oczami”. Niemal połowa skarżyła się natomiast na zawroty głowy, duszności oraz zdradzała objawy dezorientacji przestrzennej – co może wynikać właśnie z działania stroboskopu.

PIRACI CZY PROPAGANDA?

Dysponując tymi szczegółami, komentatorzy zwrócili uwagę na kilka spraw. Przede wszystkim na to, że w testowaniu puchacza ochotnicy korzystali z broni strzeleckiej, w tym karabinów snajperskich. Tymczasem system został oficjalnie



PROTOKOŁY I KONWENCJE



zamontowany na dwóch dużych okrętach rosyjskiej floty. Trudno się spodziewać, by ktoś ostrzeliwał pełnomorski okręt z ręcznej broni strzeleckiej, zaczęto więc zadawać pytania, po co właściwie taki system jest montowany na fregatach. Inna sprawa, że puchacz ma oślepić obserwatorów znajdujących się w odległości do 2 km. To bardzo krótki odcinek, gdyż broń, w którą wyposażone są współczesne okręty, zapewnia zasięg rażenia znacznie przekraczający ten dystans. Pojawily się więc przypuszczenia, że puchacza można używać np. przeciwko piratom morskim. Niewykluczone też, że może być stosowany na niewielkich akwenach lub w działaniach przybrzeżnych. Jako przykład wskazuje się incydent na Morzu Azowskim z jesieni 2018 roku. Rosjanie ostrzelali wówczas trzy jednostki marynarki ukraińskiej, a następnie dokonali abordażu i je przejęli. Możliwe zatem, że w takich sytuacjach system oślepienia wykaże swą użyteczność, tj. uniemożliwi efektywny ostrzał z atakowanej jednostki.

Część komentatorów i publicystów, głównie ukraińskich, podkreślała, że ze względu na charakterystyki (niewielki zasięg, działanie tylko przy dobrej pogodzie i po zmierzchu) puchacz ma raczej niewielką przydatność na współczesnym polu walki. Nagłośnienie jego wejścia do użytku ma być zaś działaniem propagandowym, którego celem jest przekonanie świata o dobrej kondycji rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego. To jedna strona medalu. Druga jest taka, że system, owszem, działa na dystansie do 2 km, ale przeciwko sile żywej. Zasięg ten ma się zwiększać do 5 km przy oddziaływaniu na sprzęt, czyli dalmierze i celowniki, zatem w niektórych sytuacjach może być wystarczający.

Oprócz tego w części doniesień prasowych znalazła się informacja o tym, że system może być używany również na lądzie. W takim wypadku sensu nabierają nie tylko testy na broni strzeleckiej, lecz także informacje o możliwym wykorzystaniu puchacza przeciwko systemom naprowadzania pocisków przeciwpancernych. Inna sprawa, że z terenów ogarniętych kon-

Rosyjskie media podkreślały, że porażenie nerwów wzrokowych (ślepotą), które może u obserwatora wywołać puchacz, jest czasowe. Ma to związek z zapisami prawa międzynarodowego, a mianowicie konwencją regulującą użycie i stosowanie pewnych typów broni konwencjonalnej. W 1995 roku w Wiedniu dodano do niej IV protokół, zakazujący używania laserowych broni oślepiających, których podstawowym działaniem jest wywoływanie trwałej ślepoty. Protokół ten wszedł w życie w 1998 roku, Federacja Rosyjska ratyfikowała go w 1999, a na przykład Polska – w 2004. Puchacz zatem nie łamie konwencji międzynarodowych, choć niektórzy komentatorzy formułują zarzut, że jest to de facto obejście zapisów. ■

fliktem na wschodniej Ukrainie co jakiś czas do prasy przedostają się informacje o stosowanej tam przez separatystów broni, która czasowo uszkadza wzrok pograniczników i żołnierzy ukraińskich prowadzących obserwację za pomocą lornetek i lunet. Pierwsze wieści w tej sprawie pochodzą z 2016 roku, doniesienia nasiliły się zaś w 2018 roku, co pozwoliło prasie ukraińskiej uznać, że w Donbasie wykorzystywana jest oślepiająca broń laserowa. Najwyraźniej zatem jakieś laserowe systemy oślepiające (choć niekoniecznie puchacz) były przez Rosjan testowane na polu walki.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Jest jeszcze jedna sprawa. Otóż lutowe doniesienia prasowe mówiły o nowym systemie, który zamontowano na rosyjskich okrętach. Cała koncepcja wcale nie jest jednak nowa. Rosjanie prowadzą badania nad bronią laserową od lat sześćdziesiątych, a ich efektem było opracowanie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wielu projektów broni tego typu. W związku z trudnościami technicznymi oraz ogromnymi kosztami prace nad nimi zarzucono po rozpadzie Związku Radzieckiego. W ostatnich latach w mediach często pojawiały się informacje o tym, że rosyjski przemysł wojskowy na nowo podjął prace nad bronią laserową, przy czym punktem wyjścia miały być właśnie niedokończone projekty z ostatniego dwudziestolecia ubiegłego wieku.

Informacje na temat badań prowadzonych nad podobnym systemem wyciekają do mediów od co najmniej 2015 roku. W lutym 2017 dziennik „Izwestija” informował o tym, że prowadzone są prace nad „mobilnym kompleksem laserowym”, przeznaczonym właśnie do oślepienia systemów optycznych i elektronicznych przeciwnika, który ma być rozwinięciem systemów jeszcze z czasów ZSRR.

Interesujące jest także to, że informacje o umieszczeniu na fregatach „Admirał Gorszkow” i „Admirał Kasatonow” stacji zakłóceń wizualno-optycznych podawano już w... 2016 roku. Donosił o tym np. serwis Blackseafleet-21, finansowany przez rządową Fundację Russkij Mir. Wówczas jednak sprawa nie została nagłośniona. Zainstalowany system nosił nazwę Gracz (ros. gawron), i został opracowany przez Zakład Doświadczalny Integral, który jest także wytwórcą puchacza. Oba systemy różnią się jednak kilkoma szczegółami, m.in. zasięgiem. Ponieważ czas zamontowania gawrona na okrętach i pierwsze doniesienia ukraińskich żołnierzy z Donbasu o tym, że są oślepiani laserem, przypadają na 2016 rok, niewykluczone, że te sprawy mają ze sobą jakiś związek. ■



USA

Udany test lasera bojowego

Być może już wkrótce niemiecka armia będzie miała do dyspozycji nowy oręż do obrony powietrznej.

Z wielotygodniowym opóźnieniem firma Rheinmetall AG poinformowała, że w grudniu 2018 roku w szwajcarskim ośrodku testowym Ochsenboden w pobliżu Zurychu zostały przeprowadzone próby prototypu stacji z laserem bojowym o maksymalnej mocy wyjściowej 100 kW. W czasie ich trwania system miał skutecznie razić bezzałogowe statki powietrzne i pociski moździerzowe. Podstawa umożliwia obrót stacji o 360 stopni w pozio-

mie, a zakres regulacji wysokości celowania w podniesieniu wynosi maksymalnie 270 stopni. Podczas grudniowych prób stacja z laserem była zamontowana na kontenerze, ale w założeniach ma ona być mobilna. Na przykład jej nosicielem może być kołowy opancerzony wóz bojowy Boxer 8x8. Jako że jest to system modułowy, z możliwością skalowania, można go będzie też przystosować do użycia na innych platformach. Stacja w zamierzeniach ma

być częścią systemu obrony powietrznej armii niemieckiej MANTIS, który także opracował Rheinmetall, przeznaczonego do zwalczania pocisków moździerzowych i artyleryjskich oraz rakiet. Do tego celu są wykorzystywane armaty kalibru 35 mm o szybkostrzelności do 1000 pocisków na minutę. Niemcy testują też lasery na jednostkach pływających. WRT ■



USA

Inwestycje w broń hipersoniczną

Koncern Raytheon otrzymał od zajmującej się zaawansowanymi technologiami agencji Departamentu Obrony USA (Defense Advanced Research Projects Agency – DARPA) wsparcie finansowe o wartości 63,3 mln dolarów, związane z pracami nad bronią hipersoniczną. „Ta najnowsza umowa przyczynia się do wzrostu liczby programów broni hipersonicznej Raytheona”, powiedział Thomas Bussing, wice-



prezes Raytheon Advanced Missile Systems. Nowe uzbrojenie ma powstać w ramach programu taktycznego uzbrojenia szybującego (Tactical Boost Glide). Opracowywany we współpracy z siłami

powietrznymi pocisk rakietowy ma osiągać prędkość powyżej 5 Ma. W projekcie zostaną wykorzystane wnioski płynące z opracowania oraz testów wcześniejszych systemów szybujących, takich jak chociażby Hypersonic Technology Vehicle 2 (HTV-2). Thomas Bussing zapewnia, że Raytheon pracuje nad tym, aby jak najszybciej wprowadzić do użycia nowe systemy uzbrojenia. Broń hipersoniczna ma zapewnić siłom zbrojnym USA zwiększony zasięg skutecznego rażenia celów przy krótszych czasach reakcji. W



„Raytheon ściśle współpracuje z klientami, aby szybko wdrożyć zaawansowane systemy uzbrojenia i zapewnić naszemu wojsku narzędzia potrzebne do przygotowania się na rosnące zagrożenie”, podkreślił THOMAS BUSSING.

Pododdziały wyposażone w gąsienicowe bojowe wozy piechoty muszą mieć kilka wersji tego samego pojazdu. Niemieccy konstruktorzy przekonują jednak, że wystarczy jeden wóz.

KRZYSZTOF WILEWSKI

BWP ZMIENNY JEST

Wraz z zakończeniem II wojny światowej sowiecka Rosja i Stany Zjednoczone miały raczej ugruntowany pogląd na to, jak powinny wyglądać ich siły zbrojne. Podstawą wojsk lądowych miały być jednostki pancerne, czyli wszelkiego rodzaju czołgi, wspierane przez lotnictwo i artylerię – zarówno lufową, jak i raketową (wielkie odkrycie II wojny światowej) oraz piechotę. Sytuacja zmieniła się na początku lat pięćdziesiątych, po wojnie w Korei i walkach na Bliskim Wschodzie. Szczególnie dla Rosjan wojna koreańska była kubłem zimnej wody, bo pokazała, że wiara w niszczącą moc tysięcy czołgów T-34, które swoją liczebnością rzuciły na kolana hitlerowskie Niemcy, nie gwarantuje zwycię-

stwa w konfrontacji z nowoczesnymi maszynami amerykańskimi. Dodawszy do tego przewagę USA w powietrzu i na morzu oraz równowagę w artylerii, łatwo było radzieckim generałom przewidzieć rezultat ewentualnego globalnego konfliktu.

Reakcja sowieckich strategów była zdecydowana. Postanowili oni nie tylko opracować nowe czołgi podstawowe, które miały zastąpić w linii T-34, lecz także przeformatować rolę piechoty. Już nie miała być ona jedynie dowożona na pole walki w pojazdach, które można nazwać gąsienicowymi ciężarówkami. A tym w istocie był zbudowany na bazie podwozia lekkiego czołgu PT-76 transporter BTR-50, który choć mógł przewieźć około 20 żołnierzy, był uzbrojo-

ny jedynie w karabin maszynowy kalibru 7,62 mm. Nowa konstrukcja – bojowe wozy piechoty – miała nie tylko równać się z jednostkami pancernymi, lecz także dysponować uzbrojeniem będącym w stanie przeciwstawić się nieprzyjacielskim tankom.

Opracowanie nowego opancerzonego transportera powierzono inżynierom z Czelabińskiej Fabryki Traktorów, którzy efekt swoich prac,

czyli Obiekt 764, zaprezentowali w 1964 roku. Dwa lata później ulepszona wersja, Obiekt 765 jako „bojowa maszyna piechoty” (BMP), weszła do służby. To był dla wojska technologiczny i operacyjny przełom. Pojazd, który mógł zabrać ośmiu żołnierzy desantu, nie tylko dorównywał czołgom T-55 manewrowością. Dzięki temu, że uzbrojono go w 73-milimetrową gładkolufową armatę 2A28 Grom oraz wyrzutnię przeciwpancernych pocisków kierowanych 9M14 Malutka, mógł zniszczyć każdy ówczesny zachodni tank podstawowy.

MODUŁOWY WÓZ

BMP, które dość szybko trafiły do wyposażenia wszystkich państw Układu Warszawskiego, a na Zachodzie znalazły naśladowców, na długo zrewolucjonizowały pole walki. Na atrakcyjności straciły dopiero po czterech dekadach, na początku XXI wieku. Wówczas priorytetem dla NATO stały się konflikty asymetryczne i misje stabilizacyjne, w których klasyczna broń gąsienicowa ustąpiła miejsca wszelkiego typu lekkim, kołowym konstrukcjom. Pojazdy tego typu, chociażby rodzime rosomaki, trafiły do żołnierzy wszystkich liczących się armii świata. Eksperti jednak wieszczą spektakularny powrót gąsienicowych bojowych wozów piechoty, a dokładniej ich kolejnej generacji. Wszystko za sprawą wojny na Ukrainie i aneksji Krymu przez Rosję, które sprawiły, że przed Europą znów stanęła wizja klasycznego konfliktu.

Jaki będzie ten nowy BWP? Odpowiedź można zawrzeć w jednym słowie: modułowy. Wszystkie armie świata, które uruchomiły programy badawczo-rozwojowe w tej dziedzinie (Amerykanie, Brytyjczycy, Niemcy, Hiszpanie, Skandynawowie, Chińczycy, Rosjanie, a nawet Polacy), chcą

mieć bowiem konstrukcję, którą bardzo łatwo można przystosować do różnego typu zadań. Rozpiętość potrzeb jest zaś ogromna. Wóz bojowy, dowodzenia, ewakuacji medycznej, ratownictwa technicznego, rozpoznawczy, rozpoznania skażeń czy transporter piechoty pozbawiony uzbrojenia wieżowego. Zdecydowana większość państw modułowość nowych BWP-ów rozumie jako opracowanie wersji specjalistycznych na bazie uniwersalnego modelu podstawowego. Wyjątkiem są niemieccy inżynierowie z firmy Rheinmetall. Zaproponowali oni, aby pojazdy nie zjeżdżały z linii produkcyjnej w wersjach specjalistycznych, lecz były dostosowywane do potrzeb wojska na polu walki!

LYNX PRZYSZŁOŚCI

Zaprezentowany publicznie po raz pierwszy podczas paryskiego salonu zbrojeniowego Eurosatory 2016 bojowy wóz piechoty (infantry fighting vehicle – IFV) o nazwie Lynx KF41 (KF – Kettenfahrzeug, czyli pojazd gąsienicowy) waży ponad 40 t i w wersji bojowej został uzbrojony w załogową wieżę Lance 2.0. Jej podstawowym uzbrojeniem są działko Wotan kalibru 35 mm (200 strzałów na minutę) oraz podwójna wyrzutnia przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike LR2. Pojazd może zabrać ośmiu żołnierzy desantu i dzięki silnikowi o mocy 1140 KM (850 kW) rozpędza się do maksymalnie 70 km/h. Wyjątkowe w nim jest to, że w osiem godzin może zmienić się w wóz ewakuacji medycznej albo każdy inny. Dzięki systemowi podnośników można niemal w każdych warunkach i bez specjalistycznego sprzętu zmienić wieżę (np. bezzałogową na załogową), ale też modyfikować rodzaj opancerzenia oraz wyposażenie wnętrza, zwiększając lub ograniczając w ten sposób liczbę żołnierzy desantu.

Niemieccy konstruktorzy są przekonani, że lynx wyznaczy nowy standard dla tego typu konstrukcji. Bojowe wozy piechoty będzie można dopasowywać do różnych zadań, składając je niczym z klocków Lego. I trudno nie przyznać im racji, że wizja posiadania w parku maszyn jednego pojazdu, zamiast kilkunastu wersji, jest kusząca.

Wadą takiego rozwiązania jest jednak cena, bo taki pojazd wraz z zapasem możliwych części sporo kosztuje. Druga kwestia to zaplecze logistyczne, które jest potrzebne do transformacji. Ktoś musi zapas modułów przewieźć, składować i na czas je zamontować. Czy niemiecki pomysł okaże się więc interesujący dla innych armii, pokażą najbliższe lata i to, jakie kierunki przybiorą programy badawcze innych państw. ■

**BOJOWE
WOZY PIECHOTY
będzie można
dopasowywać
do różnych zadań,
składając je niczym
z klocków Lego.**

STRATEGIE

/ AZJA

WOJNA CZY POKÓJ?

Kaszmir jest jak wrzący kocioł,
a wydarzenia ostatnich miesięcy jeszcze podniosły
w nim temperaturę. Czy tym razem Pakistan i Indie
staną do otwartej wojny, czy wymieniane między
politykami pogróżki to dla rządzących partii jedynie
sposób na szybkie zabicie politycznego kapitału?

TOMASZ OTŁOWSKI



G

dy wczesnym popołudniem 14 lutego 2019 roku 22-letni Adil Ahmad Dar wjeżdżał samochodem wypełnionym materiałami wybuchowymi w kolumnę pojazdów indyjskich sił policyjnych w Pulwamie, w należącej do Indii części Kaszmiru, zapewne nie przypuszczał, że stanie się sprawcą najpoważniejszego od lat kryzysu w stosunkach między Pakistanem

a Indiami. Przeprowadzony przez kaszmirskiego szahida (zamachowca samobójcę) atak okazał się wyjątkowo skuteczny – śmierć na miejscu poniosło 40 funkcjonariuszy indyjskich Centralnych Rezerwowych Sił Policyjnych, a kilkudziesięciu innych zostało rannych.

Zamach w Pulwamie stał się tym samym najkrwawszym tego typu incydem w Kaszmirze od końca lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, czyli od wybuchu skierowanej przeciwko Indiom islamijskiej rebelii w tym regionie. Nie był to jednak odosobniony wypadek. Według danych indyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, w ostatnich trzech latach w indyjskiej części Kaszmiru obserwuje się wyraźny wzrost liczby zamachów, ataków i incydentów zbrojnych: w roku 2015 było ich 208, a już ponad 600 w 2018 roku.



Założyciel i lider Armii Mahometa, MAULANA MASUD AZHAR to doświadczony bojownik muzułmańskiej świętej wojny – z dżihadem zetknął się już we wczesnej młodości, kiedy studiował w tej samej radykalnej szkole religijnej (madrasi) co Mohammad Omar, późniejszy założyciel afgańskiego Ruchu Talibów.

ARMIA ZAMACHOWCÓW

Do zamachu z 14 lutego przyznało się ugrupowanie dżihadystyczne Armia Mahometa (Dżaisz-e-Mohammed – DŻeM). Organizacja ta – uznana za terrorystyczną przez ONZ, Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i oczywiście Indie (ale, co ciekawe, już nie przez Unię Europejską) – ma bazy i zaplecze po pakistańskiej stronie linii kontroli w Kaszmirze, de facto będącej granicą między Pakistanem a Indiami. DŻeM sieje terror także w pozostałej części Indii, a nawet samym Pakistanie. W ostatnich latach przejawia również coraz większą aktywność w Afganistanie. Początki tego ugrupowania sięgają końca XX wieku, kiedy wyodrębniło się ono po rozłamie w organizacji Ruch Bożych Bojowników (Harakat-ul-Mudżahedin – HuM) jednej z pierwszych struktur pakistańskich dżihadystów. Założyciel i lider Armii Mahometa

Maulana Masud Azhar to doświadczony bojownik świętej wojny – z dżihadem zetknął się już we wczesnej młodości, kiedy studiował w tej samej radykalnej szkole religijnej (madrasi) co Mohammad Omar, późniejszy założyciel afgańskiego Ruchu Talibów.

Pięćdziesięcioletni dziś Azhar może się pochwalić udziałem w wojnach w Afganistanie (jeszcze podczas interwencji sowieckiej), Somalii i Kaszmirze, a także organizowaniem islamistycznej konspiracji na terenie Wielkiej Brytanii, gdzie przebywał z serią wykładów na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Te doświadczenia (i zbudowana na przestrzeni kilku dekad szeroka sieć kontaktów w różnych regionach świata, w tym z Al-Kaidą i afgańskimi talibami) zapoczątkowały w momencie powołania do życia DŻeM. Wkrótce po sformowaniu grupa ta dokonała pierwszego spektakularnego zamachu – na siedzibę indyjskiego parlamentu w Nowym Delhi 13 grudnia 2001 roku. Doprowadziło to Indie i Pakistan na skraj wojny. Kolejne głośne medialnie ataki terrorystyczne Armia Mahometa przeprowadziła w Mumbaju (listopad 2008 roku) oraz dwa, typowo partyzanckie, w 2016 roku na indyjskie instalacje wojskowe – bazę sił powietrznych w Pathankot i garnizon sił lądowych w Uri.

Teraz DŻeM wraz z ugrupowaniem Armia Prawych (Laszkar-e-Taiba – LeT) należy do najbardziej aktywnych pakistańskich organizacji islamistycznych zrzeszonych w tzw. Zjednoczonej Radzie Dżihadu, powołanej w 1994 roku i wspieranej przez służby specjalne Pakistanu (Inter-Services Intelligence – ISI). To właśnie DŻeM i LeT są najlepszym przykładem zastosowania w praktyce osławionej strategii Islamabadu kreowania i wspierania „dobrych islamistów”, tj. takich, którzy atakują Indie. Warto również pamiętać, że obie organizacje mają bardzo bliskie związki z Al-Kaidą (AQ). I to zarówno z centralą ukrytą gdzieś na pograniczu pakistańsko-afgańskim, jak i jej najnowszą regionalną franczyzą – Al-Kaidą Subkontynentu Indyjskiego (AQIS). Ocenia się, że to właśnie elementy obu tych pakistańskich ugrupowań, wraz z afgańskim Ruchem Talibów oraz frakcjami Ruchu Talibów Pakistanu (Tehrik-e-Taleban Pakistan – TTP), stanowią rdzeń kadrowo-organizacyjny AQIS.



STRINGER/REUTERS/FORUM

W najbardziej krwawym od 30 lat zamachu w Pulwamie, przeprowadzonym przez organizację terrorystyczną Dżaisz-e-Mohammed, zginęło 40 funkcjonariuszy indyjskich Centralnych Rezerwowych Sił Policyjnych.

Władze Indii już w chwilę po zamachu w Pulwamie nie miały wątpliwości, że stoi za nim któraś z islamistycznych grup działających z terytorium Pakistanu w indyjskim Kaszmirze. Od razu też Nowe Delhi oskarżyło Islamabad o pośrednią odpowiedzialność za śmierć indyjskich policjantów, a także o notoryczne wspieranie kaszmirskich ekstremistów islamskich i udzielanie im schronienia. Kiedy premier Indii Narendra Modi oświadczył na Twitterze, że „śmierć dzielnych funkcjonariuszy nie może pójść na marne”, stało się jasne, iż należy się spodziewać indyjskiej odpowiedzi. Tym bardziej że atak w Pulwamie miał miejsce dwa miesiące przed wyborami parlamentarnymi w Indiach. W apogeum kampanii indyjski premier po prostu nie mógł sobie pozwolić na brak zdecydowanej reakcji na działania propakistańskich islamistów w Kaszmirze. W powietrzu zapachniało więc prochem, jedynym pytaniem pozostawało tylko, w jaki sposób i kiedy Nowe Delhi odpowie na zamach przeprowadzony przez DŻeM.

POWIETRZNY TANIEC BOJOWY

Odpowiedź nadeszła wczesnym rankiem 26 lutego 2019 roku, kiedy Indyjskie Siły Powietrzne (Indian Air Force – IAF) dokonały serii chirurgicznych uderzeń na kilka celów związanych z Armią Mahometa w Pakistanie, zwłaszcza na jeden z jej głównych obozów szkoleniowych, znajdujący się w okolicach miejscowości Balakot (prowincja Chajber

Pachtunchwa). Ta operacja to przykład sprawnego wojskowego rzemiosła.

Jeszcze w nocy Hindusi poderwali niemal wszystkie samoloty bojowe z lotnisk i baz w zachodniej części kraju. Część z maszyn ruszyła w pozorowanych rajdach w kierunku granicy pakistańskiej, po czym zawracała. Podczas jednego z takich manewrów, których celem było zdezorientowanie obrony powietrznej Pakistanu, kilkadziesiąt maszyn skierowało się nad Balakot. Eskadra 12 indyjskich Mirage 2000 (uzbrojonych w bomby kierowane GBU-12 oraz izraelskie Spice 2000) w osłonie 16 maszyn typu Su-30MKI oraz kilku MiG-29, była wspierana przez samolot wczesnego ostrzegania i dowodzenia ERJ-145 Netra, latającą cysternę Il-78MKI oraz drony bojowe typu Heron TP (również konstrukcji izraelskiej).

Gdy grupa uderzeniowa wtargnęła w przestrzeń powietrzną Pakistanu, ten poderwał swe myśliwce (głównie F-16), ale nie zdołał przechwycić Hindusów ani przerwać ich operacji. W wyniku nalotu obóz w Balakot prawdopodobnie został całkowicie zniszczony, a śmierć poniosło tam ponoć kilkuset ekstremistów i ich pakistańskich szkoleniowców. Dokładnych danych na ten temat nie poznamy zapewne nigdy, bo to miejsce było utrzymywane i ochraniane przez pakistańskie służby. Jakikolwiek informacje o jego losach musiałyby pośrednio wskazywać na faktyczną odpowiedzialność Islamabadu za działania DŻeM i innych kaszmirskich ugrupowań. Oficjalna





Powrót do kraju pplk. Abhinandana Varthamana stał się jednym z najważniejszych wydarzeń w Indiach od długiego czasu. Varthaman, pilot samolotu MiG-21 Indyjskich Sił Powietrznych, został zestrzelony 27 lutego w czasie wykonywania zadań na terenie Pakistanu i wzięty do niewoli. Kilka dni po tym wydarzeniu premier Pakistanu Imran Khan ogłosił, że aby udowodnić pokojowe zamiary jego kraju, zdecydował o przekazaniu więźnia Indiom. 1 marca, w blasku fleszy, Varthaman wrócił do domu.

wersja władz pakistańskich głosi, że Hindusi zrzucili bomby gdzie popadnie, karczując hektary lasu i naruszając tym samym... równowagę klimatyczną północno-wschodniego Pakistanu.

Atak sił powietrznych Indii na cele w Pakistanie był wyjątkową operacją, bo dotychczas w ramach odwetu za zamachy terrorystyczne organizowane przez propakistańskie bojówki władze w Nowym Delhi decydowały się jedynie na zmasowany ostrzał artyleryjski wzdłuż linii kontroli lub operacje sił specjalnych na terenie pakistańskiej części Kaszmiru. Akcji powietrznej nie podjęto ani po ataku na indyjski parlament, ani po krwawych zamachach w Mumbaju.

O użyciu IAF przesądziły zapewne nadchodzące wybory, a być może również presja wojskowych, chcących przetestować w realnym boju najnowsze konstrukcje militarne, wdrożone do służby w ostatnich latach. Jak się wydaje, sprawdzian wypadł nadzwyczaj dobrze. Pomimo rozlicznych problemów natury sprzętowej i organizacyjnej indyjskie lotnictwo dowiodło, że jest w stanie skutecznie przeprowadzić skomplikowaną operacyjnie akcję ofensywną na cele położone w głębi silnie bronionego (przynajmniej nominalnie) terytorium przeciwnika.

Operacja z 26 lutego udowodniła też skuteczność nowej doktryny IAF, kładącej nacisk na działania w krótkich, gwałtownych konfliktach, w których główną rolę odgrywają precyzyjne ataki na cele na-

PAKISTAN OD LAT POZOSTAJE BAZĄ DLA WIELU GRUP I ORGANIZACJI ISLAMISTYCZNYCH, DZIAŁAJĄCYCH NIE TYLKO NA TERENIE KASZMIRU, LECZ TAKŻE W INNYCH CZĘŚCIACH AZJI POŁUDNIOWEJ

ziemne oraz błyskawicznie podejmowane działania w powietrzu. O skali zaskoczenia i chaosie po stronie pakistańskiej najlepiej świadczą słowa wypowiedziane kilkanaście godzin po ataku przez ministra obrony Pakistanu, który – tłumacząc się dziennikarzom w Islamabadzie z zadziwiającej nieskuteczności obrony powietrznej tego państwa –

stwierdził, że „siły powietrzne były gotowe do działania, ale... było ciemno”.

Udana akcja indyjskiego lotnictwa wywołała jednak całkowicie zrozumiałą reakcję Pakistanu. Już następnego dnia (27 lutego) rano Pakistańskie Siły Powietrzne (Pakistan Air Force – PAF) dokonały rajdu na indyjską stronę linii kontroli w Kaszmirze. Według niepotwierdzonych oficjalnie informacji, w operacji uczestniczyło osiem samolotów wielozadaniowych F-16, cztery Mirage III oraz cztery maszyny typu JF-17. Formalnie, zgodnie z komunikatem Islamabadu, celem operacji było zbombardowanie „celów niewojсковych, tak aby uniknąć strat wśród ludności cywilnej” (!). Faktycznie jednak Pakistańczykom prawdopodobnie chodziło o sprowokowanie reakcji IAF i wciągnięcie jej maszyn nad terytorium pakistańskie, gdzie czaiły się kolejne samoloty PAF mające wyeliminować przeciwnika.

Scenariusz ten niemal w całości się powiódł – Hindusi podezwali zespół przechwytyjący w składzie czterech Su-30MKI, dwóch Mirage 2000 oraz dwóch MiG-21. Indyjskim pilotom udało się udaremnąć nalot na swoje pozycje w Kaszmirze, ale w zamęcie walki powietrznej kilka maszyn IAF zapędziło się nad terytorium pakistańskie. Najdalej wysforował się prowadzący indyjską grupę ppłk Abhinandan Varthaman z 51 Eskadry „Sword Arms” z bazy w Srinagarze. Osaczony przez kilka maszyn PAF nie miał większych szans i jego MiG-21 Bison został zestrzelony, a on sam zmuszony do katapultowania się i lądowania ze spadochronem w pakistańskiej części Kaszmiru, gdzie wzięto go do niewoli (Pakistan uwolnił go później, 1 marca, w geście dobrej woli).

Według oficjalnej wersji wydarzeń prezentowanej przez Nowe Delhi, ppłk Varthaman miał stracić pakistańską maszynę F-16, której pilot również lądował ze spadochronem i został zlinczowany przez tłum miejscowych wieśniaków, przekonanych, że mają do czynienia z Hindusem. Islamabad kategorycznie zaprzecza, jakoby stracił jakikolwiek samolot w starciu z IAF. Internet obieży już jednak zdjęcia szczątków maszyny z numerami seryjnymi identycznymi jak jeden z egzemplarzy F-16 kupionych przez Pakistan od Jordanii w 2014 roku.

ANTRAKT ZE ZNAKIEM ZAPYTANIA

Eskalacja wydarzeń na subkontynencie indyjskim była równie gwałtowna, co krótkotrwała – po 1 marca stopniowo opadało napięcie i oddalał się koszmar konfliktu na pełną skalę między państwami posiadającymi broń nuklearną oraz efektywne środki jej przenoszenia w postaci arsenału rakiet balistycznych. Nie zmieniły się jednak ogólne uwarunkowania geopolityczne i strategiczne, które legły u podstaw wybuchu ostatniego kryzysu w relacjach indyjsko-pakistańskich. Najważniejsze wśród nich jest dążenie Islamabadu do całkowitego oderwania Kaszmiru od Indii. Pakistan nadal więc pozostaje bazą dla wielu grup i organizacji islamistycznych, działających nie tylko

w Kaszmirze, lecz także w innych częściach Azji Południowej – od Indii i Afganistanu, przez Bangladesz, aż po wschodnie krańce Iranu (Beludżystan) i Chiny (ujgurska prowincja Sinciang). I nie ulega wątpliwości, że sytuacja ta nie zmieni się w przyszłości – taki jest bowiem interes Pakistanu i taka jest jego strategia działania. Dlatego uzasadnione były sceptyczne komentarze, zarówno ze strony Nowego Delhi, jak i Waszyngtonu, dotyczące przeprowadzonej z dużym rozgłosem medialnym akcji „aresztowania” przez władze pakistańskie ponad 40 działaczy ugrupowań radykalnego islamu w Pakistanie, powiązanych z atakiem w Pulwamie. Podobno nawet sam Masud Azhar został zatrzymany w areszcie domowym.

Jak zauważył anonimowy dyplomata indyjski, „widzieliśmy to już wiele razy wcześniej: wpierw aresztowania w blasku fleszy, a potem, po kilku dniach, stopniowe uwalnianie po cichu wszystkich zatrzymanych. Do dzisiaj nikt spośród osób zaangażowanych w ataki przeciwko Indiom nie został na serio pociągnięty do odpowiedzialności karnej w Pakistanie”. Chyba najlepiej o prawdziwym stosunku władz Pakistanu do kwestii islamskich radykałów działających na terytorium kaszmirskim świadczy to, że tuż po ubiegłorocznych wyborach parlamentarnych w tym kraju (lipiec 2018 roku) do zwycięskiego ugrupowania premiera Imrana Khana (Pakistan Tehrik-e-Insaf, Pakistański Ruch Sprawiedliwości) dołączył Maulana Fazlur Rehman Khalil, lider kaszmirskiej grupy HuM, uznany przez społeczność międzynarodową za terrorystę i islamskiego ekstremistę, który od trzech dekad ma bliskie związki z Al-Kaidą i afgańskimi talibami, a za jego głowę Hindusi wyznaczili milionową nagrodę.

UCZENIE PRZERÓŚL MISTRZA

Sytuacja ta potwierdza wyrażane coraz częściej opinie, że trwająca od dekad systematyczna radykalizacja religijna społeczeństwa pakistańskiego ma już bezpośrednie przełożenie na coraz większy stopień radykalizmu elit tego państwa. W Pakistanie najwyraźniej doszło już do zblatowania się islamistów oraz dużej części klasy politycznej i elit społecznych (biznes, media, wymiar sprawiedliwości, wojsko), co rodzi obawy o przyszłość tego kraju i jego relacji nie tylko z Indiami.

O tym, że nie jest to jednak układ w pełni symbiotyczny, mogą świadczyć złośliwe słowa wypowiedziane przed kilku laty przez Sajeda Salahuddina, lidera kaszmirskiego ugrupowania Hizb-ul-Mudżahedin: „Toczymy w Kaszmirze wojnę w imieniu i na rzecz państwa pakistańskiego, lecz jeśli wycofa ono swe poparcie [dla nas], to przeniesiemy tę wojnę do Pakistanu”. Najwyraźniej więc osławieni „dobrzy islamisci”, wychodzeni na łonie państwa pakistańskiego jako użyteczne narzędzie walki z indyjskim wrogiem, sami trzymają teraz Islamabad za gardło, stopniowo narzucając mu swą polityczną wolę, interesy i cele. ■

REGION BEZ KLUCZA

*Z Łukaszem
Fyderkiem o zero-
jedynkowej grze i trójkowych
sojuszach na Bliskim Wschodzie
rozmawia Małgorzata
Schwarzgruber.*

Na czym polega plan pokojowy dla Bliskiego Wschodu według prezydenta Donalda Trumpa? Dużą rolę przypisuje on Arabii Saudyjskiej, która z jednej strony ma blokować Iran, a z drugiej po cichu wspierać Izrael.

Celem tego planu nie jest rozwiązanie problemu palestyńskiego, lecz zbudowanie sojuszu Arabii Saudyjskiej i Izraela, dwóch regionalnych filarów bliskowschodniej polityki Donalda Trumpa. Problem w tym, że ze względu na konflikt izraelsko-palestyński kraje te ze sobą nie rozmawiają. Prawdopodobnie oferta będzie bardziej korzystna dla Palestyńczyków niż dla Izraelczyków, o czym świadczy to, że jej szczegóły poznamy dopiero po wyborach w Izraelu. Szanse na zażegnanie konfliktu są jednak niewielkie, gdyż jak wskazują badania opinii publicznej, Izraelczycy nie uważają, aby problem palestyński wymagał pilnej interwencji. Nie udało się go rozwiązać poprzednim administracjom amerykańskim, które wykazywały się daleko większymi kompetencjami niż ta obecna. Mówiąc o kompetencjach, zauważmy, że

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Stany Zjednoczone nie mają ambasadorów w sześciu krajach na Bliskim Wschodzie, nieobsadzone jest także stanowisko asystenta sekretarza stanu ds. bliskowschodnich.

Czy sojusz między Izraelem a sunnicką monarchią ma szansę się utrzymać?

Nieoficjalne kontakty między saudyjskimi a izraelskimi elitami były i są utrzymywane. Rzadko jednak spotykają się one w blasku fleszy, na wspólnej konferencji, jak miało to miejsce w Warszawie. Elity arabskie związane z panującymi dworami dostrzegają wiele zalet ewentualnej współpracy z Izraelem, na przykład otwarcie na nowe technologie albo wspólne sprzeciwianie się Iranowi, postrzeganemu jako strategiczne zagrożenie. Arabska ulica natomiast jest jednoznacznie antyizraelska. Przez ostatnich 60 lat społeczeństwo było wychowywane w przekonaniu, że Izrael nie tylko zabrał ziemię Palestyńczykom, lecz także zajął Al-Quds, czyli Jerozolimę, święte miasto muzułmanów. Gdyby zapytać mieszkańców Arabii Saudyjskiej czy Egiptu, kto jest ich największym wrogiem w regionie, odpowiedzą – Izrael. Choć Amerykanie próbują przekonać państwa arabskie, że największym zagrożeniem jest Iran, przeciwko któremu zgodnie występują Arabia i Izrael, a który prezentuje się jako obrońca Palestyńczyków. Dzięki takiej polityce, chociaż nie jest przecież krajem arabskim, potrafi zyskać sympatię części mieszkańców tych państw.

Arabskie elity zaakceptują plan pokojowy wbrew swoim wyborcom?

Jeśli propozycje zostaną uznane za mało korzystne dla Palestyńczyków, elity monarchii arabskich nie odważą się ich poprzeć, niezależnie od tego, jak dobrze się rozumieją z Donaldem Trumpem czy jak dobrze im się rozmawiało na warszawskiej konferencji z premierem Benjaminem Netanjahu.

Na Bliskim Wschodzie toczy się też cicha zimna wojna między Arabią Saudyjską a Turcją o serca i umysły muzułmanów. W pokojowym procesie bliskowschodnim Ankara popiera Palestyńczyków, nie

kryje też ambicji, aby odgrywać rolę lidera muzułmanów. Może wygrać tę rywalizację?

Erdoğan jest charyzmatycznym przywódcą, który twierdzi, że turecki model polityczny powinien być powielany. Ankara łączy sunnicki modernizm z elementami konserwatyzmu muzułmańskiego. Turcy dowodzą, że można być państwem muzułmańskim, dość demokratycznym i pluralistycznym. Turecki islam z pewną dozą zachodniej demokracji stanowi natomiast zagrożenie dla saudyjskiej monarchii absolutnej. Rijad tak samo odbiera także Bractwo Muzułmańskie, które proponuje wprowadzenie elementów demokracji, ale zgodnie z szariatem, co dla wielu mieszkańców państw arabskich może być atrakcyjnym rozwiązaniem. Ta rozgrywka trwa.

Jak układają się dziś sojusze na Bliskim Wschodzie?

Istnieją trzy sojusze wokół najpotężniejszych państw w regionie. Pierwszy jest skoncentrowany wokół Arabii Saudyjskiej. Saudów popierają Egipt, najludniejsze państwo arabskie, Emiraty Arabskie i Bahrajn. Kraje te mają także dobre relacje z Jordanią, Kuwejtem czy Omanem. Drugi sojusz zbudowany został wokół Iranu wspieranego przez jego szyickich popleczników. Często są to ruchy niepaństwowe, np. libański Hezbollah, reżim Baszszara al-Asada, kontrolujący dużą część Syrii, oraz wpływowe grupy irackie, np. ugrupowanie paramilitarne Haszed al-Szabi czy wywodzące się z szyickiej organizacji Badr. Trzecim graczem jest Turcja, pozostająca w polityczno-religijnym sojuszu z Katarczykami. Oba te kraje wspierają działające w różnych krajach regionu Bractwo Muzułmańskie. Na boku pozostaje Izrael, który ze względu na siły zbrojne może mieć status mocarstwa, ale znajduje się poza sojuszami, bo albo nie utrzymuje stosunków z państwami regionu, albo jest izolowany.

Czy na Bliskim Wschodzie nie dochodzi również do odwracania sojuszy? Na przykład Izrael rywalizuje z Iranem, a Rosja, uważana za sojusznika Iranu, współpracuje z Izraelem.

Klasyczne odwracanie sojuszy polega na zwrocie



BLISKI WSCHÓD
w ciągu najbliższych dekad będzie dostarczał wielu wyzwań dotyczących bezpieczeństwa – zarówno w Europie, jak i w ogóle całym świecie.

WIZYTÓWKA

DR ŁUKASZ FYDEREK

Jest politologiem, specjalizuje się w problematyce bliskowschodniej. Jest adiunktem w Instytucie Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego.



o 180 stopni, a to nie ma miejsca na Bliskim Wschodzie. Możemy natomiast mówić o sojuszach w relacji trójkąta, gdzie mamy bieguny saudyjski, turecki i irański. Poparcie zależy od zagadnienia. W pewnych sprawach Rosja czy Chiny porozumiewają się z Iranem, w innych będą ten kraj blokować. Żyjemy w świecie coraz bardziej współzależnym, w którym polityka jest prowadzona wielopasmowo. Wielcy gracze nie postępują zerojedynkowo, w jednej kwestii są za, w innej – przeciw. Dotyczy to szczególnie tych spoza regionu, głównie Rosji, Chin i Unii Europejskiej. Mają oni swoje interesy na Bliskim Wschodzie i starają się nie wiązać z jedną opcją. Wyjątkiem od tej reguły jest zero-jedynkowa polityka Donalda Trumpa.

Jak układają się sojusze Rosji, która dzięki wojnie w Syrii wróciła na Bliski Wschód?

Wojna w Syrii jest centralnym konfliktem na Bliskim Wschodzie. W tym kraju silnie nakładają się interesy Rosji i Iranu. Jeszcze przed swoją interwencją Moskwa zainwestowała tam ponad 20 mld dolarów. Oba kraje popierają prezydenta Al-Asada, dla obu jest to najważniejszy sojusznik w świecie arabskim. Wcześniej Moskwa i Teheran rywalizowały na rynku sprzedaży surowców, gdzie ich interesy były sprzeczne, bo oba kraje sprzedają ropę i gaz. Konflikt syryjski je zbliżył. Jednak w tej relacji słabszy sojusznik – Iran – uzyskuje znacznie mniej korzyści niż Rosja.

Do Rosji zbliżyła się także Turcja.

Interesy turecko-rosyjskie są zbieżne w niemal wszystkich obszarach, oprócz tych dotyczących Syrii i międzynarodowego bezpieczeństwa. Turcja jest konsumentem ropy i gazu, które sprzedaje Rosja. Ankara dostarcza Moskwie różne usługi i produkty, np. budowlane. Natomiast w syryjskiej wojnie kraje te stoją na dwóch biegunach: Turcja od początku wspierała syryjskich powstańców, Rosja stanęła po stronie prezydenta Al-Asada.

Jak na sytuację w regionie wpływa decyzja Trumpa o znacznym zmniejszeniu amerykańskich wojsk w Syrii?

Ta decyzja jest kontynuacją amerykańskiej polityki dalszej redukcji zaangażowania na Bliskim Wschodzie. USA nie chcą brać odpowiedzialności za kolejny region, a Syria jest dla Ameryki drugorzędnym krajem. W ostatnich latach Stany Zjednoczone zainwestowały w obecność w tym

NAJWIĘKSZYM DYLEMATEM BLISKIEGO WSCHODU JEST BRAK MODELU POLITYCZNEGO DO NAŚLADOWANIA W PAŃSTWACH ARABSKICH, KTÓRY POŁĄCZYŁBY DEMOKRACJĘ Z ISLAMEM, ELIMINUJĄC KORUPCJĘ I ZAPEWNIAJĄC WZROST GOSPODARCZY

regionie ponad 7 bln dolarów. Wiele analityków wskazuje zatem, że Waszyngton powinien ograniczać zaangażowanie. Wycofanie się USA z Syrii otwiera jednak drogę do wzmocnienia się Iranu, co jest sprzeczne z irańską polityką Donalda Trumpa. Mocny Teheran ogranicza działania sojuszników Ameryki w regionie.

Czy w Kurdystanie, który Pan ostatnio odwiedził, panuje opinia, że Waszyngton porzucił swoich bliskowschodnich sojuszników, w tym Kurdów?

Zależy, o których Kurdach mówimy. Ci z Syrii uważają, że największym zagrożeniem jest dla nich Turcja. Oni będą chcieli szybko porozumieć się z reżimem w Damaszku, wesprzeć Iran i prezydenta Al-Asada przeciwko jakiegokolwiek interwencji tureckiej. Przeciwną opinię mają Kurdowie iraccy. Polityka głównego ugrupowania Autonomicznego Regionu Kurdystanu Irackiego – Kurdyjskiej Partii Demokratycznej – jest dość bliska polityce Turcji, która jest tam największym inwestorem. Druga partia, Patriotyczna Unia Kurdystanu, jest znacznie bliższa Iranowi. W obu ugrupowaniach są Kurdowie, którzy domagają się

suwerenności, ale nie znajdują aprobaty żadnego z sąsiadów. Tak Turcja, jak i Iran dokładają starań, aby Kurdowie pozostali podzieleni politycznie.

Niedawno następca saudyjskiego tronu książę Muhammad ibn Salman odwiedził Islamabad. Obiecał wielomiliardowe inwestycje w pakistańską gospodarkę. Czy w sporze z Indiami o Kaszmir Pakistan może liczyć na wsparcie Saudów?

Sojusznikami strategicznymi Pakistanu są Chiny oraz Arabia Saudyjska. Indie mogą liczyć na wsparcie Rosji. USA starają się utrzymać politykę równego dystansu wobec Pakistanu i Indii. Kluczowa jest relacja saudyjsko-pakistańska. Kraje te oddziela Iran, którego niepokoi taki sojusz. Saudyjskie elity są przekonane, że gdyby Arabia Saudyjska była zagrożona, Pakistańczycy przysłubi jej z pomocą. Panuje też przekonanie, że Islamabad nie zawaha się wówczas użyć wszystkich dostępnych środków, a przecież to jest mocarstwo atomowe. Argumentem o wielkiej sile będzie w tym wypadku obrona świętych miejsc islamu i niedopuszczenie do tego, aby zbliżyli się do nich szyici.

Na 55. Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa szef irańskiej dyplomacji Mohammad Dżawad Zarif stwierdził, że ryzyko wojny z Izraelem jest duże. Przed atakiem Iranu na Izrael ostrzegał wiceprezydent USA Mike Pence. Jak wyglądałaby taka wojna?

Iran i Izrael nie mają granicy lądowej. Dzieli je 1,5 tys. km. Możliwy jest natomiast izraelski atak lotniczy na Iran. Jest to trudne ze względu na dystans dzielący te kraje oraz konieczność udostępnienia przestrzeni powietrznej przez Arabię, Jordanię, Irak czy Syrię, w której mocno zaangażowani są Rosjanie, a im taki atak by się nie spodobał. Co mógłby on przynieść? Zniszczenia wywołałyby wielką mobilizację tamtejszego społeczeństwa. Teheran nie byłby w stanie odpowiedzieć podobnym atakiem, gdyż jego lotnictwo jest przestarzałe. Dlatego rozbudowuje program rakietowy. Gdyby Izrael zaatakował, wykorzystując swoją przewagę technologiczną, w odpowiedzi Teheran mógłby przeprowadzić atak saturacyjny na izraelskie systemy antyrakietowe. Polega on na jednorazowym wysłaniu dużej liczby rakiet – część zostaje zestrzelona, ale część dociera do celu. Gdyby taki atak został przeprowadzony z terytorium nie tylko Iranu, lecz także Syrii i południowego Libanu, gdzie prawdopodobnie są składy irańskich rakiet, szanse na ich zniszczenie, gdy już zostaną wystrzelone, drastycznie maleją.

Czy Iran faktycznie stanowi zagrożenie dla USA i Izraela?

Dla Izraela – na pewno, dla USA – nie, bo nie dysponuje technologią rakiet balistycznych o zasięgu międzykontynentalnym. Szybko nie rozwinie takich zdolności.

Jak zaostrezenie sankcji przez USA wpływa na Iran?

Sankcje mają duży wpływ na irańską gospodarkę. Kontakty handlowe z Teheranem ograniczają firmy zagraniczne, w tym także rosyjskie. Dla Iranu kluczowa jest obecność na jego rynku Chin, które jednak także redukują swoje zaangażowanie. Wysoki przedstawiciel Unii Europejskiej ds. zagranicznych uważa natomiast, że Unii sankcje nie dotyczą. Firmy jednak czekają, bo nie chcą narażać się Stanom Zjednoczonym. Skutkiem sankcji jest także mobilizacja Irańczyków wobec zewnętrznego zagrożenia. Nawet ci, którzy nie popierają władzy, nie będą się buntować, kiedy wróg stoi u bram.

Czy w tym kraju do głosu dojdą twardogłowi?

Takiego scenariusza nie można wykluczyć, a miałyby on poważne konsekwencje dla Bliskiego Wschodu, niekoniecznie zgodne z interesem Stanów Zjednoczonych. Grupa reformistów straci argumenty, że ich polityka jest skuteczna. Twardogłowi stwierdzą, że polityka uległości się nie sprawdziła. Gdyby doszło do odsunięcia od władzy ekipy Hasana Rouhaniego, jest duże prawdopodobieństwo, że zostanie odwołany program nuklearny, a tym samym pojawi się pretekst do ataku izraelskiego albo izraelsko-arabskiego. Amerykańskie uderzenie jest mniej prawdopodobne, choć nie można go wykluczyć.

Co jest kluczem do pokoju na Bliskim Wschodzie?

Nie ma takiego klucza. Bliski Wschód w ciągu najbliższych dekad będzie dostarczał wielu wyzwań dotyczących bezpieczeństwa – zarówno Europie, jak i w ogóle całemu światu. Mówimy o regionie, którego liczba ludności zwiększyła się w ciągu ostatniego półwiecza niemal dziesięciokrotnie. Tak ogromny przyrost naturalny przy sztywnych strukturach autorytarnej władzy i słabej gospodarce jest żyzną glebą dla wielu konfliktów. Jeśli toczą się one wewnątrz krajów, wybuchają jako rewolucje, jak Arabska Wiosna czy protesty trwające od tygodni w Algierii i Sudanie – w tych dwóch krajach arabskich Afryki Północnej mieszkańcy protestują przeciwko dyktatorom sprawującym władzę. Młodemu ludzom nie wystarcza stabilizacja, jaką zapewnia obecna władza. Część protestów przekształca się w wojny domowe, które szybko zostają umiędzynarodowione. W Libii, Syrii czy Jemenie wybuchły konflikty, które wykorzystali sąsiedzi, aby toczyć swoje wojny pośrednie. Dziś rzadko dochodzi do tradycyjnej konfrontacji między państwami. Częściej w konfliktach wewnętrznych ścierają się między sobą państwo, milicje, ruchy niepodległościowe, organizacje terrorystyczne. Największym dylematem Bliskiego Wschodu jest brak modelu politycznego do naśladowania w państwach arabskich, który połączyłby demokrację z islamem, eliminując korupcję i zapewniając wzrost gospodarczy. ■

Pod koniec lutego 2019 roku świat obiegła wiadomość, że operatorzy SAS (Special Air Services, czyli brytyjskie siły specjalne) podczas działań prowadzonych w Al-Baghuz Faukani znaleźli ponad 50 kobiecych głów. Według anonimowego informatora, zwłoki należały do jazydek, które przed śmiercią wykorzystywano jako niewolnice seksualne. Źródłem informacji był brytyjski tabloid „The Mail on Sunday”. Mimo grozy, którą wywołała ta wiadomość, nie znalazła ona oficjalnego potwierdzenia.

Niezależnie jednak od autentyczności odkrycia, bojownicy spod znaku czarnych flag odpowiadają

ze wiele brutalnych zbrodni. Wśród ofiar znaleźli się przedstawiciele kilkudziesięciu narodowości, grup etnicznych i religijnych, w tym kobiety i dzieci. Wiele z tych morderstw udokumentowali sami oprawcy, a następnie rozpowszechnili w formie nagrań i zdjęć. O niektórych makabrycznych czynach świat dowiedział się dzięki relacjom świadków, którzy z narażeniem życia relacjonowali codzienność mieszkańców samozwańczego kalifatu. Przy skali działania Daesz można jednak zało-

TAJEMNICE CZARNYCH FLAG

Ostatnia enklawa tzw. Państwa Islamskiego miała skrywać najbardziej mroczne sekrety organizacji. Zdobycie Al-Baghuz Faukani nie przyniosło jednak odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

żyć, że najwięcej zbrodni wciąż czeka na ujawnienie. W chwili, gdy powstawał ten artykuł, niewyjaśnione pozostały także inne mroczne historie, w tym ta najbardziej nurtująca – co się stało z Abu Bakrem al-Baghdadim?

Nie dziwi więc, że w chwili rozpoczęcia ofensywy na Al-Baghuz Faukani oczy całego świata były zwrócone właśnie w tę stronę. To niewielkie miasto położone w południowo-wschodniej Syrii było ostatnią enklawą tzw. Państwa Islamskiego. Organizacja, która u szczytu swojej ekspansji kontrolowała terytorium zamieszkane przez blisko 8 mln osób, została zepchnięta na teren nieprzekraczający 4 km².

Początkowo dowództwo Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF) zakładało, że ostatni akord prowadzonej od czterech lat kampanii wybrzmi w ciągu zaledwie kilku godzin. Szacowano, że na miejscu pozostało nie więcej niż 500 bojowników Daesz oraz około 1500 cywilów. Już w pierwszej fazie operacji okazało się jednak, że rzeczywiste liczby są znacznie wyższe. Al-Baghuz Faukani broniło przynajmniej 3 tys. zaprawionych w boju dżihadystów. W ich szeregach znajdowali się także zagraniczni ochotnicy, którzy wcześniej wielokrotnie dowiedli fanatycznej zaciekłości. Osaczeni przez oddziały Syryjskich Sił Demokratycznych oraz siły

DO PODZIEMIA
MOGŁO PRZEJŚĆ
NAWET 30 TYS.
BOJOWNIKÓW
TZW. PAŃSTWA
ISLAMSKIEGO,
KTÓRZY PRZEGRU-
POWUJĄ SIĘ
W OCZEKIWANIU NA
DOGODNY MOMENT

ODDZIAŁY
SYRYJSKICH SIŁ
DEMOKRATYCZNYCH

(na zdjęciu) oraz siły
Baszszara al-Asada
osaczyły bojowników
Daesz.



Baszszara al-Asada stacjonujące po drugiej stronie Eufratu nie mieli nic do stracenia.

ŚLUB W KALIFACIE

Po pierwszym tygodniu stało się jasne, że kontynuacja walk przyniesie setki cywilnych ofiar. Prowadzenie działań utrudniała nie tylko gęsta zabudowa oraz rozstawione w przypadkowych miejscach namioty, w których szukały schronienia rodziny Daesz. W obliczu nieuchronnej klęski bojownicy tzw. Państwa Islamskiego zastosowali taktykę dobrze znaną z Ar-Rakki, czyli żywe tarcze. W odpowiedzi siły międzynarodowej koalicji uszczelniły okrażenie i jednocześnie utworzyły korytarz humanitarny.

Niemal natychmiast cywile, ale i dżihadysty zaczęli setkami przechodzić przez linię frontu. Bojowników odseparowano od rodzin i przetransportowano do więzień w okolicach Al-Hasaki oraz Al-Kamiszli.

Żankami ze szkoły uciekła do Syrii cztery lata temu. W wieku zaledwie 15 lat zdecydowała się wstąpić w szeregi kalifatu i poślubić holenderskiego bojownika Yago Riedijka. Wtedy brytyjski rząd zaznaczał, że nastoletnia Shamima nie jest w pełni świadoma swoich czynów i może liczyć na ulaskawienie. Sytuacja przez lata jednak się zmieniła – ciężarna kobieta wraz z mężem poddała się Syryjskim Siłom Demokratycznym i usiłowała wrócić do kraju. Podczas pobytu w obozie Al-Hawl urodziła dziecko, ale dla brytyjskich władz nie stanowiło to już okoliczności łagodzących. Zgodnie z obowiązującym prawem została oskarżona o terroryzm i pozbawiona obywatelstwa. Kilka tygodni później jej syn zmarł na zapalenie płuc.

W lokalnych więzieniach i obozach przebywają także kobiety oraz mężczyźni z innych krajów UE, w tym Irlandii, Belgii oraz Niemiec. Część z nich została przekazana służbom irackim, co w wielu wypadkach oznacza wyrok śmierci. Pozostali mają trafić przed międzynarodowy

PAŃSTWO ISLAMSKIE KONTYNUUJE SWOJĄ ŚWIATĄ, W TYM W AFGANISTANIE, JEMENIE, KOMÓRKI SĄ OBECNE TAKŻE W EUROPIE

Według depeszy Associated Press z 25 lutego 2019 roku wśród zatrzymanych znalazł się także przynajmniej jeden obywatel polski, ale tej informacji nie potwierdziły żadne inne źródła. Z pewnością natomiast w Al-Baghuz Faukani przebywało kilkudziesięciu Francuzów. Wśród nich Dorothea Maquere, żona Jeana Michela Claina. Kobieta wyznała, że terrorysta odpowiedzialny za zamachy w Paryżu z 2015 roku zginął kilka dni wcześniej w wyniku nalotu koalicji. Wśród ofiar miał być także jego brat, Fabien Clain, który również przyznał się do odpowiedzialności za atak m.in. na paryski klub Bataclan. Wcześniej pod gruzami kryjówki znanej jako French House miała ponieść śmierć Hayat Boumeddiene. „Najbardziej poszukiwana kobieta we Francji” była ścigana za powiązania z grupą, która przeprowadziła atak na redakcję „Charlie Hebdo”. Już w 2015 roku turecki wywiad ustalił, że udało jej się przedostać do Syrii i wstąpić w szeregi tzw. Państwa Islamskiego. Ślad po Boumeddiene urywał się w Tall Abjad, które w tym czasie było kontrolowane przez Daesz.

Pomimo dramatycznej sytuacji, żony bojowników tzw. Państwa Islamskiego wychodzące z oblężenia często otwarcie popierają samozwańczy kalifat. Zdarzają się jednak przypadki, w których fundamentalistki z Europy chcą wrócić do swoich ojczyzn. W połowie lutego brytyjskie media podały informację o odnalezieniu Shamimy Begum, która razem z trzema kole-

trybunał, który miałby sądzić zwolenników Daesz. Do tego czasu raczej nie mogą liczyć na żadną pomoc. W każdym z tych wypadków konsekwencje współpracy z tzw. Państwem Islamskim dotyczą także dzieci zradkalizowanych rodziców.

ZWYKŁY, SZARY CZŁOWIEK

Pomimo ujęcia tysięcy zwolenników tzw. Państwa Islamskiego, międzynarodowa koalicja wciąż nie osiągnęła celu, który miałby wymiar symboliczny. Abu Bakr al-Baghdadi pozostaje nieuchwytny. Nie pomogło metodyczne przeczesywanie odzyskiwanych terenów wsparte skoordynowaną współpracą międzynarodowych służb. Na nic zdała się także nagroda 25 mln dolarów, którą Stany Zjednoczone wyznaczyły za każdą wiarygodną informację mogącą pomóc w schwytaniu przywódcy Daesz.

Niemal od początku proklamacji kalifatu irackie, rosyjskie i amerykańskie źródła wielokrotnie donosiły o prawdopodobnej śmierci Al-Baghdadi. Równocześnie lider tzw. Państwa Islamskiego publikował orędzia, które po weryfikacji uznawano za autentyczne. Ostatnie, z 23 sierpnia 2018 roku, odnosiło się do ciężkich strat w Lewancie oraz nawoływało do przeprowadzania zamachów w innych częściach świata. Wkrótce iracki wywiad stwierdził, że Al-Baghdadi wraz z innymi dowódcami ukrywa się w Hadżinie. Miasto leżące tuż przy syryjsko-irackiej granicy zostało zdobyte w połowie grudnia 2018

roku, ale nie znaleziono w nim śladów obecności samozwańczego kalifa.

Według kurdyjskiego wywiadu na początku stycznia 2019 roku Abu Bakr al-Baghdadi przeżył nieudany pucz. Pomysłodawcą próby obalenia przywódcy tzw. Państwa Islamskiego miał być Abu Muat al-Dżazairi, zagraniczny bojownik, na którego najbliższe otoczenie lidera wydało wyrok śmierci. W liście gończym nie podano przyczyn takiej decyzji, ale jej podjęcie w tak krytycznych okolicznościach pozwala przypuszczać, że ma ona związek z zamachem. Tymczasem sam Al-Baghdadi miał uciec na pustynię w otoczeniu swojej najbliższej ochrony. Ostatni raz widziano go w irackiej prowincji Al-Anbar. Aby zmylić pościg, najprawdopodob-

miesięcy później John Cantlie pojawił się w propagandowych filmach Daesz, w których komentował wydarzenia na Bliskim Wschodzie i prowadzoną przez Zachód politykę. Korespondent wystąpił także w trzech pseudodziennikarskich relacjach z walki o Kobani, Aleppo oraz Mosul.

W lipcu 2017 roku irackie media podały, że John Cantlie zginął podczas bombardowań Mosulu. Tym większe zaskoczenie budziła informacja ogłoszona przez Bena Wallace'a, brytyjskiego ministra bezpieczeństwa, który na początku 2019 roku stwierdził, że fotoreporter żyje. Według doniesień służb, miał być przetrzymywany wraz z innymi zakładnikami właśnie w Al-Baghuz Faukani. Wciąż nieznane są losy ojca

DZIAŁALNOŚĆ W INNYCH REGIONACH LIBII, EGIPCIE I NIGERII. JEGO UŚPIONE



Za lidera tzw. Państwa Islamskiego ABU BAKRA AL-BAGHDADIEGO Stany Zjednoczone wyznaczyły 25 mln dolarów nagrody.

niej porusza się zwykłym samochodem, w cywilnych ubraniach i w asyście maksymalnie trzech osób lub samego kierowcy. Brak telefonu komórkowego oraz innych urządzeń mobilnych w pojeździe mają utrudnić jego namierzenie.

Równie dobrze Abu Bakr al-Baghdadi mógł zginąć w jednym z nalotów koalicji lub zostać zabity przez zbuntowanych bojowników. Mógł także umrzeć w wyniku braku dostępu do leków na cukrzycę lub nadciśnienie, na które cierpi od wielu lat, a także na skutek poważnych obrażeń, które najprawdopodobniej odniósł w 2015 roku w Al-Ba'adż. Pewne jest, że międzynarodowa koalicja nie ustanie w poszukiwaniach, dopóki z całkowitą pewnością nie ustali losów samozwańczego kalifa. Nie jest to jednak jedyna osoba, która miała odnaleźć się w ostatnim bastionie tzw. Państwa Islamskiego i po której ślad zaginął.

UWOLNIĆ DZIENNIKARZA

Brytyjski fotoreporter John Cantlie został uprowadzony wraz z Jamesem Foleyem w listopadzie 2012 roku. Po dwóch latach od zaginięcia okazało się, że obaj mężczyźni są przetrzymywani przez bojowników tzw. Państwa Islamskiego. Najpierw w internecie ukazało się nagranie z egzekucji Foleya. Kilka

Paola Dall'Oglio, mauretańskiego reportera Isaaca Mokhtara, libańskiego operatora kamery Samira Kassaba oraz dziesiątek innych osób uwięzionych przez Daesz (w Syrii najprawdopodobniej przetrzymywany jest także Amerykanin Austin Tice, ale wiele wskazuje na to, że znajduje się on w rękach syryjskiego rządu).

Walki o Al-Baghuz Faukani zakończyły dramat Salwy Sayed al-Omar oraz wielu innych jazydów, których Daesz więziło przynajmniej od 2014 roku. Nadzieję na odnalezienie osób uprowadzonych w pierwszych latach wojny daje także historia japońskiego dziennikarza Junpeia Yasudy, który w październiku 2018 roku został uwolniony z rąk Hajat Tahrir Asz-Szam.

To właśnie syryjskie ramię Al-Kaidy, działające przede wszystkim w prowincji Idlib, przejmując niechlubną rolę lidera po terytorialnym pokonaniu tzw. Państwa Islamskiego. Nie oznacza to jednak, że mroczny kalifat nie może się odrodzić. Do podziemia mogło przejść nawet 30 tys. bojowników, którzy przegrupowują się w oczekiwaniu na dogodny moment. Przy wciąż niestabilnej centralnej i wschodniej Syrii, braku znaczących postępów w rozmowach pokojowych po każdej ze stron konfliktu oraz niejasnej pozycji Amerykanów, powrót ten może nastąpić błyskawicznie. ■

Łapanie wiatru w żagle

Chiny w błyskawicznym tempie nie tylko rozbudowują marynarkę wojenną, lecz także tworzą sieć zamorskich baz.

RAFAŁ CIASTOŃ

Pprzed dziesięciu laty chińska marynarka wojenna po raz pierwszy zaangażowała się w działania przeciwko piratom w rejonie Rogu Afryki. Doświadczenia wyniesione z tej operacji okazały się bezcenne i stały się katalizatorem rozwoju floty Chińskiej Republiki Ludowej.

Marynarkę Wojenną Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej jeszcze trzy dekady temu trudno było nazwać nawet flotą wód zielonych (operującą w strefie szelfu kontynentalnego), dziś natomiast staje się ona oceaniczną.

BODŹCE DO ROZWOJU

Z portu Sanya na wyspie Hajnan 26 grudnia 2008 roku wyszły w morze dwa niszczyciele, „Wuhan” (typ Luyang I) i „Haikou” (typ Luyang II), oraz okręt zaopatrzeniowy „Weishanhu” (typ Fuchi), które obrały kurs na Zatokę Adeńską. Kilka lat wcześniej akweny przylegające do Rogu Afryki stały się jednymi z najbardziej zagrożonych piractwem na świecie. Operacje, których celem była ochrona żeglugi, rozpoczęły tam Unia Europejska („Atalanta”) i NATO („Ocean Shield”), a także – pod banderą narodową – Stany Zjednoczone. To spowodowało, że również Chiny dostrzegły potrzebę zaangażowania się w działania zmierzające do poprawy bezpieczeństwa żeglugi. Było to istotne, gdyż w 2008 roku wody Zatoki Adeńskiej przemierzyło ponad 1200 chińskich statków, z czego siedem zostało zaatakowanych przez piratów.

Podczas pierwszych operacji chińscy marynarze musieli się zmierzyć z wieloma problemami. Były one związane z klimatem (duże wilgotność i zasolenie oraz wysoka temperatura w porównaniu do warunków krajowych), wytrzymałością załóg (pierwsze flotylle korzystały wyłącznie z okrętów zaopatrzeniowych, załogi nie miały okazji do zejścia na ląd przez cały czas trwania misji), a także z logistyką. Żołnierze zgodnie stwierdzili na przykład, że najbardziej brakowało im świeżych owoców i warzyw. Chiny nie miały wówczas własnej infrastruktury por-

towej w regionie, nie korzystały również z obcych portów, dlatego też polegały na dostawach prowadzonych przez jeden okręt zaopatrzeniowy. Chińska marynarka wojenna miała w tym czasie tylko dwie jednostki tej klasy (typu Fuchi), budowę kolejnych rozpoczęto dopiero w 2012 roku. W pierwszych latach chińskiej obecności w Rogu Afryki zdarzało się więc, że ten sam okręt zaopatrzeniowy stanowił zaplecze dwóch następujących po sobie rotacji. Dziś w służbie pozostaje osiem takich jednostek, a dziewiąta jest w budowie. W czasie kolejnych misji wsparcie zapewniał również okręt desantowy-dok „Kunlun Shan” (Yuzhao). Jeszcze w 2008 roku był on jedyną jednostką tej klasy, budowa następnej ruszyła dopiero w 2010 roku. Dziś w służbie jest już sześć takich okrętów i powstają trzy kolejne.

Budowa jednostek zaopatrzeniowych, a także okrętów desantowych-doków oraz helikopterowców stanowiących ich rozwinięcie i uzupełnienie to przynajmniej częściowo wynik lekcji odebranej w czasie operacji w Rogu Afryki. Bez okrętów tych klas chińskie flotylle nie byłyby w stanie pozostawać w morzu wystarczająco długo, by wykonywać postawione przed nimi zadania. I dotyczy to nie tylko misji tak odległych jak afrykańska, lecz także działań w obrębie tzw. pierwszej i drugiej linii wysp.

Konieczność utrzymywania dwóch fregat lub niszczyciela i fregaty na misji, przy jednoczesnej realizacji rutynowych zadań w obrębie własnych wód terytorialnych i wyłącznej strefy ekonomicznej, bez wątpienia uświadamiała potrzebę zwiększenia stanu liczbowego również w odniesieniu do innych klas okrętów. Choć trudno bezpośrednio łączyć rozbudowę chińskiej marynarki o te klasy okrętów z misją w Rogu Afryki. W 2008 roku Pekin miał 13 nowoczesnych niszczycieli (typy: Sowriemiennyj, Luhui, Luhai, Luyang I i II oraz Louzhou) oraz 20 nowoczesnych fregat (Jiangwei I i II oraz Jiangkai I i II), dziś liczba tych jednostek wynosi odpowiednio 29 i 43.

Jak podaje „Global Times”, w ciągu dekady ChRL wysłała ku wybrzeżom Afryki 31 flotylli eskortowych, w których skład

PRACOWITA DEKADA

Afryka



ChRL wysłała ku
wybrzeżom Afryki

31

flotylli eskortowych,
w których skład weszło:

100

okrętów przenoszących

67 helikopterów
pokładowych.

Załogę
stanowiło
ponad

26

tys. marynarzy.

Jednostki
eskortowały
ponad

6600

statków.



DŻIBUTI

weszło 100 okrętów przenoszących 67 helikopterów pokładowych. Ich załogę stanowiło ponad 26 tys. marynarzy. Te jednostki eskortowały łącznie ponad 6,6 tys. statków. Zdobyte w trakcie misji doświadczenie pozwoliło na pięciokrotne skrócenie czasu reakcji w wypadku użycia samego okrętu, trzykrotne – helikoptera i dwukrotne – jednostek specjalnych.

ZDOBYTE DOŚWIADCZENIE



Szkolenie i wykonywanie zadań
w trakcie misji pozwoliło na:

pięciokrotne skrócenie czasu reakcji
w wypadku użycia samego okrętu,



trzykrotne – helikoptera,



dwukrotne –
jednostek specjalnych.



SIEĆ BAZ

O ile pierwsze rotacje były obsługiwane jedynie przez okręty zaopatrzeniowe, o tyle z czasem zaczęto korzystać również z infrastruktury portowej – zarówno na trasie rejsu (np. w Pakistanie), jak i podczas działań na wodach Zatoki Adeńskiej (np. z francuskiej bazy w Dżibuti). Jak wynika jednak z przytoczonych przez chiński dziennik „Global Times” wypowiedzi marynarzy, czas takich postojów był ograniczony do minimum i przeznaczony wyłącznie na uzupełnienie zapasów, co nie pozwalało załogom odpocząć na lądzie. W lipcu 2017 roku Chiny otworzyły więc pierwszą (i jak dotąd jedyną) zamorską bazę w Dżibuti. Na terytorium tego niewielkiego państwa (23 tys. km² powierzchni) swoje bazy mają Stany Zjednoczone, Francja, Włochy, Japonia, a dwa inne (Niemcy i Hiszpania) korzystają z bazy francuskiej. Posiadanie własnej infrastruktury portowej w tym miejscu ułatwiło Chinom prowadzenie działań w regionie i zapewne wpłynęło na sposób myślenia Pekinu na temat celowości pozyskania tego typu zaplecza logistycznego w innych państwach.

Przed rokiem pojawiły się spekulacje, że Pekin planuje budowę kolejnych zamorskich baz. W tym kontekście wskazy-

wano na Pakistan oraz Vanuatu, jedno z wyspiarskich państw Oceanii. Chiny wprawdzie już pomogły wybudować port w pakistańskim Gwadarze, ale nie służy on jako baza marynarki wojennej, lecz przeznaczony jest dla jednostek handlowych. Przystanią dla okrętów marynarki wojennej ChRL miałyby się stać położone kilkadziesiąt kilometrów na zachód od tego miejsca Jiwani, choć ostateczne decyzje w tej kwestii jeszcze nie zapadły. Z kolei rząd Vanuatu zdementował doniesienia prasowe dotyczące budowy baz, nie ruszyły również żadne prace, trudno jednak przypuszczać, by spekulacje na ten temat wzięły się znikąd. Chińskie apetyty morskie będą wymagały w przyszłości zaplecza logistycznego, tak jak wymagała go obecność w Rogu Afryki.

Pozyskiwanie przez Pekin nowych zdolności zmienia sytuację bezpieczeństwa na obszarze Indo-Pacyfiku. Będą one coraz większym zagrożeniem dla hegemonii morskiej USA, a nawet – można zaryzykować takie stwierdzenie – największym wyzwaniem, z którym kiedykolwiek przyszło się Amerykanom zmierzyć.



Fundacja
Dorastaj z Nami



POMÓŻ

tata
~~strażak, żołnierz,~~
~~policjant~~ – zginął
na służbie

W podziękowaniu za ich służbę
PRZEKAŻ DAROWIZNĘ dla
osieroconych dzieci.

nr konta: 29 1030 1508 0000 0008 1545 4006

w tytule przelewu wpisz: polska zbrojna

więcej na: www.dorastajznami.org



PO



ROBERT SENDEK

Ustąpić, aby rządzić

Prezydent Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew, rządzący krajem niemal trzy dekady, 19 marca 2019 roku ogłosił, że ustępuje z urzędu. Dla obserwatorów wydarzeń na tamtejszej scenie politycznej ten krok był pewnym zaskoczeniem. Wprawdzie się spodziewano, że może on zrezygnować choćby z racji wieku – w tym roku kończy 79 lat, jednak powszechnie zakładano, że przekaze władzę po zakończeniu pełnej kadencji, czyli wiosną 2020 roku.

Obowiązki głowy państwa objął marszałek kazachskiego senatu, Kasym-Żomart Tokajew. To bliski współpracownik Nazarbajewa, były premier i minister spraw zagranicznych, członek rządzącej krajem partii Nur Otan. Jest on uważany za polityka umiarkowanego, a przy tym ostrożnego, dlatego nie należy się spodziewać żadnych większych zmian w polityce wewnętrznej i zagranicznej kraju. Tym bardziej że Nazarbajew do ustąpienia dobrze się przygotował. Pozostawił sobie te uprawnienia, które zapewniają mu decydujący wpływ na sytuację w kraju. Nazarbajew jest bowiem szefem Rady Bezpieczeństwa Kazachstanu, a także liderem Nur Otan.

Obie funkcje są nieprzypadkowe, gdyż pozwalają mu kontrolować parlament, a także nadzorować prezydenta – bez względu na to, kto pełni tę funkcję. Formalnie rzecz biorąc, Rada jest organem konsultacyjno-doradczym prezydenta, ale faktycznie mechanizm jej działania został tak pomyślany, by kontrolę mógł nad nią sprawować Nazarbajew. Właśnie po to w 2018 roku zmieniono przepisy, które podniosły status Rady, a dodatkowo zagwarantowały Nazarbajewowi dożywotnie stanowisko jej przewodniczącego. Jak podano opinii publicznej, dlatego że jest on (tak głoszą oficjalnie przyznane mu tytuły) Przywódcą Narodu oraz Pierwszym Prezydentem. Członkami Rady są m.in. premier kraju, przewodniczący obu izb parlamentu, prokurator generalny, minister spraw zagranicznych, a także nowy prezydent.

Rada ma się zajmować nadzorowaniem głównych kierunków polityki państwa, tymczasem nad jej decyzjami, a w konsekwencji również nad polityką Kazachstanu, będzie czuwał, po staremu, Nazarbajew. To jednak nikogo nie dziwi. Tymczasowy prezydent nawet tego nie krył: „Autorytatywny głos Przywódcy Narodu będzie miał specjalne, można nawet rzec priorytetowe znaczenie podczas podejmowania decyzji o charakterze strategicznym”. Tokajew zaproponował nawet, by zmienić nazwę stolicy kraju z Astany – na Nursułtan. Parlament błyskawicznie podjął decyzję. Procedowanie, włącznie ze zmianami w konstytucji oraz owacjami na stojąco, zabrało deputowanym zaledwie 18 minut.

Tymczasem wolne miejsce marszałka kazachskiego senatu zajęła córka Nazarbajewa, Dariga. Analitycy przypuszczają, że może ona w przyszłości objąć urząd prezydenta kraju, np. po wyborach w 2020 roku. Samemu Nazarbajewowi zaś złożenie funkcji było potrzebne, najpewniej po to, aby dalej rządzić, tyle że zza kulis.

Dr ROBERT SENDEK jest slawistą, bałkanistą, zajmuje się zagadnieniami zagranicznymi w „Polsce Zbrojnej”.



Kluczową rolę w realizacji imperialnych ambicji ma odgrywać marynarka wojenna. W pierwszy rejs operacyjny w 2020 roku na wody Azji Południowo-Wschodniej zostanie wysłany lotniskowiec HMS „Queen Elizabeth” wraz z eskadrą samolotów bojowych F-35B na pokładzie.

U K M O D

IMPERIALNE AMBICJE

Brytyjczycy po opuszczeniu Unii Europejskiej zamierzają zwiększyć swoją aktywność polityczno-militarną w innych regionach świata, od Karaibów po Daleki Wschód.

T A D E U S Z W R Ó B E L



Minister obrony GAVIN WILLIAMSON: „W erze globalnej konkurencji nie możemy być usatysfakcjonowani jedynie ochroną własnego podwórka”.

Po brexicie elity polityczne Wielkiej Brytanii zamierzają zredefiniować pozycję geopolityczną kraju. Rządzący konserwatyści chcą, by Zjednoczone Królestwo włączyło się do nowej, globalnej wielkiej gry. Minister obrony Gavin Williamson jako kluczowe wskazuje relacje łączące Londyn z państwami sojuszu pięciorga oczu (Five Eyes Agreement), czyli anglosaskiej wspólnoty wywiadowczej, do której należą jeszcze Stany Zjednoczone, Kanada, Australia i Nowa Zelandia. Według polityka ważne będzie zacieśnienie relacji z krajami Azji: Japonią, Republiką Korei, Indiami oraz członkami Stowarzyszenia Narodów Azji Po-

dniowo-Wschodniej, ze szczególnym wskazaniem na Malezję i Singapur. Te dwa państwa wraz z Wielką Brytanią, Australią i Nową Zelandią są sygnatariuszami porozumienia obronnego pięciu potęg (Five Power Defence Arrangements) z 1971 roku. Williamson zwraca też uwagę na partnerów z Bliskiego Wschodu i licznych w Afryce – od Nigerii po Kenię.

POCZĄTEK KOŃCA

Nie sposób nie skonstatować, że Gavin Williamson wymieniał regiony świata, w których w przeszłości Brytyjczycy byli obecni politycznie, gospodarczo

i wojskowo. W czasach największego rozkwitu imperium kolonialnego mawiano, że nigdy nie zachodzi nad nim słońce, bo posiadłości brytyjskie znajdowały się na wszystkich kontynentach oprócz Antarktydy. Na rok przed wybuchem wielkiej wojny poddani korony brytyjskiej było 23% mieszkańców świata. Apogeum rozwoju terytorialnego imperium przypadło na okres po jej zakończeniu. Po przejściu części ziem upadłego imperium otomańskiego i większości niemieckich kolonii w 1920 roku władza Londynu sięgała 24% lądów na Ziemi.

To był jednak początek końca brytyjskiej potęgi. Co prawda Wielka Brytania wyszła z wielkiej wojny jako zwycięzca, ale wyczerpana ekonomicznie. Ostatecznym ciosem była dla niej następna wojna światowa. Poniesione wówczas spektakularne klęski, jak chociażby kapitulacja Singapuru w lutym 1942 roku, były ciosem wizerunkowym dla kolonizatorów. Mieszkańcy wielu posiadłości Wielkiej Brytanii zaczęli coraz mocniej domagać się niepodległości. Londynu nie było stać na siłowe utrzymanie imperium, co zapoczątkowało proces dekolonizacji.

Brytyjczycy starali się odgrywać mocarstwową rolę jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, ale kłopoty z bilansem płatniczym – wobec spadku rezerw – i niemożność uzyskania wystarczających kredytów zagranicznych narastały. Ostatecznie rząd premiera Harolda Wilsona był zmuszony w listopadzie 1967 roku do zdewaluowania funta szterlinga. Wartość brytyjskiej waluty w stosunku do dolara spadła o 14,3%. W konsekwencji tych problemów 16 stycznia 1968 roku premier ogłosił, że do końca 1971 roku wojska brytyjskie będą wycofane z niemal wszystkich baz Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

Brytyjcy żołnierze opuścili zatem dawne azjatyckie posiadłości imperium – Malesję i Singapur, które już były niepodległymi państwami. Na Dalekim Wschodzie pozostały garnizon w Hongkongu, na wybrzeżu Chin, który nadal był kolonią Zjednoczonego Królestwa, oraz siły w sultanacie Brunei, na północnym wybrzeżu wyspy Borneo. W Zatoce Perskiej zamknięto instalacje wojskowe w Bahrajnie, Katarze i Omanie Traktatowym (teraz Zjednoczone Emiraty Arabskie). Dłużej Brytyjczycy pozostali w Omanie. Do połowy lat siedemdziesiątych XX wieku ich siły specjalne i lotnictwo pomagały tamtejszemu sułtanowi w walce z rebelią w prowincji Zufar. Zarazem była to ostatnia operacja militarna Brytyjczyków na Bliskim Wschodzie, którą prowadzili samodzielnie, a nie jako mniejszy brat USA.

Do 1976 roku lotnictwo brytyjskie utrzymywało bazę lotniczą Gan w archipelagu Malediwów na Oceanie Indyjskim. Od 1957 roku, po zamknięciu instalacji wojskowych na Cejlonie (teraz Sri Lanka), pełniła ona funkcję lotniska tranzytowego między Bliskim a Dalekim Wschodem. Znaczenie Gan

zmniejszyło się wraz z likwidacją w 1971 roku Dalekowschodnich Sił Powietrznych (Far East Air Forces) Royal Air Force. Brytyjczycy zrezygnowali z tej bazy, gdy Amerykanie zbudowali lotnisko na leżącej 200 mil morskich na południe od niej wyspie Diego Garcia. Było to terytorium brytyjskie, Royal Air Force zatem uzyskała możliwość korzystania z tej instalacji.

POCZUCIE SIŁY

Brytyjscy politycy pół wieku później zamierzają przeprowadzić pewnego rodzaju reset geopolityczny. Konserwatyści są

przekonani, że mogą wrócić do gry na arenie światowej obok USA i Chin. „Wielka Brytania jest globalną potęgą. Narodem z piątą największą gospodarką na świecie, z piątym co do wielkości budżetem obronnym na świecie [...]. A ponieważ nowa globalna wielka gra zostanie rozegrana na światowym polu, musimy być przygotowani, aby rywalizować o nasze interesy daleko, daleko od domu”, przekonuje Williamson.

Jednym z posunięć w tym kierunku będzie tworzenie nowych baz wojskowych w różnych częściach świata. Po wielkim odwróceniu Brytyjczykom pozostały instalacje wojskowe w rejonie Morza Śródziemnego – w Gibraltarze i na Cyprze. Na Dalekim Wschodzie utrzy-

mywane jest niewielkie zgrupowanie w Brunei, którego trzonem jest batalion Gurkhów. Po wojnie z Argentyną w 1982 roku Brytyjczycy utworzyli też silny garnizon na Falklandach, na południowym Atlantyku. W tym regionie mają również lotnisko wojskowe na wyspie Ascension.

Brytyjczycy zrobili już pierwsze kroki w kierunku odbudowy swoich wpływów na świecie. 5 kwietnia 2018 roku w Bahrajnie otwarto pomocniczą bazę morską HMS Jufair, stanowiącą część portu Mina Salman w Manamie. Tam też ulokowano dowództwo jednostek przeciwminowych. Na podstawie umowy podpisanej w sierpniu 2017 roku Royal Navy może korzystać z portu Duqm nad Morzem Arabskim, gdzie powstała baza wsparcia logistycznego. Tamtejsze instalacje pozwolą na zawijanie największych okrętów brytyjskich – lotniskowców HMS „Queen Elizabeth” i HMS „Prince of Wales”.

W Duqm magazynowany jest też sprzęt wojsk lądowych. Co więcej, 21 lutego 2019 roku Williamson podpisał z omańskim ministrem obrony porozumienie przewidujące utworzenie omańsko-brytyjskiego ośrodka szkolenia. Przy tej okazji brytyjski minister podał, że Londyn zamierza zainwestować w rejonie Zatoki Perskiej w ciągu dziesięciu lat 3 mld funtów szterlingów. Wśród baz, z których Brytyjczycy zamierzają korzystać, wskazał lotniska Al-Minhad w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Al-Udeid w Katarze. Natomiast na Dalekim Wschodzie oprócz Brunei wymienił Singapur, który w okresie międzywojennym był największą brytyjską bazą morską w Azji.



DAWNA CHWAŁA

KANADA



WIELKA BRYTANIA

IRLANDIA

NIEMCY

CYPR

NOWA
FUNDLANDIA

GIBRALTAR

MALTA



BERMUDY

BAHAMY

HONDURAS BRYTYJSKI
(BELIZE)TRYNIDAD
I TOBAGO

BARBADOS

GUJANA
BRYTYJSKA

WNIEBOWSTĄPIENIA

GAMBIA

SIERRA
LEONEWYSPA
ŚW. HELENAPOŁUDNIOWO-ZACHODNIA
AFRYKAZWIAZEK
PŁD. AFRYKIGEORGIA PŁD.
I SANDWICH PŁD.

FALKLANDY

TRISTAN
DA CUNHA

NIGERIA

TOGO
BRYT.

EGIPT

KAMERUN BRYT.

SUDAN

SOMALI BRYT.

UGANDA

KENIA

TANGANIKA

PŁN. RODEZJA

PŁD. RODEZJA

BECHUANA

SUAZI

BASUTO

ZANZIBAR

NIASA

SOKOTRA

KAJMANY
JAMAJKA
TURKS & CAICOS
ANGUILLA
BRYTYJSKIE WSPY DZIEWICZE
ST. KITTS & NEVIS
MONTSERRAT
GRENADA
ANTIGUA & BARBUDA
DOMINIKA
ST. LUCIA
ST. VINCENT & GRENADYNY

Brytyjczycy chcą też rozszerzyć obecność wojskową na półkuli zachodniej. Gavin Williamson mówił o wykorzystaniu Belize (dawny Honduras Brytyjski) w Ameryce Środkowej. Teraz utrzymywana jest tam niewielka (12 żołnierzy) jednostka szkoleniowa. W brytyjskich mediach pojawiły się informacje o planach utworzenia nowej bazy wojskowej w rejonie Karaibów. Jedną z jej lokalizacji może być niewielka wyspa Montserrat w archipelagu Małych Antyli, która jest terytorium zależnym Wielkiej Brytanii. Inną opcją jest Gujana na wybrzeżu południowoamerykańskim, była brytyjska kolonia.

Plany stworzenia nowych brytyjskich zamorskich instalacji wojskowych nie spodobały się Chinom i Rosji. Postrzegają one Londyn jako jednego z najbliższych sojuszników Waszyngtonu. Chińczyków najbardziej niepokoi zwiększona obecność militarna dawnego mocarstwa kolonialnego na Dalekim Wschodzie. Brunei i Singapur znajdują się blisko Morza Południowochińskiego, do którego prawa sobie roszczą. Rosjanie

natomiast nie akceptują aktywności Wielkiej Brytanii w rejonie Karaibów, głównie ze względu na bliskość przyjaznych Kremlowi państw – Kuby i Wenezueli.

MORSKA POTĘGA

Kluczową rolę w realizacji imperialnych ambicji ma odgrywać, podobnie jak przed laty, marynarka wojenna. Rząd ujawnił, że w pierwszy rejs operacyjny w 2020 roku na wody Azji Południowo-Wschodniej zostanie skierowany lotniskowiec HMS „Queen Elizabeth” wraz z eskadrami samolotów bojowych F-35B na pokładzie. Na razie Londyn wysłał z wielomiesięcznymi misjami na Ocean Indyjski i Pacyfik fregaty. Williamson zapowiedział jednak, że od wiosny na stałe w Zatoce Perskiej stacjonować będą fregata i pięć innych okrętów Royal Navy.

Z politycznymi zamiarami jest powiązany plan budowy dwóch potężnych wielozadaniowych okrętów desantowych Future Littoral Strike Ship (FLSS). Taka jednostka, mająca do



dyspozycji śmigłowce, szybkie łodzie i pojazdy podwodne, będzie mogła zabrać na pokład setki żołnierzy piechoty morskiej. Brytyjczycy mają już dwa szturmowe desantowce HMS „Albion” i HMS „Bulwark” oraz trzy okręty desantowe-doki typu Bay, ale FLSS zwiększą znacząco ich zdolności do projekcji siły w różnych częściach świata. Staną się centrum grup okrętów, w których znajdują się jednostki eskortowe i wsparcia. Jedna z nich ma operować na Oceanie Indyjskim i Pacyfiku, a druga – na Morzu Śródziemnym, Atlantyku i Bałtyku.

KRÓLOWIE PRZESTWORZY

Planuje się także wzmocnić siły powietrzne. Jesienią 2018 roku Wielka Brytania postanowiła zamówić 17 samolotów wielozadaniowych F-35B (wcześniej kupiła 18 maszyn tego typu). Ta liczba wystarczy do skompletowania dwóch eskadr operacyjnych dla lotniskowców. Minister Williamson poinformował o zwiększeniu z pięciu do siedmiu liczby eskadr opera-

cyjnych samolotów bojowych Typhoon. Tyle że w lutym wycofano z użycia operacyjnego maszyny Tornado. Za trzy, cztery lata do służby ma wejść zaś jednostka dronów zdolnych przełamać wrogą obronę powietrzną.

„W erze globalnej konkurencji nie możemy być usatysfakcjonowani jedynie ochroną własnego podwórka”, stwierdził Gavin Williamson. Nie wszyscy w Wielkiej Brytanii podzielały geopolityczny zapal rządzącej Partii Konserwatywnej. Simon Jenkins na łamach dziennika „The Guardian” zauważył, że z podobnymi tyradami politycy torysów występowali w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Ponadto w budżecie obronnym, choć imponuje on w skali globalnej, brakuje miliardów funtów szterlingów na sfinansowanie niektórych projektów. Nie wiadomo też, jakie będą skutki ekonomiczne wyjścia Zjednoczonego Królestwa z UE. Jeśli spełni się czarny scenariusz, za kilka miesięcy te wielkie plany polityczno-militarne mogą się okazać mrzonką.

Rakietowe defilady

Azerbejdżan intensywnie modernizuje i rozwija własną armię. Od Białorusi kupił już rakiety balistyczne krótkiego zasięgu Polonez.

ROBERT SENDEK



Mieszkający w Baku miłośnicy militariów z pewnością uznają rok 2018 za bardzo udany. Choćby dlatego, że w ciągu krótkiego czasu mieli sposobność zobaczyć na ulicach miasta dwie duże defilady wojskowe. Pierwszą z nich zorganizowano 26 czerwca, z okazji obchodzonego w Azerbejdżanie Dnia Wojska. Były przemowy, pokaz sprzętu wojskowego, a pod flagą niebiesko-czerwono-zieloną przemaszerowały oddziały reprezentacyjne różnych jednostek wojskowych. Świątowano bowiem setną rocznicę utworzenia sił zbrojnych Azerbejdżanu.

Zaledwie trzy miesiące później, 15 września, w Baku odbyła się druga, równie imponująca defilada. Uczestniczył w niej jako gość honorowy prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan, na ulicach zaś obok flag Azerbejdżanu powiewały także flagi tureckie. Pretekstem były oficjalne państwowe obchody setnej rocznicy wyzwolenia Baku. Warto przypomnieć: miasto w połowie września 1918 roku zajęły wojska azerskie wraz z sojusznicznymi jednostkami tureckimi. Rozpędzono wówczas rządzącą w Baku władzę, złożoną m.in. z Rosjan i Ormian, a wspierającą ją

brytyjski korpus ekspedycyjny gen. Lionela Dunsterville'a zmuszono do ewakuacji.

Taki podwójny pokaz mocy i wojskowych możliwości – jakim były ubiegłoroczne defilady w Baku – nie jest, rzecz jasna, przypadkowy. Wizyta Erdoğana miała oczywisty związek z udziałem wojsk tureckich w wyzwoleniu Baku przed wiekiem. Była jednak także manifestacją przyjaźni między Azerbejdżanem i Turcją. Turcy i Azery to narody mówiące blisko spokrewnionymi językami, poczuwające się do pantureckiej wspólnoty, wyznające islam (choć są to dwa różne odłamy tej religii). Oprócz tego polityków obydwu krajów – choć nie tylko polityków – łączy coś jeszcze: niechęć do Ormian i Armenii. Zresztą odwzajemniona.

MOŻLIWOŚCI O DUŻEJ PRECYZJI

Właściwy kontekst dla podwójnej defilady dał prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew, gdy podczas styczniowego spotkania z członkami rządu dokonywał podsumowania minionych 12 miesięcy. Powiedział wówczas: „W ubiegłym roku wykonaliśmy ogromną pracę dotyczącą wzmocnie-

Pierwszą uroczystą defiladę Azerbejdżan zorganizował z okazji Dnia Wojska, drugą – w setną rocznicę wyzwolenia Baku. Wiele wymowna jednak była obecność na niej prezydenta Turcji Tayyipa Erdoğan.



MIKHAIL FOMICHEV/EAST NEWS

nia bazy materiałowo-technicznej naszej armii. Podczas zorganizowanej dwukrotnie defilady wojskowej zademonstrowaliśmy część naszego sprzętu. Chciałbym zwrócić tu szczególną uwagę na systemy rakietowe dalekiego zasięgu Polonez oraz LORA. Strona przeciwna nie ma żadnych możliwości obrony przed tymi systemami. Po pokonaniu 300 i więcej kilometrów mogą one z dużą precyzją i znaczną siłą zniszczyć każdy cel wojskowy. Chciałbym jeszcze raz powiedzieć, że przeciwnik nie ma żadnego celu wojskowego, którego nie bylibyśmy w stanie z dużą precyzją zniszczyć”. Dla wszystkich jest jasne: stroną przeciwną i przeciwnikiem, o których mówił Alijew, są Ormianie i Armenia, pozostająca z Azerbejdżanem od niemal ćwierćwiecza w stanie otwartego konfliktu.

Cieniem na niełatwych stosunkach dwu sąsiedzkich narodów kładzie się skomplikowana i tragiczna historia. Lista wzajemnych pretensji Azerów i Ormian jest długa, przyczyny zaś są właściwie te same, co w przypadku innych, sąsiednich, lecz bardzo od siebie różnych nacji: odmienna religia, odmienne tradycje, związane z tym uprzedzenia i fobie, które wielokrotnie znajdowały ujście w prześladowaniach i konfliktach. Obydwie strony były tu i sprawcami, i ofiarami. Problemem jest też historia najnowsza, zwłaszcza konflikt w Górskim Karabachu z pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, który zakończył się

całkowitą klęską i upokorzeniem Azerbejdżanu. W wyniku wojny kraj ten stracił niemal jedną piątą swego terytorium, armia była w rozsypce, ze zdominowanego przez Ormian Karabachu uciekło ponad 700 tys. Azerów. Klęska okazała się całkowita. Wojna de facto nie została jednak zakończona – od 1994 roku obowiązuje jedynie zawieszenie broni. Stan otwartej wrogości ma swój wymiar praktyczny: od ćwierćwiecza Azerbejdżan i Armenia nie utrzymują stosunków dyplomatycznych, nie prowadzą ze sobą handlu ani współpracy.

Należące oficjalnie do Azerbejdżanu tereny, które Ormianie zajęli podczas wojny, tworzą dziś Republikę Górskiego Karabachu (albo, jak chce znowelizowana w 2017 roku konstytucja, Republikę Arcachu). To faktycznie niezależne, choć nieuznawane na arenie międzynarodowej państwo, zdominowane przez Ormian.

NIEDZIAŁAJĄCE ZAWIESZENIE

Zawieszenie broni jest regularnie łamane. Wzdłuż linii frontu, rozdzielającej Karabach od terenów kontrolowanych przez Azerów, praktycznie nie milkną strzały. Obydwie strony regularnie raportują naruszenia przez przeciwnika zawieszenia broni. Te codzienne strzelaniny sporadycznie przeradzają się w większe potyczki. W kwietniu 2016 roku doszło nawet do tzw. wojny czterodniowej, podczas której Azerom udało się zająć skrawek terenów utraconych w latach dziewięćdziesiątych. Odbył się to jednak kosztem niemałych strat w ludziach i sprzęcie. Ostatecznie po czterech dniach ponownie zawarto zawieszenie broni.

Krótkotrwała wojna praktycznie nie zmieniła układu sił w regionie: Azerom mimo dużych inwestycji w armię nie udało się odnieść znaczących sukcesów. Za wielkie zwycięstwo uznano jednak samo przesunięcie linii frontu, o czym nie omieszkali powiadomić świata prezydent Alijew. Z kolei Ormianie lekceważyli rezultat starć, twierdząc, iż utracone tereny nie miały większej wartości strategicznej. Krótkotrwała wojna uświadomiła jednak obydwu skonfliktowanym stronom konieczność dalszego modernizowania własnego wojska. Efektem jest też swoisty wyścig zbrojeń między Ormianami a Azerami.

Teoretycznie przewagę mają Azerowie. Dysponując niezłymi dochodami z eksportu ropy naftowej, Azerbejdżan może sobie pozwolić np. na trzykrotnie większy budżet wojskowy niż Armenia. Od lat Azerowie dopieszczali swoją armię, kupowali sprzęt, prowadzili szkolenia i ćwiczenia, także we współdziałaniu z wojskami natowskimi. Atutem Ormian jest z kolei ścisła współpraca wojskowa z Rosją. Tak bliska, że złośliwi nazywają Armenię rosyjskim lotniskowcem na Kaukazie. Widowym znakiem tej współpracy jest 102 Rosyjska Baza Wojskowa, ulokowana





MO AZERBEJDŻANU

PO GŁOŚNEJ WYPOWIEDZI emerytowanego ormiańskiego generała na temat możliwego raketowego ataku Armenii na wybrane cele w Azerbejdżanie Azerowie szybko kupili systemy rakietowe Polonez (na zdjęciu) i pociski balistyczne LORA.

LISTA WZAJEMNYCH PRETENSJI AZERÓW I ORMIAN JEST DŁUGA, A ICH PRZYCZYNY TAKIE SAME, JAK W PRZYPADKU IN- NYCH SKONFLIKTO- WANYCH NACJI: OD- MIENNE TRADYCJE I RELIGIA, UPRZEDZE- NIA I WZAJEMNE PRZEŚLADOWANIA

w mieście Giumri na północy kraju. Ten sojusz daje jednak Ormianom profity. Dwa lata temu pozyskali oni od Rosjan pierwsze wyrzutnie rakiet balistycznych krótkiego zasięgu Iskander. Komentarze dziennikarzy ormiańskich były triumfalne: pisano, że „Azerbejdżan może zapomnieć o Karabachu”. Wyrzutnie z dumą zaprezentowano w Erywaniu na defiladzie z okazji Dnia Niepodległości 21 września 2016 roku.

Dostarczenie iskanderów Armenii wywołało w Azerbejdżanie nerwowe reakcje. Wiadomo, że Armenia wspiera Górski Karabach, zatem sprzęt wojskowy może wykorzystywać do obrony nieuznanej republiki, czyli do walki z Azerbejdżanem. Media nagłaśniały ormiańskie pogroźki. Głośno było np. o wypowiedzi emerytowanego gen. Arkadiego Ter-Tadewosjana, nawiasem mówiąc, dowodzącego wojskami ormiańskimi podczas wojny w Karabachu. Miał on powiedzieć, że istnieje mapa, na której jest zaznaczonych 12 obiektów z obszaru Azerbejdżanu, które strona ormiańska może zniszczyć atakiem rakietowym.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Azerowie ustami płk. rez. Šaira Ramaldanova oświadczyli, że to, czym dysponuje ich armia, wystarczy, by zrównać z ziemią wszystkie strategiczne cele w Armenii. Najwyraźniej jednak wzięli sobie do serca ormiańskie groźby, szybko bowiem kupili stosowną broń. Wybrali dwie oferty: od Białorusinów nabyli systemy rakietowe Polonez, od Izraelczyków zaś – pociski

balistyczne LORA, właśnie te, o których wspominał prezydent Alijew w styczniowym wystąpieniu.

Szczególnie duże zainteresowanie mediów wzbudziły polonezy. Ich sprzedaż do Azerbejdżanu oburzyła bowiem Ormian. Nominalnie Armenia i Białoruś należą do Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ), zwanej przez niektórych komentatorów paktem antynatowskim. Członkiem OUBZ nie jest natomiast Azerbejdżan. Ormianie w związku z tym uznali za niewłaściwą sytuację, w której ich teoretyczny sojusznik (czyli Białoruś) sprzedaje groźną broń faktycznemu wrogowi (Azerbejdża-

nowi). Łukaszenka bronił się, że przecież na próbną strzelania polonezów była zaproszona także delegacja ormiańska, która jednak nie wyraziła zainteresowania systemem. Przy okazji prezydent Białorusi wyjaśnił powody dwóch defilad w Baku. Podczas spotkania z dziennikarzami w grudniu 2018 roku oznajmił: „Azerbejdżan zwrócił się do nas z prośbą: zróbcie nam polonezy na kolejną defiladę. Ormianie pokazali na defiladzie wyrzutnie rosyjskie, one są mniej więcej podobne, może troszkę mocniejsze, nasza rakietka leci do 300 km, tamta powyżej 300. No więc zrobiliśmy je przed defiladą. I w tym cała moja wina, moje starania o to, by polonezy były gotowe na defiladę. A przecież proponowałem je także i wam, ale powiedzieliście: nie trzeba”.

Pozostaje mieć nadzieję, że defilady będą jedynym miejscem użycia iskanderów i polonezów. ■

W poszukiwaniu następcy



TRZY PYTANIA DO

Janusza Mrowca

Dlaczego rządzący od 20 lat Algierią prezydent Abd al-Aziz Buteflika nagle wycofał się z wyborów?

To efekt demonstracji. Przyczyną protestów było społeczne niezadowolenie z tego, że Buteflika zamierza ubiegać się o kolejną, piątą już kadencję. W orędziu telewizyjnym prezydent ogłosił przesunięcie wyborów do czasu zreformowania algierskiego systemu konstytucyjnego. Zapowiedział także, że nie będzie ubiegał się o kolejną kadencję. Młodzi ludzie, którzy wyszli na ulice, stanowią w Algierii ponad połowę ludności. Oni nie zaakceptowali faktu, że niesprawny 82-latek miał rządzić krajem. Od czasu, gdy w 2013 roku Buteflika przeżył wylew, porusza się na wózku inwalidzkim, a jedno z jego ostatnich publicznych wystąpień miało miejsce w 2014 roku. Dotychczas protesty przebiegały pokojowo. W jednej z ostatnich demonstracji wzięło udział około miliona osób, a rannych zostało 11 policjantów oraz 70 protestujących.

Co sprawiało, że Buteflika tak długo utrzymywał się przy władzy?

Przyczyn jest kilka. Udało mu się zakończyć krwawą wojnę domową z ruchem islamistycznym. W latach 1993–2002 podczas walk z islamistami, których mimo wygranych wyborów armia nie dopuściła do władzy, zginęło 150–200 tys. ludzi. Nie można było wówczas wyjechać samochodem poza Algier, ponieważ groziła śmierć z rąk islamistów. Pamięć o tej traumie, wciąż żywa w Algierii, sprawiła, że Buteflika cieszył się ogromnym społecznym poparciem. Podczas wyborów w 2014 roku zdobył ponad 80% głosów. Zasiadałem wówczas w międzynarodowej komisji nadzo-

rującej te wybory. Trudno było spotkać ludzi, którzy na niego nie głosowali.

Jaki scenariusz dalszych wydarzeń przewiduje pan dla Algierii?

Nie wiadomo, jak się zachowa 300-tysięczna armia, która w Algierii jest liczącą się siłą. Szef sztabu generalnego Ahmed Gaid Salah stwierdził, że wojsko nie dopuści do katastrofy. Nie wytłumaczył jednak, co rozumie pod słowem „katastrofa”. Buteflika potrafił porozumieć się z wojskowymi, ale czy zdoła to zrobić jego następca? Chaos fatalnie odbiłby się na sytuacji gospodarczej tego kraju. Algieria jest drugim po Arabii Saudyjskiej dostawcą ropy dla USA, ściśle jest też związana z Francją. Ma duże nadwyżki budżetowe, ale też problemy, takie jak wysokie bezrobocie wśród młodych ludzi. Nie wiadomo, kiedy odbędą się nowe wybory. Nie widzę kandydatów. Jednym z nich mógłby być były premier Ali Benflis, ale zapowiedział, że nie będzie startował. Niestety, algierskie elity polityczne nie przygotowały następcy Butefliki. Przypuszczam, że w Algierii powstanie jakiś komitet wyzwolenia narodowego, który może się zająć przygotowaniem wyborów. Pewnie odbędzie się narodowa dyskusja nad programem politycznym. Jeśli tak się nie stanie, do władzy mogą dojść islamisci, a wtedy kraj czeka wojna domowa. Gdyby doszło do takiego konfliktu, fala emigrantów, którą trudno byłoby powstrzymać, zalałaby Francję, a może także inne kraje południa Europy. ■

JANUSZ MROWIEC był ambasadorem RP w Algierii. Teraz jest wykładowcą w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzgruber.

MALI

Atak islamistów na obóz wojskowy

17 marca 2019 roku grupa islamistów uderzyła na obóz malijskiej armii we wsi Dioura, położonej w środkowym Mali.

Zginęło 21–23 mundurowych z armii rządowej, a wielu odniosło rany. Według niektórych doniesień grupę dżihadystów prowadził dezertor, były pułkownik wojsk malijskich, który przeszedł na stronę przeciwnika. „Nasze myśli są przy dumnych żołnierzach armii malijskiej, którzy we wsi Dioura zginęli podczas wypełniania swojej misji obrony osób i dóbr przed działaniami tchórzliwego wroga. Całe Mali jest zjednoczone i determinowane w walce z ludźmi, którzy dopuścili się tak haniebných czynów”, napisał na Twitterze

prezydent kraju, Ibrahim Boubacar Keïta.

Rząd Mali prowadzi w kraju walkę z ugrupowaniami islamistycznymi, które w 2012 roku ogłosiły utworzenie w północnej części kraju niezależnego państwa o nazwie Azawad. Podobne potyczki i incydenty powtarzają się w regionie regularnie. Zaledwie tydzień wcześniej sześciu żołnierzy malijskich zginęło podczas wybuchu miny. W połowie stycznia z kolei w Mali zginęło dziesięciu żołnierzy czadyjskich, pełniących pokojową misję ONZ. SR ■



UZBEKISTAN

Wyższa izba parlamentu uzbeckiego pod koniec lutego 2019 roku ratyfikowała dwustronne porozumienie w sprawie korzystania z przestrzeni powietrznej Rosji i Uzbekistanu przez siły zbrojne obu krajów.



FILIPINY

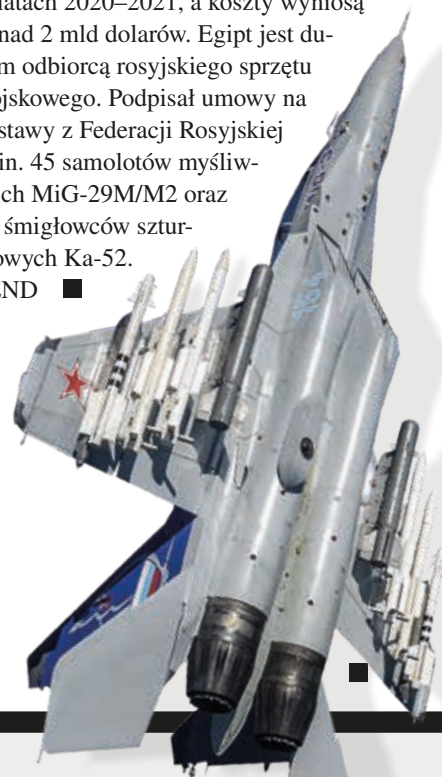
Plik JOSELYN BANDARLIPE została dowódcą 53 Brygady Inżynierskiej w garnizonie Lapu-Lapu. To pierwsza w dziejach armii filipińskiej kobieta na takim stanowisku.

EGIPT

NA ZAKUPY DO ROSJI

Władze Egiptu zdecydowały się na kupno rosyjskich samolotów myśliwskich Su-35. Szczegóły umowy nie zostały upublicznione, ale z mediów rosyjskich wiadomo, że kontrakt ma dotyczyć ponad 20 maszyn. Dostawy samolotów mają się rozpocząć w latach 2020–2021, a koszty wyniosą ponad 2 mld dolarów. Egipt jest dużym odbiorcą rosyjskiego sprzętu wojskowego. Podpisał umowy na dostawy z Federacją Rosyjską m.in. 45 samolotów myśliwskich MiG-29M/M2 oraz 46 śmigłowców szturmowych Ka-52.

SEND ■



ETIOPIA

Morska siła na lądzie



Etiopia planuje odbudować marynarkę wojenną.

Prezydent Francji Emmanuel Macron podpisał w połowie marca 2019 roku w Addis Abebie dokumenty dotyczące nawiązania współpracy wojskowej z Etiopią. Umowa zakłada m.in. pomoc

w tworzeniu przez ten kraj marynarki wojennej. Jest to o tyle niezwykle, że Etiopia na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku po wojnie z Erytreą utraciła dostęp do morza. Kraj ten – dru-

gi najludniejszy w Afryce po Nigerii – ma ambicje być mocarstwem regionalnym. Ma mu w tym pomóc wzmocnienie armii oraz zacieśnienie stosunków ze światowymi potęgami, w tym Francją. Premier Etiopii Abiy Ahmed Ali wyjaśniał po spotkaniu z prezydentem Macronem: „Mamy jedną z najsilniejszych armii lądowych i powietrznych w Afryce. Powinniśmy w przyszłości odtworzyć również nasze zdolności morskie”. Gen. Birhanu Julia Gelalcha z kolei plany

odbudowania floty wyjaśnił w ten sposób: „Musimy pokazać zasięg naszych wpływów na Morzu Czerwonym. Inne kraje przybywają z daleka i zaznaczają tu swoje wpływy. Jesteśmy wielkim, stumilionowym narodem. Nie ma powodu, by Etiopia pozostała bez dostępu do morza”. Na razie nie wiadomo, w jaki sposób będzie odbudowywana marynarka. Nieznane są też szczegóły umowy francusko-etioipskiej. ROBS ■



NOWA ZELANDIA

PODWÓJNE UDERZENIE

Do największego w dziejach Nowej Zelandii ataku terrorystycznego doszło 15 marca 2019 roku.

Dokonał go w dwóch punktach miejscowości Christchurch Australijczyk Brenton Tarrant. Jego celem byli mieszkający w mieście muzułmanie. Do pierwszego uderzenia doszło około godziny 13.40 czasu lokalnego. Zamachowiec wszedł do me-

cetu Al Noor i otworzył ogień do wiernych. Prowadził przy tym bezpośrednią transmisję z ataku w mediach społecznościowych. Odjechał potem do dzielnicy Linwood, gdzie przeprowadził drugi atak, tym razem na meczet znajdujący się

w tamtejszym centrum kultury islamskiej. **W obu strzelaninach zginęło 50 osób i 50 odniosło rany.** W związku z zamachami premier Nowej Zelandii Jacinda Ardern zapowiedziała reformę liberalnego prawa w sprawie dostępu do broni. **ROB** ■

AP/EAST NEWS

W JEROZOLIMIE 20 MARCA 2019 ROKU ODBYŁO SIĘ SPOTKANIE PREMIERÓW GRECJI, CYPRU I IZRAELA.

Uczestniczył w nim również sekretarz Stanu USA Mike Pompeo. Spotkanie miało dwa główne cele. Pierwszy to stworzenie pod egidą Waszyngtonu pewnego rodzaju wojskowego przymierza między trzema państwami. Nieoficjalnie mówi się, że ma ono być wymierzone przeciwko Turcji, która podejmuje agresywne działania w rejonie wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Drugim celem jest budowa podwodnego gazuociągu, który połączyłby Bliżni Wschód z Europą. Przewiduje się, że jego trasa będzie biegła przez tereny trzech zainteresowanych państw. **RO** ■

BAŁKANY

SERIA PROTESTÓW

Na ulicach Belgradu, Podgoricy i Tirany w połowie marca 2019 roku odbywały się wielotysięczne manifestacje, organizowane głównie przez partie opozycyjne. Protestujący domagają się ustąpienia rządów w swych krajach oraz przeprowadzenia wolnych wyborów.

Najdłużej, bo już trzeci miesiąc, demonstracje antyrządowe trwają w Serbii. Protestanci chcą ustąpienia prezydenta Aleksandara Vučića oraz rozpisania wyborów. 16 marca manifestanci wdarli się nawet do budynku państwo-

wej telewizji, zirytowani faktem, że państwowe media ignorują ich głos. Boško Obradović, jeden z liderów opozycji, a jednocześnie szef prawicowej partii Dveri oznajmił: „Żądamy wolnych wyborów, a wcześniej przynajmniej sześciu miesięcy wolnych mediów”.

Protesty trwają również w sąsiedniej Czarnogórze. Manifestanci domagają się ustąpienia prezydenta Mila Đukanovicia w związku z ujawnionymi w prasie informacjami o naduży-

ciach władzy, niejasnych interesach i korupcji. Kolejny tydzień trwają również antyrządowe protesty w albańskiej Tiranie. Również i tutaj manifestanci żądają ustąpienia władz, sformowania rządu tymczasowego oraz wolnych wyborów. **SENDER** ■

AP/EAST NEWS



HISTORIA

/ XX WIEK



MJR BARTOSZ
KLEPCZYŃSKI:
„Wykonywałem dla
Muzeum Katyńskiego
rekonstrukcje
w 3D kilkudziesięciu
przedmiotów. Były
wśród nich m.in. ryn-
grafy, papierosnice
i aluminiowe menaż-
ki, na których więź-
niowie często wydra-
pali swoje inicjały
czy nazwiska współ-
więźniów”.



ŻYCIE ZAKŁĘTE W GABLOTACH

Aż do śmierci czekała na powrót ukochanego męża. Jego nazwisko nie pojawiło się na listach ofiar z Katynia. Po latach major Żandarmerii zidentyfikował należącą do żołnierza odznakę znaną w grobie w Charkowie.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER



T

rudno powiedzieć, dlaczego uwagę mjr. Bartosza Klepczyńskiego przykuł ten właśnie eksponat. Podczas wizyty w Muzeum Katyńskim zauważył, że w jednej z gablot leży odznaka z przedwojennym symbolem Żandarmerii. Kawałek metalu o wymiarach 4x4 cm wyglądał na zniszczony. Wtedy jeszcze

major nie wiedział, że odznaka jest ze srebra, a on niczym detektyw odkryje, do kogo należała.

Odnaka, podobnie jak wiele eksponatów prezentowanych w Muzeum Katyńskim, została wykopana z dołów śmierci podczas ekshumacji szczątków polskich oficerów i policjantów zamordowanych w sowieckich obozach w Katyniu, Charkowie i Starobielsku. Wiele przedmiotów wydobytych po latach z ziemi było zniszczonych i trudno było je zidentyfikować. O pomoc Muzeum Katyńskie zwróciło się do Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim. Placówka ta dysponuje narzędziami pozwalającymi na precyzyjną wizualizację takich przedmiotów w technologii 3D. Tak przygotowane zdjęcia muzeum chciało zamieścić w internecie, z nadzieją, że rodziny rozpoznają pokazane na nich eksponaty.

„Wykonywałem dla Muzeum Katyńskiego rekonstrukcje w 3D kilkudziesięciu przedmiotów. Były wśród nich m.in. ryngrafy, papierosnice i aluminiowe menażki, na których więźniowie często wydrapywali swoje inicjały czy nazwiska współwięźniów”, mówi mjr Bartosz Klepczyński, który w Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej jest starszym wykładowcą cyklu szkolenia dochodzeniowo-śledczego.

PO NITCE DO KŁĘBKA

W dokumentach muzeum odznaka nie była opisana, a na zniszczonej powierzchni trudno było dostrzec jakieś szczegóły, np. numer pozwalający na szybkie odnalezienie w archiwach nazwiska osoby, której ją przyznano. Swoje śledztwo mjr Klepczyński rozpoczął od przesłędzenia list ofiar zbrodni katyńskiej. Odnaka została wykonana ze srebra, co świadczyło o tym, że prawdopodobnie należała do oficera. Po lekturze opracowania „Żandarmi zamordowani na Wschodzie w latach 1939–1949” autorstwa Jana Sulińskiego major wytypował dwie osoby:

płk. Stanisława Sitka, komendanta Centrum Wyszczolenia Żandarmerii w Grudziądzu, oraz ppłk. Stanisława Kuciela, dowódcę 3 Dywizjonu Żandarmerii w Grodnie.

Archiwalne poszukiwania major łączył z rekonstrukcją przedmiotów dla Muzeum Katyńskiego. Pracę rozpoczął od odznaki. Gdy jej obraz pojawił się na ekranie monitora w technologii 3D, dostrzegł dwa małe zagłębienia: jedno w miejscu, w którym zwykle znajdował się znak mennicy, oraz drugie, w którym zapisywano numer. „Mamy skaner światła strukturalnego, który skanuje do dziesiątych części milimetra. Mogłem dokonać bardziej precyzyjnej analizy powierzchni odznaki. Gdy zwiększyłem rozdzielczość obrazu, zobaczyłem cyfrę 9. Wcześniej trudno ją było dostrzec, gdyż podczas ekshumacji ktoś flamastrem naniósł w tym miejscu numer ekshumacyjny”, opowiada mjr Klepczyński.

Sięgnął zatem po opracowanie Centralnej Biblioteki Wojskowej „Żandarmeria Wojskowa w dokumentach z lat 1918–1939”. Okazało się, że Odnaka Pamiątkowa Żandarmerii została ustanowiona rozkazem marszałka Józefa Piłsudskiego 31 grudnia 1931 roku. Ta data oraz niski numer sugerowały, że została ona najprawdopodobniej nadana w roku 1932. W cyfrowych zasobach biblioteki wielkopolskiej mjr Klepczyński odnalazł rocznik oficerski z tego okresu, w którym występowali zarówno ppłk Kuciel, jak i płk (wówczas major) Sitek.

„Zakładałem, że odznaka należy do patrona naszej jednostki – płk. Stanisława Sitka, który zginął w Katyniu”, wspomina major. Okazało się jednak, że pułkownik został rozstrzelany w Twerze, a nie w Charkowie, gdzie odnaleziono odznakę. „Dokumentacja wywozowa z miejsc kaźni wskazywała, że miejscem rozstrzelania ppłk. Kuciela był Charków”, opowiada major. W bibliotece Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim odnalazł listę żandarmów, którzy zginęli w Katyniu. Było na niej nazwisko podpułkownika.

Poszukiwania wykazały, że żandarm razem z odznaką otrzymywał dyplom podpisany przez komendanta Żandarmerii płk. Felicjana Płato Bałabana oraz legitymację odznaczenia, w której wpisywany był jego numer oraz data i numer rozkazu dowódcy dywizjonu. Mjr Klepczyński przeszedł w sieci aukcje numizmatyczne z ostatnich lat, na których wystawiano srebrną Oznakę Pamiątkową Żandarmerii. W Central-



PŁK STANISŁAW KUCIEL był dowódcą 3 Dywizjonu Żandarmerii w Grodnie.



DZIĘKI UŻYCIU SKANERA ŚWIATŁA STRUKTURALNEGO można było przeprowadzić precyzyjną analizę powierzchni odznaki. Po zwiększeniu rozdzielczości obrazu pojawiła się cyfra 9, wcześniej przesłonięta przez naniesiony flamastrem numer ekshumacyjny.

ODZNAKA NIE BYŁA OPISANA W DOKUMENTACH MUZEUM KATYŃSKIEGO, A NA ZNISZCZONEJ POWIERZCHNI TRUDNO BYŁO DOSTRZEC NUMER POZWAŁAJĄCY NA SZYBKIE ODNALEZNIENIE W ARCHIWACH NAZWISKA JEJ WŁAŚCICIELA



BARTOSZ
KLEPCZYŃSKI (2)

nym Archiwum Wojskowym przeglądał roczniki oficerskie, rozkazy dowództwa Żandarmerii z 1932 roku, księgi, w których odnotowywano opłaty za odznaki, a także rozkazy dowódcy dywizjonu.

TROPY WIODĄ DO GDAŃSKA

„Szybko trafiłem na dwa dokumenty, które potwierdziły, do kogo należy odznaczenie. W książce numerowej Odznaki Pamiątkowej Żandarmerii Wojskowej oraz w księdze alfabetycznej Odznaki Pamiątkowej Żandarmerii Wojskowej pod numerem 9 znajdował się ppłk Stanisław Kuciel, dowódca 3 Dywizjonu ŻW z Grodna”, mówi mjr Klepczyński. Identyfikacja została zakończona. Mjr Klepczyński postanowił dotrzeć do rodziny ppłk. Kuciela. Chciał odnaleźć dyplom lub legitymację nadania odznaczenia.

„Łatwo nie było, bo nazwisko Kuciel jest dość popularne”, wspomina major. Poszukiwania rozpoczął od przeglądania internetu i portali społecznościowych. W jednej z gazet ukazujących się w Trójmieście trafił na wywiad z Wojciechem Kucielem, który stwierdził, że jego ojciec był żandarmem i został zamordowany w Charkowie. Na Facebooku znalazł kilkunastu Kucielów. Napisał e-maile z prośbą o kontakt. Po dwóch godzinach odpowiedziała Zofia Kuciel. Jak się okazało, wnuczka ppłk. Stanisława Kuciela i córka Wojciecha. Poszukiwania mjr. Klepczyń-

skiego zakończyły się w Gdańsku spotkaniem z synem człowieka, którego odznakę zidentyfikował.

Wojciech Kuciel ma 90 lat. O wydarzeniach z czasów wojny opowiada, jakby miały miejsce wczoraj. Rozkłada na stole dokumenty związane z ojcem: rodzinny album ze zdjęciami sprzed II wojny, listy ojca z obozu, zapytania rodziny do Czerwonego Krzyża o jego losy.

Na jednej ze ścian wiszą zdjęcia. Najstarsze pochodzi z 1917 roku i przedstawia ppłk. Kuciela z żoną, która miała wówczas 17 lat. Obok wisi reprodukcja patentu oficerskiego podpułkownika podpisanego przez marszałka Józefa Piłsudskiego. „Dokument ten przetrwał wojnę, bo gdy Niemcy wkroczyli do Grodna, matka zawinęła go w rulon i zakopła w komórce”, opowiada Wojciech Kuciel.

W 1931 roku ppłk Stanisław Kuciel został dowódcą 3 Dywizjonu Żandarmerii Wojskowej w Grodnie. Mieszkał tam do 1939 roku z żoną i trzema synami. Zajmowali mieszkanie na piętrze budynku, w którym na parterze mieściło się dowództwo Żandarmerii. Gdy wybuchła wojna, Wojciech Kuciel był uczniem czwartej klasy. Pierwszego września 1939 roku nie poszedł jednak do szkoły. „Tego dnia o godzinie piątej rano staliśmy na balkonie: ojciec, matka, mój brat i ja. Patrzyliśmy, jak nadlatują niemieckie samoloty bombardujące Grodno. Pamiętam, jak silny był podmuch od bomby, która spadła 400 m dalej”, wspomina mężczyzna. Płk Kuciel →



ARCH. WOJCIECHA KUCIELA (3)

OSTATNIĄ KARTKĘ OD OJCA DOSTALIŚMY W MOJE URODZINY, 6 KWIETNIA 1940 ROKU. PISAŁ, ŻE DOSTANĘ PREZENT, GDY ON WRÓCI DO DOMU. A PRZECIEŻ JUŻ WTEDY SOWIECI ZACZĘLI ICH MORDOWAĆ



WOJCIECH KUCIEL, SYN PŁK. STANISŁAWA KUCIELA, chętnie opowiada o swoim ojcu: „Minęły lata, zanim się dowiedzieliśmy, że ojciec został zamordowany w Charkowie. W 1963 roku zmarła mama. Do końca czekała na jego powrót”.

wywiózł rodzinę do majątku w Siderce, a sam wyruszył na front.

Z czasem zaczęły przychodzić listy ze Starobielska. Niektóre z nich ocalały, mimo że litery wyblakły, ale na pożółtym papierze można odczytać ich treść. „Ostatnią kartkę od ojca dostaliśmy w moje urodziny, 6 kwietnia 1940 roku. Pisał, że dostanę prezent, gdy on wróci do domu. A przecież już wtedy Sowieci zaczęli ich mordować, o czym nie wiedzieliśmy. Czekaliśmy na jego powrót”, mówi Wojciech Kuciel.

W jednej z obozowych pocztówek płk Kuciel pisał do żony: „Boję się, abyście nie pojechali tam, gdzie wuj Sosnowski budował most na Amurze – zapomniałem, jak ta miejscowość się nazywa...”.

„Treść tego listu dowodzi, że do obozów dochodziły informacje o wywózkach rodzin oficerów na Sybir”, tłumaczy syn żandarma. Takiej wywózki nie uniknęła również rodzina Kucielów. W nocy z 20 na 21 czerwca 1941 roku NKWD zabrało matkę i synów. Pociąg, którym jechali, nie dotarł jednak do miejsca przeznaczenia, gdyż między Baranowiczami a Stołpcami został zbombardowany przez Niemców – właśnie rozpoczęła się wojna niemiecko-rosyjska. „To był jedyny pociąg, który został przez Niemców ostrzelany. W lokomotywie

wybuchł pożar, spłonęły cztery wagony. Nam udało się uciec i przedostać do Polski”, wspomina Wojciech Kuciel.

Po zakończeniu II wojny światowej rodzina ciągle czekała na powrót płk. Kuciel. Nie było oficjalnego potwierdzenia, że zginął. Jego nazwisko nie znalazło się na listach ofiar z Katynia opublikowanych przez Niemców. „Jest na liście zaginionych”, takie dwie odpowiedzi dostała rodzina Kucielów w lutym i w lipcu 1946 roku od Czerwonego Krzyża. „Minęły lata zanim się dowiedzieliśmy, że ojciec został zamordowany w Charkowie. W 1963 roku zmarła mama. Do końca czekała na jego powrót”, wspomina Wojciech Kuciel. Na liście jeńców wojennych NKWD obozu w Starobielsku płk Stanisław Kuciel figuruje pod numerem 1380. W Charkowie podczas prac ekshumacyjnych znaleziono kartkę z jego nazwiskiem zawiniętą w rosyjską gazetę. Pochowany jest w grobie 6, 7./94.

W 2007 roku płk Stanisław Kuciel decyzją ministra obrony narodowej został pośmiertnie awansowany do stopnia pułkownika. Wojciech Kuciel nie zna okoliczności nadania ojcu srebrnej Odznaki Pamiątkowej Żandarmerii, lecz chętnie wyraził zgodę, aby jego imię nosił Wydział Żandarmerii Wojskowej w Bemowie Piskim. ■

*Świadek prawdy
– największy zbiór
eksponatów
wydobytych
z dołów śmierci.
Posłuchaj ciszy,
która woła
o pamięć...*



MUZEUM KATYŃSKIE



Oddział martyrologiczny Muzeum Wojska Polskiego jest placówką muzealno-badawczą dokumentującą zbrodnię popełnioną na około 22 tys. jeńców przetrzymywanych w latach 1939–1940 w sowieckich obozach i więzieniach. Decyzją Biura Politycznego WKP(b) z dnia 5 marca 1940 roku zostali oni zgładzeni w okresie od kwietnia do czerwca 1940 roku. W dołach śmierci znalazły swój kres genealogie rodzin ważnych dla historii Polski. W Muzeum przechowywanych jest 30 tys. relikwii wydobytych z dołów śmierci w Katyniu, Charkowie, Miednoje i Bykowni.



Cytadela
Warszawska
ul. Jana
Jeziorańskiego 4
01-783 Warszawa
tel. 261 878 342,
261 877 228

muzeumkatynskie.pl

ARCHIPELAG OFLAG

**Dlaczego oficerowie podejmowali ryzyko
ucieczki z oflagu, choć często wiedzieli,
że idą na pewną śmierć?**

PIOTR KORCZYŃSKI





KRIEGSGEFANGENEN LAGER DER LUFTWAFFE 3 (znany pod nazwą Stalag Luft 3) był jednym z największych niemieckich obozów dla alianckich lotników.

Wtrakcie sztabowych konferencji przed wybuchem II wojny światowej Hitler powtarzał swym dowódcom, że nadchodzący konflikt nie będzie miał nic z rycerskości dawnych wojen. Do znudzenia instruował oficerów: „Bądźcie brutalni wobec nieprzyjaciela!”. Po najeździe na Polskę we wrześniu 1939 roku pod tym względem Führera nie zawiodła jego gwardia – SS. Również Luftwaffe rozpętało podniebny terror, kiedy atakowało bez pardonu miejscowości pozbawione znaczenia wojskowego i kolumny uciekających cywilów. Nowe metody prowadzenia wojny znacznie trudniej było wpoić Wehrmachtowi. Zdarzało się, że oficerowie wysłali do Berlina oficjalne skargi na SS i gestapo za ich zbrodnie na tyłach walczących wojsk. Najwyraźniej nie wszyscy potrafili mentalnie przestawić się na tory narodowosocjalistycznego totalitaryzmu. W kolejnych latach wojny armia niemiecka niemal bez reszty poddała się zaleceniom Hitlera. Była jednak sfera, w której starano się utrzymać rycerskość – obozy jenieckie dla oficerów, czyli oflagi (Offizierslager für kriegsgefangene Offiziere).

WEHRMACHT PRZEPRASZA SUCHARSKIEGO

Niemcy w tej wojnie złamali wszelkie prawa, zarówno ludzkie, jak i boskie, ale podpisanej 27 lipca 1929 roku w Genewie konwencji dotyczącej traktowania jeńców wojennych starali się przestrzegać. Z pewnością wpływ na to miała obawa o los żołnierzy niemieckich, którzy dostali się do alianckiej niewoli. W hitlerowskich Niemczech funkcjonowało około 50 oflagów i w każdym z nich przestrzegano skrupulatnie oficerskich konwenansów, zapisanych nie tylko w konwencji genewskiej, lecz także uświęconych wielowiekową tradycją. Widać to najwyraźniej w przepisach normujących życie codzienne obozu. Oficerowie nie mogli być zmuszani do stołowania się z podoficerami czy szeregowymi. Ponadto „celem zapewnienia obsługi obozów oficerskich będą do nich przydzielani żołnierze jeńcy wojenni [...] w liczbie potrzebnej, mając tu na uwadze rangę oficerów”. Mówiąc prościej, jeńcy oficerowie nie mogli sami glansować sobie butów i czyścić mundurów – powinni mieć oddelegowanych do tego ordynansów. Zobowiązani też byli salutować jedynie oficerom wyższej lub równej rangi. Jak słusznie zauważył Maciej Zaremba Bielawski w książce „Dom z dwiema wieżami”, „jako jeniec kapitan stoi wyżej od kaprała, który go pilnuje”. Co więcej, często bywało tak, że niemieckim oficerom z administracji bliżej było mentalnie do jeńców niż do własnych podwładnych i niejednokrotnie dobitnie to okazywali! Dobrym przykładem jest tutaj zdarzenie związane z mjr. Henrykiem Sucharskim.

Po kapitulacji Westerplatte, gen. Friedrich Eberhardt w uznaniu męstwa pozostawił polskiemu majorowi szablę ➔

z prawem noszenia jej w niewoli. Tego rycerskiego obyczaju nie znał jednak jeden z wachmanów w Oflagu II B Arnswalde w Choszczynie i odebrał Polakowi szablę. Na drugi dzień komendant płk Rudolf von Löbbecke zarządził apel. Kiedy 2 tys. oficerów zebrało się na obozowym placu, wyszedł na mównicę. Zaremba Bielawski pisze: „Von Löbbecke przemawia, tłumacz tłumaczy. Któryś z wachmanów – słowo »Gefreiter« wymawia z wyraźnym niesmakiem – miał czelność skonfiskować szablę majora von Sucharskiego. Teraz pułkownik chce ją zwrócić wraz z przeprosinami od Wehrmachtu. »Proszę, aby pan major von Sucharski wystąpił!«. Stojący najbliżej słyszą, jak Sucharski mamrocze: »Skąd mu się wzięło to von? Sucharski jestem, z prostych ludzi, ojciec mój był szewcem«”. Dla niemieckiego pułkownika kawalerii z I wojny światowej pewnikiem był fakt, że oficer pochodzi z herbowej rodziny, stąd automatycznie dodał do nazwiska majora arystokratyczne „von”.

SS NIE MA NIC DO GADANIA

Już we wrześniu 1939 roku minister bezpieczeństwa Rzeszy Reinhard Heydrich zażądał, by oddzielić jeńców żydowskiego pochodzenia od reszty. Komendanci stalagów godzą się na to bez szemrania, ale większości oflagów nie. Jedynie sześciu z 40 komendantów spełniło te instrukcje. Tam oficerom o żydowskim pochodzeniu zostają przydzielone osobne baraki lub część koszar, lecz poza tym mogą się swobodnie poruszać po obozie. W dwóch oflagach – X A-Itzehoe i XC Lübeck – doszło do protestów jeńców i te wszystkie symboliczne getta zostały zlikwidowane. Kiedy wiosną 1940 roku Heydrich zażądał wydania wszystkich żydowskich jeńców gestapo, stalagi znowu były mu posłuszne, ale w oflagach nie było już zgody na żadne ustępstwa.

Zaczęła się swoista gra ze służbami bezpieczeństwa. Oficerowie Żydzi zostali zgrupowani, przewożono ich tam i z powrotem między obozami, ale żaden nie trafił w ręce gestapo. Historycy nie mogą odnotować wypadku, aby Wehrmacht wydał jakiegoś oficera w ręce gestapo tylko dlatego, że był Żydem. Przekazywano jedynie tych, którzy byli oskarżeni o tworzenie w obozie ruchu oporu lub po wielokrotnych próbach ucieczki. Co więcej, wiosną 1943 roku Heinrich Himmler zażądał wydania SS polskich oficerów, by użyć ich do pracy przymusowej. Rozkaz pozostał bez odpowiedzi. Po zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku nie było już mowy o wykorzystaniu polskich oficerów do pracy – Himmler wydał SS-Gruppenführerowi Hermannowi Fegeleinowi



Pogrzeb zmarłego w żagańskim oflagu lotnika alianckiego w niemieckiej asyście

Całkiem dobre warunki egzystencji, a nawet pewien komfort, nie mogły zrehabilitować braku wolności.



rozkaz przeniesienia 18 tys. polskich oficerów do obozów koncentracyjnych. Ten również nie został wyegzekwowany.

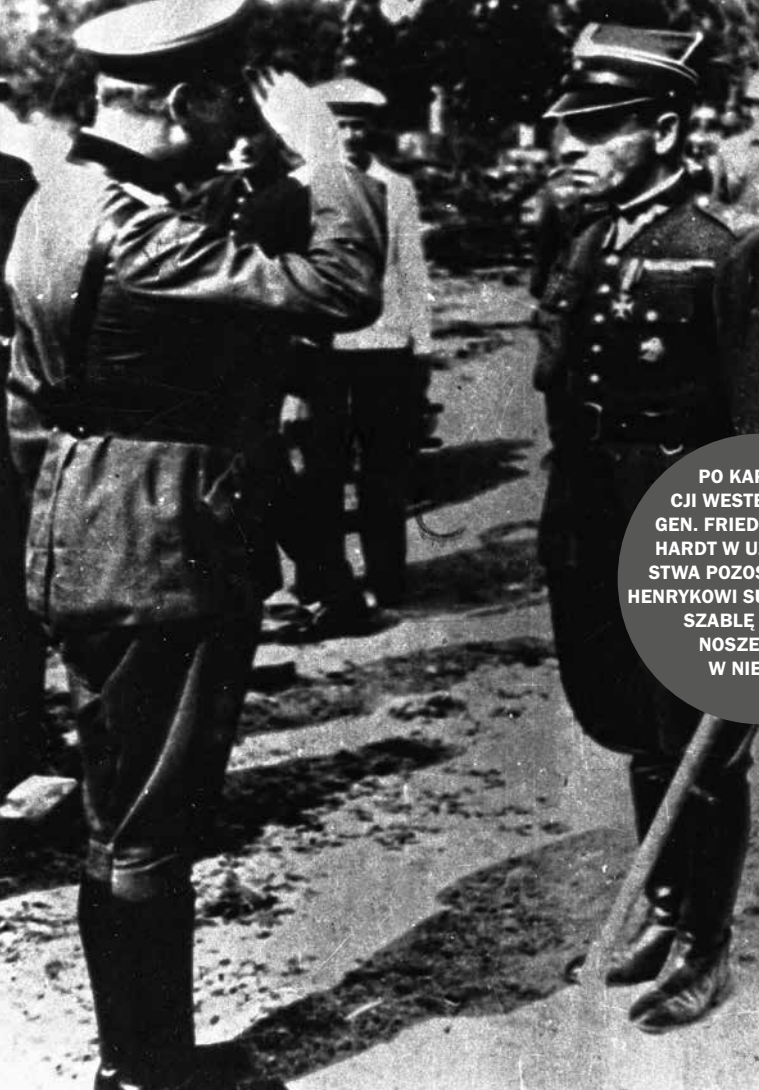
CASUS ŻAGANIA

Jednym z największych niemieckich obozów jenieckich dla alianckich lotników był Kriegsgefangenen lager der Luftwaffe 3 w Żaganiu, bardziej znany pod nazwą Stalag Luft 3. Mimo słowa „stalag” był to jak najbardziej obóz oficerski, który bardzo rozrósł się w czasie wojny – z 1200 jeńców w 1942 roku do 12 tys. w 1944 roku. Lotników, z racji cech charakterologicznych – odwagi, zaciętości, skłonności do ryzyka – niełatwo było upilnować. Między administracją obozową a społecznością jeniecką ciągle odbywały się podchody, kto kogo przechytrzy w próbach ucieczek. Trzeba jednak przyznać, że komendant obozu i jego zastępca cieszyli się szczególnym mirem wśród jeńców.

Marek Łazarz, dyrektor Muzeum Obozów Jenieckich w Żaganiu, określił ich jednoznacznie: „prawdziwi rycerze”. Płk Friedrich Wilhelm von Lindeiner-Wildau i jego zastępca mjr Gustav Simoleit tworzyli wyjątkowy tandem. Płk von



Płk FRIEDRICH WILHELM VON LINDEINER-WILDAU robił wszystko, co w jego mocy, aby uczynić życie jeńców bardziej znośnym oraz osiągnąć swój cel – wspólną egzystencję i współpracę bazującą na wzajemnym szacunku i zrozumieniu.



PO KAPITULACJI WESTERPLATTE, GEN. FRIEDRICH EBERHARDT W UZNANIU MĘSTWA POZOSTAWIŁ MJR. HENRYKOWI SUCHARSKIEMU SZABŁĘ I PRAWO NOSZENIA JEJ W NIEWOLI.

JEŃCY W NIEWOLI NIE PRZESTAWALI BYĆ ŻOŁNIERZAMI I OBOWIĄZYWAŁO ICH PODEJMOWANIE WALKI Z NIEPRZYJACIELEM

Lindeiner był jednym z bohaterów I wojny światowej i oficerem z wielkim doświadczeniem. W sztabie Luftwaffe uważano go za najlepszego specjalistę od spraw RAF-u. Ze względu na przekonania musiał zrezygnować z kariery w Luftwaffe – głośno krytykował metody walki, które niewiele miały wspólnego z lotniczym etosem. Oddelegowanie go w 1942 roku na stanowisko komendanta obozu jenieckiego

w Żaganiu było w istocie karą. Mjr Simoleit natomiast przed rozpoczęciem II wojny światowej wykładał pedagogikę, historię, geografę i etnologię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Łęborku. O jego przydziale do administracji obozowej zaważyła doskonała znajomość języków angielskiego, rosyjskiego i polskiego. Tak we wspomnieniach pisał o swym szefie: „W Stalagu Luft 3 von Lindeiner robił wszystko, co w jego mocy, aby uczynić życie jeńców bardziej znośnym oraz osiągnąć swój cel – wspólną egzystencję i współpracę bazującą na wzajemnym szacunku i zrozumieniu. Osobiście zgadzałem się z komendantem we wszystkich kwestiach i wkrótce zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi”.

Można by podejrzewać Simoleita o wybielanie komendanta i własnej osoby po wojnie, gdyby nie zbieżność opinii o nich byłych jeńców z Żagania. Świadczy też o tym fakt, że kiedy role się odwróciły i w 1945 roku von Lindeiner i Simoleit zostali jeńcami, zaopiekowali się nimi ich byli podopieczni – amerykańscy i brytyjscy jeńcy ze Stalagu Luft 3.

Jak podkreśla Marek Łazarz, dzięki von Lindeinerowi, w Żaganiu konwencja genewska była skrupulatnie przestrzegana. Do tego stopnia, że gestapo i zwierzchnicy zaczęli oskarżać pułkownika o kolaborację z aliantami, na co on miał podobno odpowiedzieć, że wolałby strzelić sobie w głowę niż skrzywdzić jeńca. Nie oznacza to jednak, że von Lindeiner przymykał oczy na próby ucieczek. Tutaj bezpardonowo starał się im zapobiegać, ale po schwytaniu uciekinierów nie stosował innych kar niż te przewidziane w konwencji genewskiej, czyli kilkudniowy areszt za wykroczenie dyscyplinarne. Zdarzyło się nawet, że po schwytaniu jednego z lotników von Lindeiner wręczył mu butelkę whisky w uznaniu za jego przemyślny plan. To wszystko zmieniło się po słynnej wielkiej ucieczce w nocy z 24 na 25 marca 1944 roku, kiedy z obozu zbiegło 76 lotników. Udała się ona tylko trzem z nich. Resztę schwytano, następnie na osobisty rozkaz Hitlera gestapo rozstrzelało 50 uciekinierów. Represje dotknęły również niemiecką załogę obozu. Wielu strażników stanęło przed sądem, a płk von Lindeiner został zdjęty ze stanowiska. Od więzienia uratowało go załamanie nerwowe i pobyt w szpitalu.

Można postawić pytanie: jeśli oflagi były takimi strefami bezpieczeństwa, dlaczego jeńcy decydowali się na ucieczkę? Odpowiedź jest prosta: ludzkie warunki, a nawet pewien komfort, zważywszy na sytuację wojny totalnej, nie wszystkim mogły zrekompensować brak wolności. Był jeszcze jeden powód, o którym często się zapomina – jeńcy w niewoli nie przestawali być żołnierzami i nadal obowiązywało ich podejmowanie walki z nieprzyjacielem.

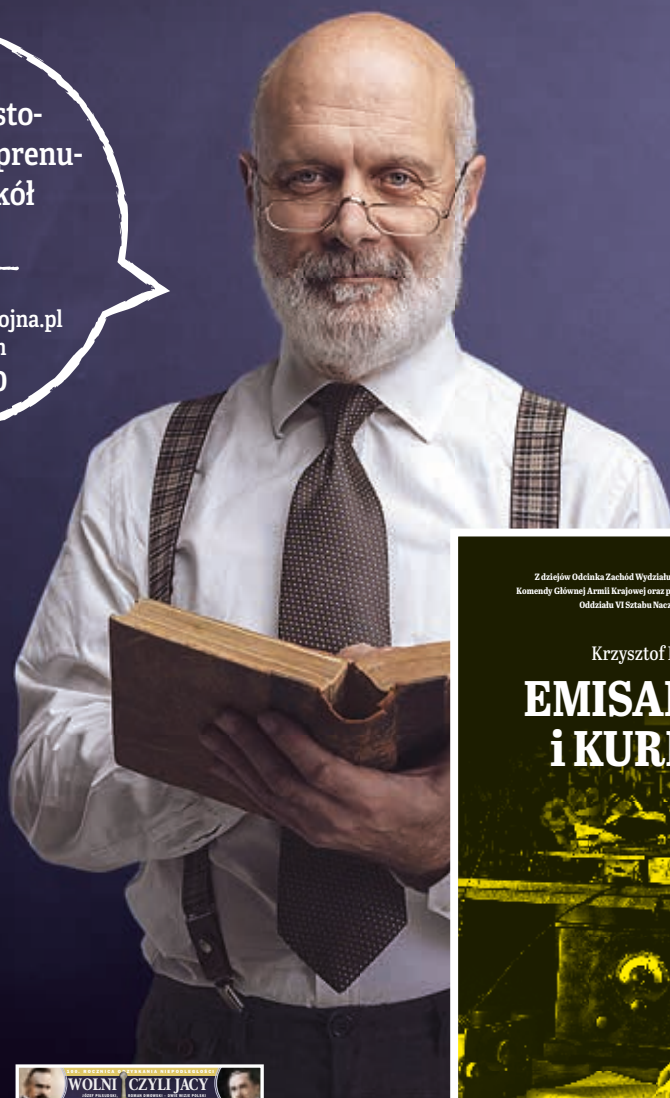
Jak zwraca uwagę Marek Łazarz, „wielka ucieczka była właśnie tego typu akcją. Jej organizatorzy zdawali sobie sprawę, że większość z nich zostanie schwytana, ale jednocześnie liczyli, że ucieczka zaabsorbuje spore siły Niemców. Spełnili oni do końca swój żołnierski obowiązek”.

{ HISTORIA }
POLSKA
ZBROJNA

Prenumerata dla szkół

Znakomity
kwartalnik histo-
ryczny w ofercie prenu-
meraty dla szkół
i instytucji

Zamów na
www.sklep.polska-zbrojna.pl
lub pod numerem
+261 846 400



+



gratis +



Dodatkowo dla pierwszych
50 prenumeratorów książka
Krzysztofa Dąbkiewicza
„Emisariusze i Kurierzy”
o wartości 34,99 zł.

= 96 zł

W cenie rocznej prenumeraty (96 zł) otrzymasz co kwartał 4 wydania (w cenie trzech) kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”. Prześlemy je bezpłatnie na wskazany w zamówieniu adres. Dodatkowo każdy kto skorzysta z niniejszej oferty otrzyma bezpłatnie książkę „Emisariusze i Kurierzy”. Oferta ważna do wyczerpania zapasów. Prenumeratę można zamówić na www.sklep.polska-zbrojna.pl.

STEINBERG

do służby stałej
w Wojsku Polskim zo-
stał powołany w 1928
roku, a w 1933 awan-
sował na stopień
majora.



MUZEUM KATYŃSKIE

RABIN Z KATYNIA

Jako ochotnik walczył w wojnie polsko-ukraińskiej. Jako żołnierz Wojska Polskiego podzielił los tysięcy polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. Oficer polski narodowości żydowskiej, rabin Baruch Steinberg.

ROBERT SENDEK

Z okazji setnej rocznicy niepodległości prezydent Andrzej Duda nadał 11 listopada 2018 roku Order Orla Białego 25 osobom, w wyjątkowy sposób zasłużonym dla Polski w ciągu minionego stulecia. Wśród wyróżnionych znaleźli się uczeni, politycy, sportowcy, dyplomaci i duchowni, m.in. Maria Skłodowska-Curie, Stefan Żeromski, Roman Dmowski, Kornel Makuszyński, gen. bryg. Stanisław Sosabowski czy Karol Szymanowski. W tym szacownym gronie był także ppłk Baruch Steinberg. Prezydent Duda powiedział o nim: „naczelnym rabin Wojska Polskiego, zamordowany przez NKWD w Katyniu. Wybitna postać wśród społeczności polskich Żydów, wielki polski patriota, żołnierz Wojska Polskiego”. O ile zasługi Żeromskiego czy Skłodowskiej-Curie są znane dość powszechnie, o tyle postać Barucha Steinberga pozostaje w cieniu. Kim zatem był ten dzielny człowiek?

FASCYNACJA MUNDUREM

Baruch Steinberg, rocznik 1897, urodził się w Przemyślanach, niewielkim miasteczku położonym na południowy wschód od Lwowa. Wywodził się z galicyjskiej rodziny rabi-

nackiej o długich i bogatych tradycjach. Rabinami byli ojciec i dziadek Barucha, później on sam oraz jego bracia – Icchak, Mojżesz i Meir. Jedynie najmłodszy brat, Wolf, zerwał z rodzinną tradycją i został lekarzem. Steinbergowie wychowywali dzieci w polskim duchu patriotycznym, a dwu z pięciu Steinbergów związało później swe losy z Wojskiem Polskim.

W napisanym przez siebie krótkim życiorysie późniejszy naczelny rabin Wojska Polskiego zaznaczył: „Odkąd pamiętam, ojciec i dziadek swoim postępowaniem pokazywali nam, jak być autorytetem dla innych. Razem z nimi studiowaliśmy Torę i zastanawialiśmy się nad jej mądrością. Uczyliśmy się, jak się modlić, jak rozmawiać z ludźmi, jakich rad im udzielać. Moim braciom to wystarczało, studiowanie Świętych Ksiąg było dla nich najważniejsze. Dla mnie także było bardzo ważne, ale interesował mnie również świat poza naszą społecznością. Szczególnie lubiłem patrzeć na maszerujących żołnierzy. Chciałem nosić taki mundur jak oni”.

Ta fascynacja mundurem szybko przyniosła owoce. Gdy w 1918 roku rozpoczęła się wojna polsko-ukraińska, Baruch ochotniczo wstąpił do kompanii strzeleckiej tworzonej przez Polską Organizację Wojskową w ojczystych Przemyślanach. ➔



Zjazd Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski w Warszawie w czerwcu 1933 roku. Podczas apelu poległych, przed Wielką Synagogą przy placu Tłomackie 7 przemawia rabin Baruch Steinberg.

NACZELNYM RABINEM WP ZOSTAŁ W 1936 ROKU.

Bardzo pochlebnie wyrażał się o nim Antoni Herbert, miejscowy komendant POW-u. Według niego Steinberg był w szeregach kompanii bardzo aktywny, angażował się w pracę wywiadowczą, wykonywał m.in. szkice ukraińskich rowów strzeleckich. Brał także udział w bezpośrednich walkach pod Przemyślanami i w okolicach miasta Brody. W opinii służbowej Herbert napisał o nim: „jako rabin miejscowy, w kapocie, jarmulce z brodą, pejsami walczył z karabinem w ręku przeciwko Ukraińcom do końca maja 1919 roku”.

MAJOR WOJSKA POLSKIEGO

Gdy wojna się zakończyła, Steinberg objął funkcję rabina w Dunajowie. Podjął także studia orientalistyczne na lwowskim Uniwersytecie Jana Kazimierza. Wraz z grupą żydowskich kolegów założył na uczelni organizację Młodzież Związku Izraela (Cerei Aguda Israel) i objął funkcję jej prezesa. „Dążyliśmy do tego, by młodzież ściśle przestrzegała zaleceń judaizmu, ale z drugiej strony zależało nam na włączaniu się w to, co dzieje się w Polsce, w tworzenie naszego kraju”, pisał.

Poczucie odpowiedzialności za losy wspólnoty skłoniło go do ubiegania się o posadę duszpasterza w Wojsku Polskim. To o tyle ważne, że w armii II Rzeczypospolitej wyznawcy judaizmu stanowili około 4–6% wszystkich żołnierzy. Byli drugą największą (po prawosławnych) grupą religijną wśród wyznań niekatolickich. Tymczasem wśród duchownych żydowskich

DZIĘKI JEGO INICJATYWIE W WARSZAWIE POWSTAŁA SYNAGOGA WOJSKOWA

ochotników do pracy w wojsku nie było wielu, a przewidziane dla duszpasterzy żydowskich etaty pozostawały nieobsadzone przez długie lata. Początkowo pełnił rolę rabina rezerwy. Do służby stałej w Wojsku Polskim Steinberg został powołany w 1928 roku. Objął wówczas funkcję rabina w Okręgu Korpusu nr III w Grodnie. Do pracy przystąpił ambitnie i z energią. Dbał o potrzeby duchowe powierzonych jego opiece żołnierzy, prowadził także pogadanki i wykłady, odwołując się często do historii Żydów w Polsce. Podejmował inicjatywy mające doprowadzić do przełamania dystansu między oficerami i podoficerami narodowości polskiej i żydowskiej, ponieważ uznał, że wszystkich łączy troska o wspólne państwo. Z myślą o budowaniu mostów między dwiema kulturami organizował np. otwarte obchody świąt żydowskich, na które zapraszał przedstawicieli władz wojskowych. Do takich uroczystości doszło m.in. w 1931 roku w Wilnie, gdzie z okazji święta Paschy

DUSZPASTERZ Z INICJATYWĄ

WEDŁUG OPINII SŁUŻBOWYCH **BARUCH STEINBERG** BYŁ CZŁOWIEKIEM AKTYWNYM, CAŁKOWICIE ZAANGAŻOWANYM W PRACĘ DUSZPASTERSKĄ, A JEDNOCZEŚNIE SZCZERYM POLSKIM PATRIOTĄ.

Jako szef duszpasterstwa mołdezeskiego wykazał wysokie zalety, doskonale przygotowanie pod względem opieki moralnej nad szeregowymi tego wyznania, wykazuje ponadto wybitną lojalność państwową. Bardzo ruchliwy i z inicjatywą. Poza swoimi obowiązkami urzędowymi bardzo czynny w gminie żydowskiej, pracując tam z dużym rezultatem w duchu wybitnie państwowym, paraliżując dawne wpływy rosyjskie” (gen. Aleksander Litwinowicz, 1929 rok).

„Energiczny, ambitny, sumienny. Podkreśla stale swą lojalność wobec państwa

i rządu” (gen. Czesław Jarnuszkiewicz, 1933 rok).

„Starszy rabin Steinberg w czasie pełnienia służby w Wojsku Polskim zarówno jako rabin Okręgu Korpusu, jak i na obecnym stanowisku, pełniąc obowiązki Naczelnego Rabina uzyskał opinię doskonałego duszpasterza i wychowawcy żołnierzy. Pracując z dużą energią i poświęceniem, położył znaczne zasługi na polu organizacji duszpasterstwa swego wyznania, wprowadzając do współpracy jednostki najbardziej wartościowe i porządne z punktu wi-

dzenia interesów państwowych. Wybitnie lojalny przy wykonywaniu swych obowiązków, zwracając przede wszystkim uwagę na dobro i potrzeby państwa. W dotychczasowej pracy wyróżniał się jako gorliwy zwolennik urabiania społeczeństwa żydowskiego w duchu państwowym i polskim. Jako Naczelny Rabin Wojska Polskiego sprawuje się doskonale, robi robotę polityczną i w ogóle przygotowuje grunt w zrozumieniu Polski w środowisku, w którym pracuje” (opinia przedstawiona we wniosku o nadanie Krzyża Niepodległości). ■

na wspólnych obchodach pojawili się przedstawiciele miejscowej kadry oficerskiej, a także władzy cywilnej.

Z KOZIĘLSKA DO ŁASKU KATYŃSKIEGO

Rabin Steinberg był lubiany i szanowany zarówno przez podwładnych, jak i zwierzchników. Jego kontakty z szeregowymi żołnierzami nie ograniczały się jedynie do spotkań w garnizonach, rabin chętnie organizował także modlitwy polowe, np. podczas ćwiczeń na poligonach. Z relacji wynika, że taka postawa wzbudzała u żołnierzy narodowości żydowskiej podziw i poczucie dumy. Wiadomo również, że dobrze układały się jego stosunki ze zwierzchnikami. W opiniach służbowych podkreślano jego aktywność, umiejętności organizacyjne, zdolności przywódcze, a także wyróżniającą się postawę patriotyczną.

Gdy w 1933 roku dotychczasowy naczelny rabin WP Chaim Fränkel przeszedł ze względu na zaawansowany wiek w stan spoczynku, jego funkcję jako p.o. przejął Baruch Steinberg. Objął etat rabina Okręgu Wojskowego I w Warszawie, przydzielono mu też obowiązki rabina III Okręgu Korpusu w Grodnie i V Okręgu Korpusu w Krakowie. Jednocześnie awansowano go do rangi „starszego rabina drugiej klasy”, co było równorzędne z awansem do stopnia majora. Naczelnym rabinem Wojska Polskiego został w 1936 roku. Dzięki jego inicjatywie dwa lata później w Warszawie przy ul. Jagiellońskiej powstała synagoga wojskowa.

Gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, mjr Baruch Steinberg – jako rabin V Okręgu Korpusu – był szefem Duszpasterstwa Wyznań Niekatolickich dla armii „Kraków”. Wraz z innymi żołnierzami znalazł się na wschodnich terenach Rzeczypospolitej. 20 września z grupą wojskowych dostał się do sowieckiej niewoli. Był przetrzymywany w obozie w Starobielsku, skąd w grudniu 1939 roku został wywieziony wraz z innymi duchownymi i kapelanami do więzienia w Moskwie. Jak świadczą wspomnienia ocalałego księdza Franciszka Tyczkowskiego, duchownych przesłuchiowano tam do marca 1940 roku, po czym skierowano ich do obozu w Kozielsku. Tam Steinberg spędził ostatnie dni swojego życia. Przyjmuje się, że został zamordowany 12 kwietnia 1940 roku.

Baruch Steinberg został odznaczony Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918–1921, Medalem Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości, Krzyżem Niepodległości, Srebrnym Krzyżem Zasługi i Medalem za Długoletnią Służbę Wojskową. W październiku 2007 roku minister obrony narodowej awansował go pośmiertnie do stopnia podpułkownika.

Rodzony brat Barucha, Meir (Mejer, Meyer), w latach trzydziestych służył jako kapelan w Korpusie Ochrony Pogranicza „Czortków”. Był później szefem duszpasterstwa mołdezeskiego Armii Polskiej na Wschodzie, pełnił funkcję kapelana 5 Dywizji 2 Korpusu Polskiego. Wraz z armią Andersa wyszedł z ZSRS w 1942 roku. ■

KTO BY POMYŚLAŁ,
ŻE CHŁOPAK
Z WARSZAWSKIEJ
PRAGI BĘDZIE MIAŁ
TAK BARWNE,
WIELOWYMIAROWE
ŻYCIE

ARCH. MARIANA FUKSA

Fuks na wojnie

Z Marianem Fuksem o pracy w „Polsce Zbrojnej” i traumatycznych doświadczeniach z czasów II wojny światowej rozmawia Piotr Korczyński.

Przez wiele lat był pan związany z prasą wojskową, zajmował się także jej badaniem. Z „Polską Zbrojną” również?

Mój ojciec był zagorzałym piłsudczykiem. W naszym domu popiersie Marszałka stało na honorowym miejscu. Ojciec często kupował „Polskę Zbrojną”, w której kult Józefa Piłsudskiego był wyraźnie eksponowany. Według mnie przed wojną to pismo było jednym z najlepiej redagowanych dzienników w kraju. Dowodem na to jest m.in. to, że chętnie czytały je osoby z wojskiem niezwiązane. Mój sentyment do „Polski Zbrojnej” wynika również z tego, że kiedy dziennik ten został reaktywowany w styczniu 1945 roku, publikowałem w nim swoje pierwsze recenzje i artykuły o muzyce. Byłem wtedy oficerem 1 Warszawskiej Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Kiedy zaś po wojnie pisałem pracę magisterską o prasie wojskowej, poznałem założyciela „Polski Zbrojnej” – płk. Remigiusza Kwiatkowskiego, wtedy już starszego, schorowanego człowieka. Był postacią niezwykle barwną, a przy tym utalentowaną literacko. Ukończył studia historyczne i filologiczne w Warszawie, orientalistyczne w Moskwie i archeologiczne w Petersburgu. Jako działacz niepodległościowy poznał też dobrze carskie więzienia. Publicystyką prasową zajmował się jeszcze przed I wojną światową.

W pana życiu było wiele zaskakujących wydarzeń, które przypominają połączenie opowiadań Gogola i Czechowa z domieszką historii opisanych przez Solżenicyna. Pewne zdjęcie na przykład omal nie doprowadziło pana przed pluton egzekucyjny.

Zrobiono mi je na przepustce w czasie służby wojskowej w 1938 roku. Elegancka młoda kobieta, która przy mnie siedzi na ławce, to koleżanka siostry – Anna Moor. Kiedy 1 września 1939 roku niemiecka armia zaatakowała Polskę, miałem kartę mobilizacyjną do 1 Pułku Szwoleżerów. To była tzw. karta z niebieskim paskiem, zobowiązująca do stawienia się na wezwanie, ale ono niestety nigdy nie nadeszło. 6 września, po apelu radiowym płk. Romana Umiastowskiego nakazującym opuszczenie Warszawy m.in. rezerwistom Wojska Polskiego, wyruszyłem na wschód. Kiedy żegnałem rodziców i siostry, nie pomyślałem, że już nigdy ich nie zobaczę... Po wielu perypetiach dotarłem do Kowla, gdzie 17 września wkroczyła Armia Czerwona. Na przełomie 1939 i 1940 roku zesłano mnie na daleką północ, bo odmówiłem przyjęcia sowieckiego obywatelstwa. Tam w posiołku [osiedle zamieszkałe przez zesłańców] Nierczuga aresztowano mnie i pod konwojem odstawiono do aresztu NKWD w Krasnoborsku. Śledczy oświadczyli, że



Żołnierze 1 Brygady Pancernej w Aleksandrowie nieopodal Studzianek, lato 1944 roku. Pierwszy z lewej – por. Marian Fuks, wyżej kpt. Wiktor Dunajewski, siedzi kierowca Marian Czuszel, obok stoi Janek Latosiński.



jestem oskarżony o szpiegostwo, kontrrewolucyjną agitację i sabotaż. Groziło mi od ośmiu lat pozbawienia wolności do kary śmierci. To były poważne zarzuty, ale ich uzasadnienie może budzić dziś uśmiech, jak w Gogolowskiej farsie. Miałem rzekomo zataić, że byłem polskim oficerem. Świadczyć miały o tym donos oraz wspomniane zdjęcie, które znaleziono przy mnie w czasie rewizji w Nierczudze.

Przecież pan nie był oficerem...

Moje tłumaczenia, że jestem jedynie starszym strzelcem, co widać na zdjęciu, i kapralem rezerwy, nie przekonało enkawudzysty. Dla niego elegancki mundur, wysoka rogatywka, szabla u boku i buty z ostrogami, a ponadto towarzystwo eleganczkiej dziewczyny w futerku były dobitnymi dowodami na to, że ma przed sobą oficera. Zarzut kontrrewolucyjnej agitacji postawiono mi zaś za krytyczne wypowiedzi na temat Związku Sowieckiego. Według donosu jednego ze współwięźniów, z którym razem rąbałem las, miałem powiedzieć: „Hitler jest dobry, ale Stalin też nie jest zły”. Zarzucono mi na dodatek sabotaż. Kiedyś w czasie przerwy na wyrębie otrzymaliśmy czaj. Tę obrzydliwie zimną lurę wylałem za siebie. Nie zauważyłem, że stał tam przywiązany do drzewa koń naszego brygadzysty Francowa. Wprawdzie ani kropla herbaty go nie dosięgła, ale Francow wrzeszczał, że chciałem jego wierzchowca poparzyć wrzątkiem...

Choć zarzuty wywołują śmiech, mogło skończyć się plutonem egzekucyjnym...

I stanąłem przed plutonem egzekucyjnym. Śledztwo trwało dziesięć dni, w czasie których enkawudziści starali się zmusić mnie do podpisania protokołu śledztwa. Zapierałem się. Wreszcie dyżurny zaprowadził mnie nad pobliską rzekę. Po drodze namawiał mnie, abym podpisał protokół, bo szkoda mojego młodego życia. Na brzegu stała mała budka. Ustawił mnie pod oknem i oświadczył, że jeśli nie zgodzę się podpisać protokołu, ma rozkaz za godzinę mnie rozstrzelać. Wszedł do budki i w oknie ustawił w moją stronę przeładowany karabin. Po godzinie znowu zaczął namawiać do podpisania protokołu, pocieszając: „Kary śmierci ci nie dadzą, może jakieś osiem lat. Jesteś młody, przeżyjesz”. W końcu odprowadził mnie do aresztu. Po ostatniej próbie namówienia mnie na ustępstwo przesłuchujący lejtnant oświadczył, że tę sprawę przekazują do Moskwy. W ten sposób bez sądu zostałem zaocznie skazany przez moskiewskie „osoboje sowieszczanije” na trzy lata „insprawitielno-trudowych łagieriej” jako „socjalno-opasnyj element”. Wyrok rozpocząłem w „pieresylnym łagrze”, czyli obozie etapowym w Kotłasie, a następnie przewieziono mnie do łagru w Uchcie. Stałem się jednym z zeków – mieszkańców archipelagu Gułag. Kiedy odsiadywałem wyrok, moja rodzina ginęła w rozpętanym przez Niemców w Polsce Holokauście...

Pański wyrok zakończył się wraz z podpisaniem układu Sikorski-Majski w lipcu 1941 roku?

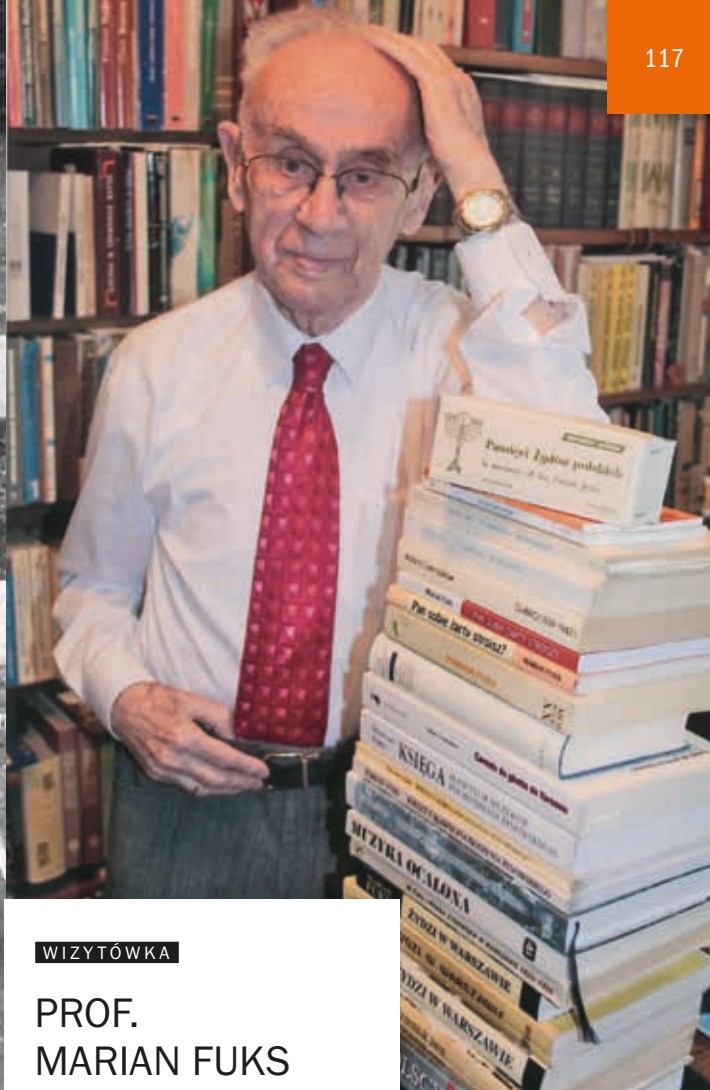
Tak. Wcześniej jednak zdarzył się jeszcze inny cud. Po kilku dniach wycieńczającej pracy stwierdziłem, że koniec ze mną.

Wtedy do obozu przybył nariadczyk [osoba, która zajmowała się organizowaniem brygad roboczych] z listą specjalistów z wyższym wykształceniem. Jakież było moje zdumienie, kiedy wśród geologów, inżynierów i profesorów wyczytano moje nazwisko z dopiskiem „ekonomista”. Oczywiście nie miałem wtedy żadnego wyższego wykształcenia, a w aktach było wpisane „liceum ekonomiczne”. W 1933 roku ukończyłem elitarną Szkołę Handlową Zgromadzenia Kupców i to mnie uratowało. Przydzielono mi pracę w biurze „techniczekowo snabrazenija”, czyli zaopatrzenia technicznego. Prowadziłem kartoteki części zamiennych i sprzętu dla licznych w Uchcie kopalni. Niemniej jednak i mnie dopadła słynna obozowa choroba – cynga, czyli szkorbut. Znajomy polski lekarz, więzień, dał mi nielegalnie, jak to się mówiło „pod strachem Boga”, kilka zastrzyków z witaminą C przeznaczonych tylko dla nadzorców łagru.

Na początku sierpnia 1941 roku któregoś dnia o poranku obudzono więźniów ze wszystkich baraków i nakazano zbiórkę z rzeczami w strefie utworzonej w nocy w samym środku obozu przez sprowadzoną w tym celu specjalną brygadę. Kiedy szeroki na kilkanaście metrów i otoczony drutem kolczastym teren zapełnił się tłumem więźniów, z głośników usłyszeliśmy informację o amnestii dla polskich obywateli. Odczytano też rozkaz: „Obywatele sowieccy mają udać się przez przejście z prawej strony do obozu i tam, zgodnie ze wskazaniem nariadczyków, udać się do baraków. Polscy obywatele pozostają w zonie, a każdy, którego obejmuje amnestia, będzie wyczytany z listy i uda się do lewej strony obozu”. Rozpoczęło się wyczytywanie nazwisk i sprawdzanie dokumentów. Polacy, również Żydzi polscy, przechodzili na lewą stronę obozu. Ja znalazłem się wśród szczęśliwców na liście. Każdy z nas dostał dokument uprawniający do podróży po Związku Sowieckim i parę rubli. Każdy też mógł sobie wybrać miejsce, do którego chciałby się udać i szukać tam pracy.

Jaki pan kierunek wybrał?

Z kilkoma kolegami zdecydowaliśmy się na Baskirię. Po wielu perypetiach wylądowałem w Inzerze, miejscowości leżącej u stóp Uralu. Miałem problem ze znalezieniem pracy, bo oprócz „wysokich ekonomicznych kwalifikacji” miałem zarpiąle oczy po cyndze. W końcu zostałem w Inzerze „szczotowodem”, czyli pomocnikiem księgowego. Największym szczęściem było jednak to, że zamieszkałem w domu dziadka Aloszy i babuszki Tani, którzy traktowali mnie jak syna. Szybko doszedłem do zdrowia, nie miałem jednak żadnych wiadomości od rodziny z kraju. Ból rozłąki z najbliższymi trochę łagodziła gazeta „Polska. Tygodnik Polaków w ZSRR”, wydawana przez polską ambasadę w Kujbyszewie. Wycinałem zdjęcia polskich miejscowości, zwłaszcza Warszawy, które wklejałem do zrobionego własnoręcznie albumu z polską flagą na okładce. Zresztą mam go do dziś. Z tej gazety dowiedziałem się też, że pod dowództwem gen. Władysława Andersa formuje się polska armia. Niezwłocznie napisałem list do ambasady z prośbą o przekazanie władzom wojskowym mojego



ARCH. MARIANA FUKSA (2)

WIZYTÓWKA

PROF.
MARIAN FUKS

Historyk, muzykolog, były dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego, pułkownik Wojska Polskiego. Jest autorem ponad tysiąca prac z dziedziny historii i kultury, publikowanych w kraju i za granicą.

Stanisław Kot”. Uzbrojony w takie pismo pojechałem do wojenkomatu. Dokument z nadrukiem „rządowy” zrobił takie wrażenie, że po kilku dniach wróciłem z powrotem do Inzeru, gdzie zdążyłem awansować na głównego księgowego.

bił takie wrażenie, że po kilku dniach wróciłem z powrotem do Inzeru, gdzie zdążyłem awansować na głównego księgowego.

Ta sprawa była prawdopodobnie jedną z ostatnich pozytywnie załatwionych przez ambasadora rządu polskiego w Związku Sowieckim. Kiedy udało się panu ponownie włożyć polski mundur?

Gdy zgłosiłem się do sztabu 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach nad Oką, otrzymałem skierowanie do leżącego niedaleko Biełoomutu, gdzie formowano 1 Brygadę Pancerną. Oświadczyłem, że jestem kawalerzystą i z bronią pancerną nie mam nic wspólnego. Półżartem odpowiedziano mi, że w takiej formacji potrzebni są również żołnierze innych specjalności. Później zauważono, że dobrze radzę sobie z językiem rosyjskim w mowie i piśmie. Niebagatelne było też moje „ekonomiczne” wykształcenie. Tak zostałem szefem kancelarii kwatermistrzostwa brygady.



Starszy strzelec konny Marian Fuks na przepustce z koleżanką siostry Anną Moor. Zdjęcie to posłużyło NKWD jako dowód „kontrewolucyjnej działalności” Mariana Fuka i było podstawą skazania na pobyt w łagrze.

zgłoszenia do służby, ale niestety, nie otrzymałem odpowiedzi. Za to 20 maja 1943 roku wręczono mi „powiestkę” – wezwanie do stawienia się w stolicy Baszkirii, Ufie, do wojenkomatu w celu odbycia służby w Armii Czerwonej! To był dla mnie szok. Jako obywatel polski nie chciałem o tym słyszeć...

Nie służył pan jednak w radzieckim mundurze. Jak udało się tego uniknąć?

Zdecydował o tym kolejny w moim życiu nieoczekiwany obrót spraw. W desperacji wysłałem telegram do ambasadora Stanisława Kota z prośbą o interwencję. Tym razem odpowiedź dostałem nadszpodziewanie szybko, bo 26 maja, kiedy czekałem już spakowany z tobołkiem na wyjazd do Ufy. Telegram miał nadruk „prawitelswiennaja” – czyli rządowa, co było kluczem do szczęśliwego zamknięcia tej sprawy. Treść telegramu brzmiała tak: „Powołajcie się na notę komisarza spraw zagranicznych nr...” – niestety już nie pamiętam jaki – „...o tym, że polscy obywatele nie są zobowiązani służyć w Armii Czerwonej i batalionach pracy. Podpisał: Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej

W szeregach 1 Brygady Pancерnej przeszedłem jej cały szlak bojowy. Brałem udział m.in. w walkach na przyczółku magnuszewskim i w słynnej bitwie pod Studziankami. Wtedy przeżyłem ciężki nalot lotniczy, ale najbliższej śmierci byłem chyba... 8 maja 1945 roku. W mojej ewidencji wojskowej mam zapisane: „Kontuzjowany w walkach o Gdynię i Gdańsk”.

Kiedy nocą Niemcy podpisali kapitulację, brygada stacjonowała we Wrzeszczu koło Gdańska. Na wieść o tym ranniem zapanowała wśród nas wielka euforia. Mój szef, kwatermistrz brygady ppłk Stefan Szczepański, wydał mi rozkaz, bym wziął ciężarówkę oraz dwóch żołnierzy i pojechał do stojącego niedaleko opuszczonego magazynu napojów po kilka skrzynek piwa. Tam na bramie ktoś kredą napisał „Minny karantin”, czyli kwarantanna na miny. Wydałem kierowcy polecenie, by zawrócił, ale obok nas przejechała rosyjska półciężarówka. Otworzyli bramę i przejechali bez przeszkód. Jeżeli tak, to i my jedziemy! A tu trach! Nasza ciężarówka najechała na minę. Wybuch rozwalili szoferkę. Jej fragmenty uderzyły mnie w kark. Straciłem przytomność. Kontuzja nie okazała się groźna, ale dość długo przyjmowałem środki przeciwbólowe, a ból w tyle głowy odzywał się przez wiele lat.

Kiedy dowiedział się pan o tragicznym losie swojej rodziny?

Szczegółów z ostatnich chwil moich bliskich nie poznałem nigdy. Kiedy w sierpniu 1944 roku nasza brygada znalazła się pod Warszawą, zaczęły do mnie docierać coraz dokładniejsze wiadomości o getcie. Z niecierpliwością wyczekiwałem zdobycia Pragi, bo przecież tam, na ulicy Targowej 63, spędziłem z matką, ojcem i dwiema siostrami ponad 20 lat. Kiedy tam dotarliśmy, od razu poszedłem do naszego domu, bo okazało się, że ocalał i został zamieniony na biuro Polskiego Radia. Od sąsiadki dowiedziałem się, że moja rodzina została przekwaterowana do getta. Prawdopodobnie przeniosła się do brata mojej mamy, Samuela Wrońskiego, przed wojną zamożnego właściciela garbarni. Usłyszałem też, że wcześniej młodsza siostra Bela i jej narzeczony, wykształcony w Wiedniu specjalista od poligrafii, pianista, jazzman, dokądś wyjechali, a starsza Regina z narzeczonym podobno biorą udział w powstaniu warszawskim.

Kiedy krążyłem po ulicy Targowej, ktoś nagle zawołał mnie po imieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem kolegę szkolnego – Szlamę Bursztyna w... kolejarskiej czapce. Padliśmy sobie w objęcia. „Szlamek, żyjesz!”, krzyknąłem, a on mi odpowiedział: „Nie jestem żaden Szlama Bursztyn, tylko Stanisław Bieniasz, z zawodu konduktor... Oto moja kenkarta”. Okazało się, że ożenił się z Polką, a jego szwagier urządził go na stanowisku konduktora wąskotorówki otwockiej. Od

MAM WIELE MIŁYCH WSPOMNIENIĘ ZWIĄZANYCH Z WOJSKIEM.

TO W JEGO SZEREGACH ZACZĘŁA SIĘ MOJA KARIERA DZIENNIKARSKA I NAUKOWA. MOGŁEM TEŻ, OPRÓCZ PODEJMOWANIA TEMATÓW WOJSKOWYCH, PISAĆ O MOJEJ WIELKIEJ PASJI: MUZYCE

Szlamka dowiedziałem się wielu strasznych szczegółów dotyczących warszawskich Żydów...

Henryk Prajs bardzo dobrze wspominał służbę w 3 Pułku Szwoleżerów. Podkreślał, że kadra pułku szczególnie dbała o to, by nie było żadnych przejawów dyskryminacji szwoleżerów nie tylko żydowskiego czy ukraińskiego pochodzenia, ale też niemieckiego. Jakie są pana doświadczenia z 9 Pułku Strzelców Konnych?

Podobne do tych Henryka Prajsa, którego zresztą znałem. Mimo obaw mojej mamy, która namawiała ojca, by dzięki swoim znajomościom wśród kadry oficerskiej wyreklamował mnie z wojska, okazałem się zdolnym kawalerzystą. Nie tylko polubiłem jazdę konną, szermierkę

szałą i operowanie lancą, ale też stałem się wręcz ulubieńcem pułkowego postrachu rekrutów – wachmistrza Dybciaka.

Opowiem anegdotę związaną z wachmistrem Dybciakiem. W magazynie mundurowym szwadronu, w którym dokonywano także drobnych napraw, pracował strzelec konny Mojżesz Menachowski rodem z Białegostoku, z zawodu krawiec. Pewnego dnia wdał się w awanturę ze strzelcem konnym Kunawiczem, któremu nie spodobały się przydzielone bryczesy. W czasie kłótni wrzasnął do Menachowskiego: „Ty parszywy Żydzie!”. Usłyszał to przechodzący obok Dybciak. Zameldował o tym dowódcy szwadronu, rotmistrzowi Robakowi. Zrobiła się z tego afera. Zebrano cały szwadron na odprawę i do dziś pamiętam słowa rotmistrza Robaka: „To wy macie być obrońcami ojczyzny? Tu nie ma podziału na Żydów, Białorusinów, Ukraińców i Polaków! Tu są polscy żołnierze. Nie będziemy tolerować takich wyskoków, jaki miał miejsce. Zapamiętajcie to sobie!”. Kunawicz został skazany na siedem dni służby stajennego poza kolejnością.

Co pan jeszcze zawdzięcza pracy w „Polsce Zbrojnej”?

Podobnie jak nieodżałowanej pamięci Henryk Prajs, mam wiele miłych wspomnień związanych z wojskiem. To w jego szeregach zaczęła się moja kariera dziennikarska i naukowa. Mogłem też, co miało dla mnie niebagatelne znaczenie, oprócz podejmowania w „Polsce Zbrojnej” czy „Przeglądzie Kwatermistrzowskim” tematów stricte wojskowych, pisać o mojej wielkiej pasji: muzyce. Zresztą wiele ważnych sfer mojego długiego życia miało swój początek w „Polsce Zbrojnej”, choćby późniejsza praca magisterska i doktorska z historii prasy wojskowej. Kto by kiedyś pomyślał o tym, że chłopak z warszawskiej Pragi, który w czasie zabaw z rówieśnikami w policjantów i złodziei zawsze odgrywał rolę złodzieja, będzie miał tak barwne, wielowymiarowe życie, że oprócz służby wojskowej czy propagowania muzyki będzie w przyszłości dokumentować tak bogate i tragiczne zarazem dzieje Żydów polskich. ■

Podhalańczycy z AK

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Podhalańczycy, po zejściu z gór, pozują na rynku w Łącku koło Nowego Sącza.



ARCH. JÓZEFA BŁASZCZYKA

Dla partyzantów przebywających przez większość czasu w górach, w prymitywnych ziemiankach lub szałasach, zmuszanych do ciągłego zmieniania obozowisk, odwiedziny w domu Błaszczków były wielkim świętem.

Na odwrocie tego niewielkiego zdjęcia ktoś napisał ołówkiem: „Grupa por. Pazura (nie w całości)”. To jest kluczowa wskazówka, bo dzięki niej wiadomo, że ci żołnierze w zimowych, zdobycznych mundurach należą do kompanii por. Adama Winnickiego „Pazura”, wchodzącej w skład 1 Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej. Także czas i miejsce wykonania zdjęcia są znane. To dzień ujawnienia oddziału po rozwiązaniu się AK 19 stycznia 1945 roku. Podhalańczycy pozują na rynku w Łącku koło Nowego Sącza. To wszystko można ustalić dzięki właścicielowi tego zdjęcia, a zarazem ostatniemu żyjącemu żołnierzowi

tej grupy – Józefowi Błaszczkowi z Olszany koło Łącka.

W czasie wojny, jako szesnastoletni chłopak, był łącznikiem oddziału „Pazura” z okolicznymi miejscowościami. Partyzanci często zachodzili do gospodarstwa jego ojca, również Józefa i również żołnierza AK. Mogli tu zjeść ciepły posiłek i wykąpać się w gorącej wodzie. Jak wspomina Józef Błaszczyk, obok ich domu stała duża metalowa wanna, do której jego siostry wlewały parującą wodę, by około dziesięciu chłopów mogło się w niej po kolei wykąpać. Tymczasem ich bielizna i ubrania gotowały się w parniku, na co dzień używanym do przyrządzania ziemniaków dla świń. Tak odwszawiało się

mundury podhalańczyków w konspiracji. Dla partyzantów przebywających przez większość czasu w górach – w prymitywnych ziemiankach lub szałasach – zmuszanych przez tropiących ich Niemców do ciągłego zmieniania obozowisk, odwiedziny w domu Błaszczków były wielkim świętem. Bez życzliwości okolicznych mieszkańców podhalańczycy z AK nie mogliby się tak długo utrzymać w górach. Nie tylko zresztą w czasie wojny, lecz także po jej zakończeniu, kiedy część ludzi „Pazura” stanęła do nierównej walki z uzurpującymi sobie władzę komunistami i wspomagającymi ich Sowietami. Wśród nich znalazł się i właściciel tego zdjęcia – Józef Błaszczyk. PK ■

SZORSTKI UŚCISK WYZWOLICIELI

W 1945 roku norweski rząd na uchodźstwie podjął działania, których celem było zademonstrowanie suwerenności północno-wschodniej części kraju wojskom sowieckim wkraczającym tam w ślad za wycofującymi się Niemcami.

KRZYSZTOF KUBIAK

NIEMIECKA
PRZYBRZEŻNA
BATERIA PRZEJĘTA
PRZEZ SIŁY SOWIECKIE
PO LĄDOWANIU POD
KIRKENES. PÓŁNOCNA
NORWEGIA,
1944 ROK

Jedną z ważnych konsekwencji zawarcia przez Finlandię 4 września 1944 roku rozejmu ze Związkiem Sowieckim było gwałtowne pogorszenie się sytuacji niemieckiej 20 Armii Górskiej, operującej w północnej Finlandii i Norwegii. Ta licząca około 210 tys. żołnierzy formacja oddzielona była od głównego ugrupowania w Europie masywem wschodniej Skandynawii. Niemiecki dowódca gen. płk Lothar Rendulic

NORWEGOWIE ZDAWALI SOBIE SPRAWĘ Z EKSPANSYWNOSCI MOSKWY, CO MOGŁO GROZIĆ SOWIETYZACJĄ FINNMARKU

podjął wówczas decyzję o wycofaniu się na zachód i oparciu nowej linii obrony na północnej części doliny rzeki Torne oraz miejscowościach Ivalo i Petsamo (operacja „Birke”). Następnie zamierzał przenieść się jeszcze bardziej na południe, by główną rubież stworzyć nad położonym w rejonie norweskiego Tromsø fiordzie Lyngen (operacja „Nordlicht”). Udało się to zrobić, choć podczas tej operacji Sowieci przeszli do działań za-

czepnych wobec cofającego się przeciwnika. 18 października 1944 roku wojska sowieckie przekroczyły lądową granicę Norwegii. Tydzień później, 25 października weszły do opuszczonego przez Niemców Kirkenes, a 13 listopada dotarły do miejscowości Tana, gdzie przerwano dalsze działania w kierunku południowym.

Wycofujący się Niemcy metodycznie niszczyli fińską Laponię, a także znajdujący się dalej na zachód norweski region Finnmark. Z okupantami współpracowała kolaboracyjna administracja norweska, więc premier marionetkowego rządu Vidkun Quisling nakazał ewakuację ludności cywilnej z północnych regionów. Do marszu na południe zmuszono 50 tys. ludzi, ale około 25 tys. zdecydowało się pozostać na miejscu, ukrywając się w jaskiniach, grotach i tunelach. Około 3 tys. mieszkańców Kirkenes schroniło się w kopalni rudy żelaza w Bjørnevatt. Gdy przybyli Sowieci, witali ich jak wybawicieli.

OBAWY PRZED SOWIETYZACJĄ

Norweski rząd na uchodźstwie miał do sojusznika ze wschodu ambiwalentny stosunek. W pełni akceptował konieczność wkroczenia Sowieców na norweskie terytorium. W marcu 1944 roku podpisano odpowiednie porozumienie. Zakładano, że wpłynie to pozytywnie na los cywilów. Niemniej jednak zdawano sobie sprawę z ekspansywności Moskwy, więc królewski gabinet obawiał się sowietyzacji Finnmarku, co mogło utrudnić jego reintegrację z resztą państwa, a nawet stanowić pierwszy krok do późniejszej aneksji.

Rząd zdawał sobie jednak sprawę, że na północy od 1941 roku aktywnie działało sowieckie rozpoznanie werbujące do współpracy miejscowych. Znacznym ułatwieniem dla Sowieców był fakt, że dysponowali oni całkiem liczną kadrą rekrutującą się z tzw. Norwegów kolskich. Byli to migranci z południa, którzy począwszy od końca lat sześćdziesiątych XIX wieku osiedlali się na Półwyspie Rybackim, zachęcani wyjątkowo dogodnymi warunkami stwarzanymi im przez carskie władze (ulgi podatkowe, bezcłowy handel z zagranicą, zwolnienie ze służby wojskowej). Część z nich wróciła do Norwegii podczas rosyjskiej rewolucji i wojny domowej, ale większość pozostała i wchłonął ich sowiecki system. W 1940 roku dołączyło do nich kilkuset mieszkańców Finnmarku uciekających przed Niemcami.

Grupy rozpoznawczo-dywersyjne, które Norwegowie nazywają – nie do końca adekwatnie do znaczenia tego terminu – partyzantami, organizował specnaz NKWD i Floty Północnej. Do sowieckich zwiadowców garnęli się aktywni młodzi



ludzie. Po części wynikało to z braku alternatywy, gdyż rząd królewski, w obawie przed represjami wymierzonymi w ludność cywilną, nie popierał inicjatywy podjęcia walki zbrojnej.

KUMULACJA SIŁ

W takiej sytuacji jesienią 1944 roku, wobec bliskiej perspektywy wkroczenia wojsk sowieckich do Norwegii, premier rządu na wygnaniu Johan Nygaardsvold oraz król Haakon VII zaczęli wywierać presję na Brytyjczyków i Amerykanów, by udzielili pomocy w przetrzuceniu norweskich oddziałów na północ. Ich obecność miała stanowić przede wszystkim manifestację suwerenności Norwegii. Problemem było jednak to, że siły Wolnej Norwegii, mające rozwinięty komponent lotniczy (pięć dywizjonów) oraz marynarkę wojenną (około 60 jednostek) i handlową (ponad 800 statków, w tym 200 zbiornikowców), dysponowały ledwie 2 tys. żołnierzy w pododdziałach lądowych. Część wchodziła przy tym w skład sił specjalnych podporządkowanych Brytyjczykom (samodzielna kompania norweska zwana Lingekompaniet, pluton w 10 Commando) oraz obsadzała placówki na wyspie Jan Mayen, na Svalbardzie, a nawet w antarktycznej Południowej Georgii.

Na północ można było wysłać więc tylko 2 kompanie górską (Bergkompani 2), liczącą 231 żołnierzy, oraz 12-osobowy kontyngent lotników i 11 marynarzy. Grupą wydzieloną dowodził płk Arne Dagfin Dahl. Norwegowie 30 października zaokrętowali się w Rosyth na brytyjski krążownik „Berwick”, będący częścią eskorty konwoju idącego do Murmańska. 7 listopada znaleźli się na brzegu, a następnego dnia sowieckim frachtowcem „Vjatka” rozpoczęli podróż do Liinahamari. Tam zeszli na ląd i dalej już na kołach przenieśli się do Kirkenes. Miasto było całkowicie zniszczone, ponad porożeliskami wznosiła się tylko wypalona wieża kościoła. Cywilnych mieszkańców zaopatrywała sowiecka intendencja, ograniczając o jedną trzecią racje wydawane własnym żołnierzom. Sytuację częściowo rozwiązało dopiero przybycie dwóch norweskich korwet oraz trzech trałowców z 2 tys. t najpotrzebniejszego zaopatrzenia. Dalsze dostawy również odbywały się morzem, mimo zagrożenia ze strony U-Bootów.

Aby zwiększyć liczebność szeregów, płk Dahl powołał pod broń miejscowych ochotników, z których organizowano kompanie strażnicze. W ten sposób rozbudowano kontyngent do około 1200 żołnierzy, ale oznaczało to, że w wojsku są już w zasadzie wszyscy zdolni do służby. Ich głównym zadaniem było obsadzenie, w wypadku spodziewanej kapitulacji Niemców, terenów leżących na połu-

Płk Dahl powołał pod broń miejscowych ochotników, z których organizowano kompanie strażnicze. W ten sposób rozbudowano kontyngent do około 1200 żołnierzy.



RIKSARKIVET (NATIONAL ARCHIVES OF NORWAY) (4)



Płk Arne Dagfin Dahl, dowódca grupy, na sowieckim frachtowcu „Vjatka” w drodze do Liinahamari

dnie od sowieckich linii, bez konieczności angażowania niepewnego alianta. Początkowo 2 kompania górską prowadziła rozpoznanie w ugrupowaniu sowieckim, a po ustabilizowaniu frontu Norwegowie penetrowali ziemię niczyją.

Na przełomie roku 1944 i 1945 jedyną rezerwą, ale za to wcale pokaźną, którą dysponował rząd norweski, były Oddziały Policyjne (Riks, Rikspolitiet) tworzone w Szwecji. Od 1943 roku, kiedy całe przedsięwzięcie się rozpoczęło, rozrosły się one z 50 ochotników do około 14,7 tys. wyszkolonych i uzbrojonych na wzór lekkiej piechoty funkcjonariuszy (de facto żołnierzy). Podstawowym zadaniem formacji było wejście, z chwilą kapitulacji Niemców, do Norwegii i utrzymanie porządku publicznego.



Jeden z sowieckich plakatów z obrazem Stalina, które rozwieszano w Finnmarku w trakcie działań wojsk rosyjskich.



**OKOŁO 3 TYS.
MIESZKAŃCÓW
KIRKENES SCHRO-
NIŁO SIĘ W KOPAL-
NI RUDY ŻELAZA
W BJØRNEVATN.
GDY PRZYBYLI SO-
WIECI, WITANO ICH
JAK WYBAWICIELI.**



go. Entuzjazm władz w Sztokholmie dla Rikspolitiet rósł wraz z kolejnymi frontowymi klęskami Wehrmachtu. Istniał wszakże jeden fundamentalny problem – wszystkie drogi lądowe między Szwecją a norweską północą były pod kontrolą Niemców lub Finów. Z tymi drugimi, jako niedawnymi sojusznikami Rzeszy, Norwegowie nie chcieli zaś negocjować. Pozostawała więc tylko droga lotnicza. Na udostępnienie samolotów zgodzili się Amerykanie, a Szwedzi – nie mając wszakże pola manewru – zaakceptowali taką opcję, choć zażądali, by samoloty transportowe miały cywilne malowanie.

Ze strony amerykańskiej most lotniczy organizował płk Bernt Balchen, naturalizowany Norweg. W czasie wojny zdążył już się wslawić skutecznym atakiem z powietrza na niemiecką stację meteorologiczną we wschodniej Grenlandii. W Szwecji działał od 1944 roku, gdzie organizował m.in. przerzut do An-

glii alianckich pilotów, którzy z różnych przyczyn zmuszeni byli lądować w królestwie trzech koron. We współpracy z Rosjanami i za zgodą Finów (poinformowano ich o lotach, by nie doszło do przypadkowych zestrzeleń) dziesięć samolotów C-47 operujących ze szwedzkiej bazy pod botnickim miastem portowym Luleå przewiozło na norweską północ 1550 osób (z tego około 1450 do maja) i 1225 t ładunków. Most lotniczy otwarto 12 stycznia 1945 roku, a całe przedsięwzięcie wygaszono w połowie sierpnia. W marcu zgromadzenie norweskie liczyło już około 3 tys. żołnierzy.

WYCOFANIE SOWIETÓW

Obecność norweskich żołnierzy w Finnmarku miała istotne znaczenie polityczne, ale rangę o wiele większą należy przypisać formalnemu podporządkowaniu rozmieszczonych tam oddziałów gen. Dwightowi D. Eisenhowerowi, szefowi Naczelnego Dowództwa Alianckich Sił Ekspedycyjnych. Było to potwierdzenie amerykańsko-brytyjskiego wsparcia dla norweskiej integralności terytorialnej.

Dziś trudno ocenić, czy Sowietci w istocie mieli ekspansjonistyczne zamiary wobec północnej Norwegii. Sposób sprawowania władzy na Kremlu i jednoosobowe kształtowanie polityki przez Stalina czyni rozstrzygnięcie powyższej kwestii niesłychanie trudnym, nawet w idealnej sytuacji pełnego dostępu do archiwaliów z tamtego okresu. Niewykluczone, że nawet w wypadku braku agresywnych planów pojawiłyby się one niejako samoczynnie, w następstwie zadziałania logiki imperium, w warunkach okazania przez Norwegów niezdolności do przywrócenia administracji w Finnmarku.

W tej rozgrywce Norwegii niewątpliwie sprzyjało peryferyjne położenie prowincji oraz to, że Sowietci zaspokoiili tam swój terytorialny głód kosztem Finlandii – zajęli Petsamo z obfitymi złożami niklu i jednocześnie odcięli sąsiada od dostępu do Morza Barentsa, a tym samym Atlantyku. Z perspektywy Kremla nie było więc powodu, by doprowadzić do konfliktu z zachodnimi aliantami w kwestii o niewielkim w istocie znaczeniu. Moskwa podjęła zatem decyzję o wycofaniu się z północnej Norwegii. Operację tę zakończono 25 września 1945 roku.

W pamięci miejscowej ludności Sowietci nie zapisali się źle. Ówczesny porucznik norweskiej armii, a przyszły słynny podróżnik i odkrywca Thor Heyerdahl zanotował: „mieszkańcom Sør-Veranger [północny powiat Finnmarku przylegający do granicy z Rosją – K.K.] podobało się zwłaszcza, że Rosjanie nie wtrącali się w ich sprawy. Pozwolili Norwegom zamieszkać w nielicznych ocalałych domach, a sami spali pod gołym niebem, na śniegu”. To zapewne odmienne – w porównaniu z mieszkańcami Europy Środkowej – doświadczenie powoduje, że w Kirkenes nadal stoi pomnik sowieckiego żołnierza, pod którym często pojawiają się świeże kwiaty. ■

Kwietniowy klincz

W przemówieniu z okazji wodowania 1 kwietnia 1939 roku kolejnego kolosa Kriegsmarine, pancernika „Tirpitz”, Adolf Hitler wypowiedział znamienne słowa: „Kto nie ma siły, traci prawo do życia”. Niestety, ten dzień nie miał nic z atmosfery przypisanego do niego prima aprilis.

Pod tą datą „Polska Zbrojna” odnotowała jeszcze ogłoszenie przez gen. Franco zakończenia wojny domowej w Hiszpanii, a kolejne dni tego miesiąca dostarczyły tak wiele gorących tematów, że dziennikarze PZ i innych tytułów prasowych mieli wielki problem z tym, jak wszystko pomieścić na pierwszej stronie. Drugi dzień kwietnia 1939 roku przyniósł tragiczną wieść: Walery Sławek strzelił do siebie z bronią, pamiętającego jeszcze czasy bojówkarskie w PPS-ie. Do dziś nie jest jasne, dlaczego ten najbliższy współpracownik Józefa Piłsudskiego zdecydował się na tak dramatyczny krok. Być może przeczuwał już nadciągającą katastrofę. Choć akurat kilka dni później zdawało się, że jego politycznemu obozowi uda się wyjść z klinczu niemieckich nacisków. W czasie wizyty Józefa Becka

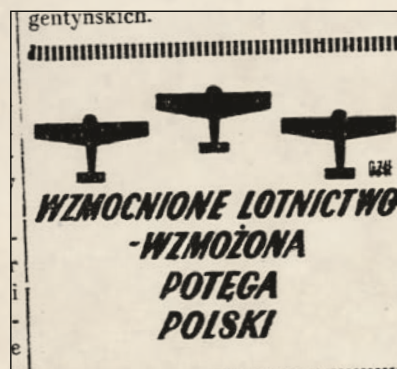
w Wielkiej Brytanii 6 kwietnia ogłoszono, że jednostronna gwarancja brytyjska dla Polski została przekształcona w obustronne zobowiązania. Wkrótce do brytyjskich gwarancji dołączyła również Francja.

DZIURAWY PARASOL

„Nad polską otwarty został imperialny parasol!”, entuzjastycznie pisano wtedy w polskich gazetach. Ale z Warszawy nie było widać dość wyraźnie, że ten parasol jest niestety dziurawy. W istocie gwarancje brytyjskie były tylko grą dyplomatyczną, za którą nie poszły większe przygotowania do wojny. Układ Becka i lorda Halifaxa stanowił jedynie podstawę do rokowań w sprawie zawarcia formalnego porozumienia sojuszniczego między oboma krajami. Na sfinalizowanie go Brytyjczycy zdecydowali

się dopiero 25 sierpnia 1939 roku, obawiając się, że po podpisaniu w Moskwie dwa dni wcześniej paktu Ribbentrop-Mołotow Polska będzie zmuszona iść na ustępstwa wobec III Rzeszy.

Jednak na początku kwietnia 1939 roku zarówno dla Becka, jak i lorda Halifaxa szczegóły porozumienia nie były chyba najważniejsze. Polski minister spraw zagranicznych nie zapytał nawet o takie kwestie związane z udzieleniem pomocy, jak kredyty czy możliwości oraz terminarz dostaw broni i sprzętu. To miał być przede wszystkim propagandowy straszak na Hitlera. Rzeczywiście, kanclerz III Rzeszy odebrał to jako swą pierwszą dyplomatyczną porażkę w pa-



śmie nieprzerwanych od 1938 roku sukcesów i zrozumiał, że nie uda mu się z Polski uczynić swego satelity. Nie zamierzał jednak wycofywać się przez to z raz obranej drogi. Ten doświadczony frontowiec wielkiej wojny rozumiał, że najlepszą obroną jest atak.

KOMETA NA NIEBIE

11 kwietnia Hitler rozkazał swym sztabowcom opracowanie strategicznego planu wojny z Polską. Nazwano go „Fall Weiss” (wariant biały). Sześć dni później ambasador sowiecki w Berlinie Aleksiej Mieriekałow oświadczył Ribbentropowi, że różnice ideologiczne nie powinny być przeszkodą dla normalizacji stosunków sowiecko-niemieckich, a następnie ich dalszego „ulepszenia”. Ta wiadomość o możliwości pogodzenia ognia z wodą poprawiła wyraźnie nastroje w siedzibie kanclerza Rzeszy. Niemcy byli mocno zaniepokojeni odwilżą w stosunkach ZSRS z Zachodem. Ówczesna prasa, nie wyłączając „Polski Zbrojnej”, szeroko



rozpisywała się m.in. o możliwości zawarcia francusko-angielsko-sowieckiego paktu lotniczego. Zaznaczano przy tym, że Polska i Rumunia nie chcą żadnych układów wojskowych z Sowietami, a Francja i Anglia powinny przede wszystkim wypełniać swe wojskowe zobowiązania wobec tych dwóch krajów.

20 kwietnia 1939 roku w Berlinie wielką paradą wojskową uczczono pięćdziesiąte urodziny Führera. To musiało „szacownego solenizanta” jeszcze bardziej „umocnić duchowo”, gdyż 28 kwietnia w Reichstagu rzucił karty na stół. W przemówieniu do deputowanych wypowiedział polsko-niemiecki pakt o nieagresji oraz brytyjsko-niemiecki układ morski. Hitler podkreślił dobitnie: „Nie jestem przecież demokratycznym mężem stanu, ale realistycznym narodowym socjalistą. Uważałem więc za konieczne wyjaśnić rządowi warszawskiemu, że tak jak on pragnie dostępu do morza, tak i Niemcy potrzebują dostępu do swej prowincji na Wschodzie. Są to jednak zagadnienia trudne. Odpowiedzialność za to nie spada na Niemcy, ale na owych kuglarzy z Wersalu, którzy ze złości lub z beznamiętności rozstawili setki beczek z prochem, a oprócz tego każda z nich opatrzona została niewygaszal-

nym prawie lontem”. To był już dobitny i jasny przekaz: koniec żartów. Jak w jakimś starożytnym eposie, potwierdzały to też znaki na niebie – doszło w tym czasie do zaćmienia słońca, a w pobliżu Ziemi nadleciała kometa najjaśniejsza od czasów komety Halleya.

W Polsce pocieszano się przedrukami z prasy zagranicznej, która podkreślała naszą mocarstwową pozycję. Według francuskich i holenderskich gazet byliśmy piątą potęgą wojskową na świecie, co mocno uwypukliła „Polska Zbrojna” po niepokojących doniesieniach z Berlina. Jednocześnie dopingowano społeczeństwo do składania jeszcze większych ofiar finansowych na rzecz lotnictwa wojskowego. Apelowano: „Dajcie nam samoloty – damy wam zwycięstwo!”. Potwierdzano przez to jedną z największych bolączek polskiej armii. Z tym większą radością zareagowano na wiadomość, że parlament brytyjski przyjął ustawę o wprowadzeniu przymusowej służby wojskowej. Wśród pozytywów odnotowano również, że kometa świecąca swym warkoczem na niebie przez wiele dni wreszcie oddaliła się od Ziemi. Obie te informacje niestety miały niewielki wpływ na przebieg wydarzeń we wrześniu 1939 roku. PK



KOMENTARZ

DR MARIUSZ PATELSKI

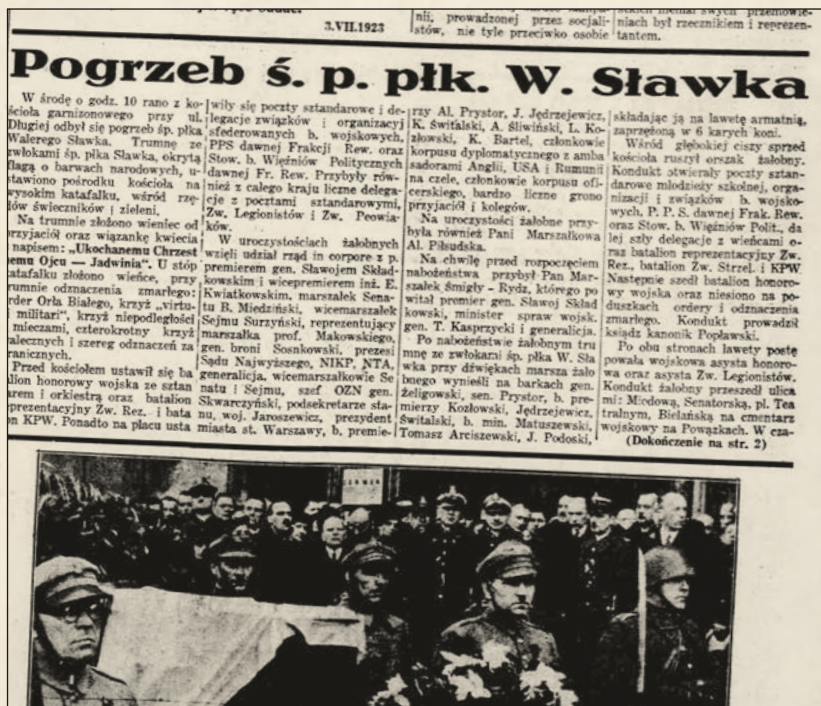
Porozumienie z Anglią zawarte w pierwszym tygodniu kwietnia 1939 roku, zapowiadające przyszły układ o wzajemnej pomocy, przyniosło Polakom złudne poczucie bezpieczeństwa. Wprawdzie polski wywiad informował o niemieckich przygotowaniach militarnych do wojny, ale wierzone w brytyjskie i francuskie gwarancje. Tymczasem 11 kwietnia Hitler wydał polecenie przygotowania planu niemieckiej agresji na Polskę o kryptonimie „Fall Weiss”; od tego momentu rozpoczęło się odliczanie do wojny.

Niepokojące sygnały popłynęły w tym czasie także z południa Europy. Bezkrwawe podboje Hitlera ośmieliły do działań przywódcę faszystowskich Włoch – Benita Mussoliniego. 7 kwietnia, na rozkaz Duce, armia włoska dokonała inwazji na Albanie. Po krótkim oporze, kraj ten został podbity, a jego władca – król Ahmet Zogu – udał się na emigrację.

Kwiecień zakończył się groźnym wystąpieniem wodza III Rzeszy. 28 kwietnia Hitler wystąpił z przemówieniem w Reichstagu, w którym nakreślił m.in. plany zdobycia „przestrzeni życiowej” dla Niemiec. Równocześnie dyktator zerwał polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy z 1934 roku.

Mimo oznak nadciągającego konfliktu, życie w Polsce nadal toczyło się względnie normalnie i spokojnie. Na Górnym Śląsku władze dokonały w kwietniu 1939 korekty granic administracyjnych Chorzowa, w ich wyniku klub piłkarski Ruch Hajduki Wielkie, mistrzowie Polski z 1938 roku, zmienił nazwę na Ruch Chorzów.

Dr MARIUSZ PATELSKI jest absolwentem Wydziału Historyczno-Pedagogicznego WSP w Opolu. Od 1993 roku pracuje w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego, obecnie zatrudniony w Katedrze Badań nad Dziedzictwem Kulturowym i Biografistyki.



WYCINKI PRASOWE POCHODZĄ Z „POLSKA ZBROJNA” Z KWIEŚNIA 1939 ROKU.



WALCZYLI DLA NAS » ZAWALCZMY DLA NICH «



PPLK. ZBIGNIEW GALPERYN
PS. "ANTEK"
BATALION "CHROBRY I" AK
POWSTANIEC WARSZAWSKI

JEDEN Z PONAD 1500
PODOPIECZNYCH
PACZKI DLA BOHATERA



WALCZYM O PAMIĘĆ

DLA BOHATERÓW
NARODU POLSKIEGO

» WIĘCEJ O NAS «
 PaczkaDlaBohatera

WSPOMÓŻ NASZĄ DZIAŁALNOŚĆ
44 1140 2004 0000 3202 7690 1396



KRZYSZTOF KUBIAK

Szalony geniusz

Urodzony w 1928 roku w Kanadzie Gerald Vincent Bull był geniuszem inżynierii i balistyki. Jeszcze jako 20-letni student brał udział w projekcie budowy kanadyjskiego pocisku powietrze–powietrze. W następnych latach uczestniczył w Programie Badawczym Wysokiego Pułapu (High Altitude Research Program – HARP), zakładającym umieszczanie na orbicie obiektów wystrzeliwanych z luf armatnich dużego kalibru, co miało być atrakcyjną finansowo i organizacyjnie alternatywą dla rakiet nośnych. Co interesujące, Bull inspirował się niemieckim działem paryskim z czasów I wojny światowej. Próby z wykorzystaniem luf armat morskich kalibru 406 mm prowadzono na Barbados.

Kiedy rząd kanadyjski przerwał finansowanie projektu, Bull skupił się na budowie działu dalekonośnego. Jako podstawę przyjął istniejącą amerykańską haubicę M126A1 kalibru 155 mm o długości lufy 39 kalibrów. Jego wysiłki postępowały dwutorowo. Po pierwsze, stosując odmienne bruzdowanie, przedłużył on lufę do 45 kalibrów, po drugie opracował nową amunicję o stabilizacji brzechwowej, wykorzystującą gazogenerator. Amunicja o poprawionej aerodynamice okazała się pierwszym znaczącym sukcesem komercyjnym firmy założonej przez Kanadyjczyka. 50 tys. sztuk takich pocisków sprzedano Izraelowi.

W połowie lat siedemdziesiątych XX wieku Bull dysponował już dopracowanym projektem haubicy z lufą o długości 45 kalibrów. Dział, przy wykorzystaniu amunicji jego pomysłu, mogło prowadzić skuteczny ogień na odległość 39 600 m. Rozwiązanie to sprzedano objętej embargiem międzynarodowym Południowej Afryce oraz Chinom. Bull popełnił wówczas przestępstwo – będąc już naturalizowanym Amerykaninem dostarczył zaawansowaną technologię wojсковą do państwa objętego przez jego nową ojczyznę istotnymi ograniczeniami. Spędził za to kilka miesięcy w areszcie i został ukarany wysoką grzywną.

Po wyjściu na wolność przeniósł się do Belgii i rozpoczął współpracę z reżimem Saddama Husajna. Konstruktor zaprojektował dla Iraku haubicę kalibru 155 mm nazwaną Al-Majnoonan. Jego sztandarowym projektem było jednak superdziało mogące wynosić na orbitę satelity rozpoznawcze, zwalczać obiekty kosmiczne na niskich wysokościach przy użyciu specjalnej głowicy o wymuszonej fragmentacji, a także pełnić funkcję broni artyleryjskiej dalekiego zasięgu, mogącej razić cele amunicją konwencjonalną, chemiczną, a docelowo również jądrową. W tym kontekście jako potencjalny obiekt był oczywiście wymieniany Izrael. Bull, nie mając dostępu – jak na Barbados – do luf dział okrętowych, posłużył się lufą segmentową, której elementy zamawiano, jako sprzęt dla branży petrochemicznej, w różnych firmach w Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Szwajcarii i Holandii.

Inżynierskie fascynacje Geralda Bulla przybrały formę niemal faustowskiego uwiedzenia. Liczyła się już tylko możliwość realizacji projektu, a nie to, kto owo przedsięwzięcie finansował i czemu miało służyć. Konstruktor był przy tym świadom, jak niebezpieczną grę prowadzi, ale zdawał się to lekceważyć. Był to fatalny błąd. 20 marca 1990 znaleziono go martwego przed drzwiami brukselskiego mieszkania. W tył głowy trafiło go pięć kul. Śledztwo przeprowadzone przez belgijską policję nie doprowadziło do wykrycia zabójców, a sprawa została umorzona. Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością założyć jednak można, że nieobliczalny geniusz został wyeliminowany przez izraelski Mossad. Bez Bulla irackiego superdziała nigdy nie zdołano ukończyć. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ SPORT



W GÓRĘ, PO MARZENIA

**W poszukiwaniu wyzwań wspina się na
najwyższe szczyty. „Hati”, żołnierz Jednostki Wojskowej
Nil, zdobył zimą siedmiotysięcznik Chan Tengri.**

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

ARCH. „HATIEGO”

P

odczas wspinaczki na szczyt mróz nie odpuszczał nawet na chwilę. Temperatura w dzień wynosiła około minus 40°C, a po zmierzchu, odczuwalna, nawet minus 60. Wiał silny wiatr, którego prędkość stopniowo rosła, a w porywach osiągała nawet 100 km/h. Zastanawiał się, czy iść dalej, czy nie podejmuje zbyt dużego ryzyka. Było już po zmroku, nie widział swojego partnera wspinaczkowego. Mrok rozświetlała jedynie latarka czołowa. A do celu pozostało zaledwie kilkaset metrów...

APETYT ROŚNIE

„Hati”, żołnierz Jednostki Wojskowej Nil, pochodzi z niewielkiej miejscowości w Beskidzie Małym. Pasja do wspinaczki rozwijała się u niego stopniowo. Najpierw wędrował po okolicy, latem i zimą zdobywał beskidzkie szczyty, potem próbował swoich sił w Tatrach. To jednak było dla niego za mało. Ruszył dalej, przemierzył Alpy, zdobywając kilkakrotnie kolejne szczyty, m.in. Großglockner, Großvenediger, Mont Blanc, Dufourspitze, Matterhorn. Wspiął się też na Kilimandżaro w Afryce oraz Island Peak i Ama Dablam w Himalajach.

Po górach zaczął także biegać. Ukończył m.in. UTMB (Ultra-Trail du Mont-Blanc), bieg na dystansie 170 km wokół Mont Blanc, dwukrotnie 120-kilometrowy Lavaredo Ultra Trail oraz 103-kilometrowy Dolomiti Extreme Trail. Jest ratownikiem medycznym, ale ma również uprawnienia instruktora wspinaczki skalnej i narciarstwa. Uczy ponadto technik linowych w ratownictwie lotniczym.

Swoje umiejętności wykorzystywał w służbie wojskowej, prowadził np. zajęcia z technik linowych i wspinaczki, narciarstwa oraz ratownictwa medycznego. Dziś ma za sobą 18 lat służby i cztery misje poza granicami kraju: jedną w Iraku, trzy w Afganistanie. Od kilku lat nosi ciemnozielony beret wojsk specjalnych.

Co takiego pociągającego jest w górach? „One są po prostu piękne, a każda jest inna. Zdobywając coraz wyższe szczyty, próbujemy przekraczać granice ludzkich możliwości, sprawdzamy, na co nas stać. Oczywiście wiąże się to z ryzykiem, z adrenaliną. Ale lubię to uczucie, gdy cholernie zmęczony zdo-



bywam szczyt”, przyznaje „Hati”. „W górach możemy liczyć tylko na siebie i partnera. Podoba mi się, że tam inaczej myślimy o życiu i codziennych potrzebach. Dostrzegamy, ile z otaczających nas na co dzień rzeczy jest zbędnych. W dzisiejszych czasach przywiązujemy zbyt dużą wagę do spraw materialnych. W górach liczą się te najprostsze: pożywienie, woda, słońce, ogień, schronienie, dobre serce i chęć pomocy drugiemu”, uzupełnia.

Do zdobycia siedmiotysięczników komandosa namówił Piotr Krzyżowski, który jest ratownikiem Grupy Beskidzkiej GOPR. To on zorganizował projekt Beskid Pamir Expedition, żeby zdobyć rosyjskie wyróżnienie alpinistyczne Śnieżna Pantera. By je otrzymać, trzeba wspiąć się na pięć siedmiotysięczników. W paśmie Tien-szan: Pik Pobiedy i Chan Tengri, a w Pamirze: Pik Komunizma, Pik Korżeniewskiej i Pik Lenina. „Z wielką chęcią przyłączyłem się do tego projektu. W środowisku ludzi zajmujących się wspinaczką wysokogórską osoby posiadające Śnieżną Panterę są bardziej poważane, niż ci, którzy zdobyli Mont Everest, wspomagając się tlenem i tragarzami. A jeśli ktoś zdobył któryś z wymaganych szczytów zimą, to cieszy się jeszcze większym uznaniem”, tłumaczy „Hati”.

W 2018 roku „Hati” i Piotr Krzyżowski weszli na Pik Lenina i Pik Komunizma. Podczas wyprawy poznali utytułowanego alpinistę i himalaistę Jacka Telera, zdobywcę ośmiotysięczników, oraz Mariusza Baskurzyńskiego, siódmego Polaka z tytułem Śnieżnej Pantery. „Teler zaproponował nam udział w kolejnej wyprawie, tym razem zimą. Celem był najwyższy szczyt w Kazachstanie: Chan Tengri mierzący 7010 m. Wpisywało się to idealnie w na-



ARCH. „HATIEGO” (2)

WEJŚCIE POLAKÓW NA CHAN TEN-GRI OPISAŁY ZAGRANICZNE I KRAJOWE MEDIA. GAZETY, RADIO I TELEWIZJA INFORMOWAŁY O SUKCESIE WSPINACZY, PODKREŚLAJĄC, ŻE

„HATI” I PIOTR KRZYŻOWSKI TO PIERWSI POLACY, KTÓRZY ZDOBYLI SZCZYT ZIMĄ

sze plany zdobycia Śnieżnej Pantery, więc przystaliśmy na tę propozycję”, opowiada komandos z JW Nil.

SZCZYT JEST BLISKO

Do wyprawy w Tien-szan trzeba było się przygotować. O kondycję fizyczną byli spokojni, ale potrzebowali porządnej aklimatyzacji. Kilukrotnie korzystali ze specjalistycznej komory, w której za pomocą ciśnienia i tlenu można imitować warunki panujące na wysokości 6 tys. m.

Najwięcej czasu zabrało im skompletowanie sprzętu, który umożliwiłby zdobycie szczytu zimą. Niezbędne były specjalne śpiwory, namioty, kombinezony, buty do wspinaczki wysokogórskiej, a także kuchenka, która nie zawiedzie na dużej wysokości, oraz odpowiednie jedzenie – w ich wypadku żywność liofilizowana i batony energetyczne.

Po spakowaniu ekwipunku okazało się, że plecaki ważą ponad 40 kg. „Każdy miał swój namiot, śpiwór, kombinezon, matę samopompującą, termos, naczynia, gaz, odzież puchową, żywność na miesiąc, telefon satelitarny, GPS, baterie, latarkę, liny, taśmy, karabinki, śruby lodowe, raki, czekany i uprząże”, wylicza jednym tchem „Hati”. „Wiedzieliśmy, co prawda, że ten ciężar odczuwamy boleśnie w górach, ale nie można było

z niczego zrezygnować, bo przed nami była miesięczna ekspedycja”, dodaje.

Do Kirgistanu ruszyli 7 stycznia 2019 roku w czwórkę: „Hati” i Piotr Krzyżowski oraz Jacek Teler z partnerem wspinaczkowym Mariuszem Baskurzyńskim. „Byliśmy podekscytowani, bo wiedzieliśmy, że podejmujemy się wyzwania, któremu sprostać udało się zaledwie kilku wspinaczom na świecie. Z relacji Jacka wiemy, że zimą 2016 roku szczyt zdobył Denis Urubko, Kazach z polskim paszportem. My mieliśmy być pierwszą w pełni narodową wyprawą”, mówią.

Otwarcie przyznają, że już na początku drogi było ciężko. Musieli pieszo pokonać około 70 km po lodowcu. I choć nie było tam wielkich przewyższeń, to duże zagrożenie stanowiły szczeliny lodowe. Poza tym trudno było nawigować i wszystkim dokuczał mróz. Maszerowali powoli przez siedem dni, a każdego wieczoru rozbijali obozowisko. W końcu dotarli do zabudowań nieczynnej rosyjskiej bazy na wysokości około 4200 m. „Po tak długim marszu musieliśmy odpocząć, przygotować się do dalszej drogi. Regeneracja, naprawa starego budynku oraz wszelkie przygotowania zajęły nam trzy dni”, opowiadają.

By się aklimatyzować i założyć drugi obóz, ruszyli na wysokość 5200 m. Po kilku godzinach wędrówki, ze względu na bardzo złą pogodę i pędzące lawiny, musieli zawrócić. Aura poprawiła się dopiero dwa dni później, zdecydowali się więc powtórzyć próbę. Musieli bardzo uważać, bo na trasie szczeliny w lodzie miały nawet 50 m. „Trzeba było je obchodzić, co było męczące i zajmowało nam bardzo dużo czasu. Musieliśmy jeszcze zaporęczyć [zabezpieczyć przejście linami] kawałek drogi, by sprawniej się poruszać”, przyznaje „Hati” i dodaje: „Noc spędziliśmy w namiotach. Rano była piękna pogoda, więc postanowiliśmy iść jeszcze wyżej i założyć obóz na wysokości około 5800 m, czyli ostatni przystanek przed szczytem”.



W obozie trzecim zostali dwie noce. Wykopali tam jamę śnieżną, w której było zdecydowanie cieplej – minus 18°C. Zabezpieczyli także linami śnieżno-lodowy odcinek drogi prowadzący w stronę przełęczy. Kiedy już przygotowali obozy i zaporęczyli trudniejsze fragmenty trasy, wrócili do punktu wyjściowego. Po dwudniowym odpoczynku ponownie rozpoczęli wspinaczkę. Tym razem w górę poszli we trójkę, Jacek z powodów zdrowotnych został w bazie.

Ostatni fragment wspinaczki rozpoczęli o świcie. „Zazwyczaj na atak szczytowy wyrusza się w nocy lub nad ranem. My jednak zdecydowaliśmy, że wystartujemy po wschodzie słońca. W ciągu dnia jest wyższa temperatura i łatwiej nawigować”, wyjaśnia „Hati”. Żołnierz wspomina, że z obozu trzeciego ruszyli we dwóch z Piotrem po ósmej. Mariusz Baskurzyński musiał zostać w bazie, bo w czasie aklimatyzacji nabawił się lekkich odmrożeń i nie chciał ryzykować.

Różnica wysokości między obozem a szczytem wynosiła w pionie 1800 m, ale do przejścia mieli dobre 5 km. Do najtrudniejszych wyzwań w drodze zaliczają wspinaczkę po lodzie, niektóre skalne odcinki oraz silny wiatr wiejący z prędkością 40–65 km/h, w porywach dochodzący nawet do 100 km/h.

Szli pojedynczo, asekurując się jedynie liną. Przez kilkadziesiąt minut każdy walczył z lodową ścianą. „Wspinałem się pierwszy, Piotr zaraz za mną. Z technicznych powodów oraz ze względu na ukształtowanie drogi nie mieliśmy ze sobą stałego kontaktu. Jednakże przez większość czasu byliśmy w kontakcie wzrokowym, przynajmniej do czasu zapadnięcia zmroku”, wspomina komandos. W górnych partiach Chan Tengri pogoda pogarszała się z godziny na godzinę. Zerwał się silny wiatr. Przenosił masy śniegu, które raniły twarz i oczy. Odczuwalna temperatura, według prognoz, wynosiła około minus 60 stopni. Z każdym metrem szło się coraz trudniej. Plecak, w którym było trochę jedzenia oraz sprzęt wspinaczkowy, ciążył coraz bardziej. „W połowie drogi zostawiłem plecak, który ważył tylko 4 kg. Batony energetyczne, latarkę wsadziłem do kieszeni kombinezonu, termos wsunąłem pod pachę, czekając złapałem w rękę i ruszyłem dalej”, opowiada „Hati”.

Czy miał chwile wątpliwości? Tak. Zastanawiał się, czy iść dalej, czy ryzyko, które podejmuje, nie jest zbyt duże. Było już



NA NAJWYŻSZĄ GÓRĘ KAZACHSTANU WSZEDŁ PO DZIEWIĘCIU GODZINACH WSPINACZKI. NIE SPĘDZIŁ NA SZCZYCIE WIELE CZASU, BO SILNY WIATR I MRÓZ NIE DAŁY CIESZYĆ SIĘ SUKCESEM. BYŁ GŁODNY, TROCHĘ ODWODNIONY I ZMĘCZONY, TRUDNO MU BYŁO ODDYCHAĆ. ALE ZADANIE WYKONAŁ

ciemno, nie widział więc swojego partnera wspinaczkowego. Mrok rozświetlała mu jedynie latarka. „Zastanawiałem się, czy dalsza wspinaczka jest bezpieczna. Myślałem wtedy o żonie, rodzinie i znajomych. Zastanawiałem się, co z Piotrem, bo nie wiedziałem światła jego latarki. Nie widziałem, czy zrezygnował, czy nadal idzie za mną. Kontrolowałem swoją saturację, samopoczucie, wysokość, położenie i temperaturę. Czuję się dobrze, nadal miałem batony i ciepłą herbatę, więc kontynuowałem drogę. Do celu pozostało zaledwie kilkaset metrów...”, mówi żołnierz.

WYKONAŁEM ZADANIE!

Na najwyższą górę Kazachstanu wszedł po dziewięciu godzinach wspinaczki. Nie spędził na szczycie wiele czasu, bo silny wiatr i mróz nie dały cieszyć się sukcesem. Był głodny, trochę odwodniony i zmęczony, a przez niewielką ilość tlenu w powietrzu trudno mu było oddychać. Zrobił jedynie kilka zdjęć i nakręcił krótki filmik. „Było już ciemno, więc nic nie można było zobaczyć. Ale byłem tam, wykonałem zadanie! Wiedziałem jednak, że to połowa sukcesu, bo trzeba jeszcze bezpiecznie zejść do obozu. Wtedy zdarza się najwięcej wypadków. Człowiek ulega euforii, spada poziom stresu i obniża się koncentracja. Powoli zacząłem więc schodzić. Na podszczytowych polach śnieżnych dostrzegłem światło. Radości i wzruszenia nie umiem opisać. Wiedziałem, że to Piotr i nie jestem sam”, opowiada. Piotr Krzyżowski na szczycie Chan Tengri był godzinę po swoim koledze.

Wejście Polaków na jedną z najwyższych gór w Tien-szan opisały zagraniczne i krajowe media. Gazety, radio i telewizja informowały o sukcesie wspinaczy, podkreślając, że „Hati” i Krzyżowski to pierwsi Polacy, którzy zimą zdobyli Chan Tengri.

Gdzie pójdą następnym razem? Alpinści przyznają, że na pewno dokończą walkę o Śnieżną Panterę. Nie wiadomo jeszcze, czy ruszą w góry zimą, bo w tej chwili zbierają siły i leczą lekkie odmrożenia. „Mam jeszcze tyle gór do zdobycia. Marzy mi się Laila Peak w Pakistanie, Aconcagua w Ameryce Południowej czy Denali w Stanach Zjednoczonych. Planów nie zabraknie. Był tylko był czas”, podsumowuje specjals. ■



13 kwietnia 2019

godz.13.00

Parking przy internacie wojskowym
ul. Wojska Polskiego w Międzyrzeczu

INSCENIZACJA

**HISTORYCZNO
BATALISTYCZNA**



Związek Harcerstwa
Rzeczypospolitej



KARBALA



KLUB 17 WBZ Z MIĘDZYRZECZA z okazji 15 rocznicy obrony Ratusza City Holl w Karbali zaprasza:

13.04.2019 godz 13.00

Inscenizacja historyczna „Karbala 2004 – 2019”- parking przed internatem wojskowym,
ul. Wojska Polskiego w Międzyrzeczu

godz.14.00

Gry i zabawy dla dzieci i dorosłych przy Klubie Wojskowym w Międzyrzeczu prowadzone przez m.in.
weteranów i byłych żołnierzy „Grom” – Veterans Caffé Akcja "Kawa dla weterana".

Ponadto:

12.04.2019 godz. 10.00

Międzyrzeczki Ośrodek Kultury w Międzyrzeczu

Konferencja „Karbala” z udziałem d-cy obrony Ratusza City Holl płk Grzegorza Kaliciaka
oraz jego oficerów i żołnierzy.



Już w 1968 roku, kiedy Amerykanie na dobre – choć dla nich może raczej na złe – byli zaangażowani w konflikt między Wietnamem Południowym a Północnym, do kin wszedł film „Zielone berety”. Jego współreżyserem i odtwórcą głównej roli płk. Mike’a Kirby’ego był John Wayne, któremu sławę przyniosły przede wszystkim role westernowe. I w gruncie rzeczy „Zielone berety” są bardziej westernem niż filmem wojennym. Westernem w duchu lat pięćdziesiątych, który miał przekonać Amerykanów do celowości interwencji w Wietnamie. Płk Kirby to szlachetny szeryf, który zamiast kapelusza nosi zielony beret sił specjalnych i na czele swego oddziału walczy z nikczemnymi wietnamskimi partyzantami. Tej agitki nie kupowali nawet amerykańscy żołnierze oglądający film na urlopach w sajońskich kinach lub na seansach organizowanych w wojskowych

PIOTR
KORCZYŃSKI

**Siły specjalne
wojsk lądowych
Stanów
Zjednoczonych,
czyli słynne
Zielone Berety,
obrosły legendą,
zwłaszcza po wojnie
w Wietnamie. Nic
dziwnego, że ci
żołnierze szybko stali
się bohaterami
inspirującymi
scenarzystów
z Hollywood.**

klubach i kantynach. Scenarzyści z Hollywood musieli bardziej przyłożyć się do pracy, potrzebny był też czas, by nabrać odpowiedniego dystansu do tej wojny.

ODJECHANY GOŚĆ

Jednym z takich scenarzystów był Michael Herr, który przez dwa lata służył w Wietnamie jako korespondent wojenny. Stykał się tam z Zielonymi Beretami niejednokrotnie, co opisał w głośnej książce „Depesze”, a jako współscenarzysta „Czasu apokalipsy” uwiarygodnił postępowanie dwóch głównych bohaterów tego arcydzieła filmowego, którzy byli oficerami sił specjalnych. Zanim jednak przejdziemy do filmu Francisa Forda Coppoli, warto przeczytać fragment „Depesze”, w którym Herr opisuje spotkanie z „lurpą” (tak nazywano żołnierzy Zielonych Beretów służących w LRRP, czyli long-range reconnaissance patrol, patrolu dalekiego zasięgu).

OUTSIDERZY W ZIELONYCH BERETACH

**Szeryf
miasteczka
Hope:**

– Kim on jest, Bogiem?!

**Pułkownik
Trautman:**

– Bóg jest miłosierny,
on nie.

Travis Bickle:

– Do mnie mówisz?

– Do mnie?

– Mówisz do mnie?

Żołnierz ten wcześniej służył w kawalerii powietrznej. Jako jedyny ze swego oddziału ocalał z zasadzki w dolinie la Đrăng w 1965 roku. Później wrócił do Wietnamu w zielonym berecie i szybko stał się jednym z najlepszych zwiadowców dalekiego zasięgu. Herr zanotował rozmowę z żołnierzami z jego zespołu bojowego i samo z nim spotkanie:

„– Nie no, jak dla mnie gość jest trochę za bardzo odjechany – stwierdził któryś z jego zespołu. – Weź mu zajrzyj, kurwa, w oczy, od razu skumasz.

– Taa, tylko się streszczaj – dodał inny. – Znaczy się, wiesz, żeby cię nie przyuważał.

Tylko że on chyba cały czas czuwał, pewnie spał z otwartymi oczami, a ja już i tak miałem stracha. Raz tylko mi się udało: jakbym patrzył na dno oceanu. Facet nosił złoty kolczyk i opaskę wyszarpaną ze spadochronu wojskowego, a że nie było za bardzo chętnych, żeby mu coś powiedzieć o włosach, chodził z długimi, aż za ramiona, gdzie opadały mu na zgrubiałą fioletową bliznę. Wszędzie nosił czterdziestkępiątkę i nóż, nawet w sztabie dywizji”. Herr wspominał, że komandos nie był zbyt chętny do rozmowy, ale „on mi opowiedział historię wojenną, może najtrafniejszą i najgłębszą ze wszystkich, jakie tam słyszałem. Rok mi zajęło, żeby ją zrozumieć: »Wysła-

liśmy patrol rozpoznawczy w góry. Wrócił jeden koleś. Umarł, zanim nam powiedział, co się stało. Czekalem na dalszy ciąg, ale to najwyraźniej nie była historia tego typu; kiedy spytałem, co właściwie się tam wydarzyło, spojrzał na mnie z politowaniem; na chuj będzie marnował czas z takim idiotą«”.

Herr znakomicie odmalował charakter żołnierza sił specjalnych, szkolonego na indywidualistę, który w ekstremalnych sytuacjach musi podejmować szybkie decyzje. Jeśli się pomyli – ginie. Taka służba odbijała się na psychice nawet najtwardszych charakterów. I to pokazuje „Czas apokalipsy” z 1979 roku. W filmie Coppoli obserwujemy pojedynek dwóch komandosów. Kpt. Benjamin Willard (Martin Sheen) dostał rozkaz odnalezienia w dżungli i zabicia płk. Waltera Kurtza (Marlon Brando), który się zbuntował i z prywatną armią prowadził wojnę na własny rachunek. Tylko czy na pewno Kurtz zwariował, jak przekonywał Willarda oficer CIA? Kapitan uświadamia sobie, że Kurtz chce po prostu wygrać wojnę w Wietnamie wbrew

politykom i kontrolowanym przez nich wojskowym. W finałowej scenie Kurtz pozwala zabić się Willardowi, bo uświadomił sobie, że nie jest bogiem wojny, którego czczą jego dzicy górale, lecz zbrodniarzem wojennym.

Kim mógłby być kpt. Willard po powrocie z misji? Odpowiedź na to pytanie można odnaleźć w kolejnych trzech filmach o Zielonych Beretach. Pierwszy to „Łowca jeleni” Michaela Cimino z 1978 roku. W tym filmie jest scena, którą łatwo przeoczyć, a mówi ona o wojnie w Wietnamie więcej niż ta najczęściej przywoływana z grą w rosyjską ruletkę. Prawie połowa akcji rozgrywa się w czasie wesela młodych Amerykanów ukraińskiego pochodzenia w hutniczym miasteczku Clariton w zachodniej Pensylwanii. Zarówno pan młody, jak i jego przyjaciele dostali powołanie do wojska i wkrótce mają odlecieć na wojnę w Wietnamie. Kiedy wesoło rozmawiają nad kieliszkami wódki przy barze, do lokalu wchodzi żołnierz i prosi barmana o kolejkę. Młodzieńcy patrzą z podziwem na jego zielony берет komandosa. Starają się wypytać o wojenne przygody. Żołnierz nie reaguje na ich prośby, a kiedy opróżnia swój kieliszek, przez dłuższą chwilę patrzy na nich. Tego spojrzenia już nie zapomnę, ale jego przerażającą głębię zrozumieją dopiero wtedy, kiedy sami zanurzą się w koszmarze wojennym jako komandosi Zielonych Beretów. „Bóg przysłał nam anioła śmierci, a my go nie rozpoznaliśmy...”.

ANIOŁ ŚMIERCI

To byłby idealny przydomek zarówno dla Trava Bickle’a (Robert De Niro) z „Taksówkarza”, jak i Johna Rambo (Sylwester Stallone) z „Rambo: Pierwsza krew”. Zestawienie arcydzieła Martina Scorsese z 1976 roku z filmem klasy B Teda Kotcheffa z 1982 roku może dziwić, ale ich bohaterów wiele łączy – przede wszystkim niemożność powrotu do normalnego życia. Bickle wraca z Wietnamu do swojego rodzinnego Nowego Jorku, cierpi na bezsenność, więc zatrudnia się jako nocny taksówkarz. Dni upływają mu na seansach w kinie pornograficznym. Swe doświadczenia z wietnamskiej dżungli przenosi do tej wielkomiejskiej i odkrywa, że tutaj też może zostać bohaterem. Bickle masakruje z zimną krwią alfonsov zmuszających nieletnią dziewczynę do prostytucji i trafia na pierwsze strony gazet jako bohaterski weteran, ale tak naprawdę to tylko emocjonalny kaleka o psychice zniszczonej wojenną traumą, choć jednocześnie doskonale wyszkolony żołnierz.

Do czego zdolny jest taki człowiek, widać w „Rambo: Pierwsza krew”. W odróżnieniu od Bickle’a, Rambo nie otrzymuje żadnej szansy na normalną egzystencję po wojnie. Dla szeryfa miasteczka Hope jest jedynie brudnym włóczęgą, który szpeci ulice jego miasta. Kiedy Rambo nie chce dobrowolnie opuścić Hope, zostaje aresztowany i upokorzony przez policjantów. W komandosie budzą się wojenne demony i rozpoczyna walkę jak w wietnamskiej dżungli. Policja i Gwardia Narodowa nie mają szans z wojownikiem wyszkolonym w Forcie Bragg w Karolinie Północnej, bazie Zielonych Beretów. To memento dla tych, którzy ludzi poświęcających swe życie dla kraju pozostawiają samych sobie, skazując ich na los outsiderów.

Płk Kurtz: „Do Wietnamu przyjechaliśmy nie z misją pokojową, tylko jako agresorzy i tak musimy się tutaj zachowywać – zabijać, zabijać i jeszcze raz zabijać. Wtedy zwyciężymy”.

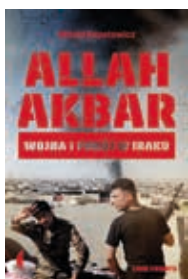
IRAK

INNE SPOJRZENIE

Subiektywna, czasem wręcz sentymentalna podróż po Iraku.

KSIĄŻKA

Witold Repetowicz,
„Allah Akbar – wojna
i pokój w Iraku”,
Czarne, 2019.



„Allah Akbar – wojna i pokój w Iraku” to druga po „Nazywam się Kurdystan” książka Witolda Repetowicza. Tym razem dziennikarz skupia się na wydarzeniach, które w ostatnich latach rozgrywały się (i wciąż rozgrywają) w Iraku. Jako reporter, Witold Repetowicz nie tylko relacjonował walki na froncie z tzw. Państwem Islamskim, lecz także przybliżał zawiłości bliskowschodniej sceny politycznej oraz przemiany społeczne. Informacje i spostrzeżenia, które zamieścił w książce, zdobywał zarówno na ulicach Bagdadu, jak i daleko od stolicy, w prowincjach Niniwa, Salah ad-Din, Kirkuku czy Anbarze.

Głównym założeniem tekstu jest poszerzenie, a być może nawet przewartościowanie wiedzy, którą na temat Iraku ma przeciętny odbiorca. W oczach mniej zorientowanego czytelnika jest to państwo upadłe, w którym od wielu lat toczy się brutalny konflikt. Obraz ten pogłębia narracja zachodnich mediów, skupiających się przede wszystkim na działaniach wojennych oraz krwawych zamachach. Autor nie neguje tych sytuacji, stara się

jednak ukazać drugie oblicze Iraku – kraju, który pomimo trwających od wielu lat podziałów oraz poważnych problemów, powoli się stabilizuje.

Witold Repetowicz ukazuje szerszy kontekst wydarzeń ostatnich lat oraz przybliża sylwetki ważnych, chociaż nie zawsze wyeksponowanych, postaci. Niektóre z nich, jak maharadzę Muhammada Sa'ida al-Hakima, dziennikarz poznał osobiście.

Podczas lektury nie ma wątpliwości, że Repetowicz nie tylko fizycznie dotarł do opisywanych miejsc, ale także dysponuje wiedzą, która pozwala mu swobodnie poruszać się w bliskowschodnich realiach. W zalewie specjalistycznych tekstów pisanych na odległość ma to dużą wartość. Właśnie dlatego książkę docenią również czytelnicy dobrze odnajdujący się w podjętej tematyce. Muszą jednak pamiętać, że „Allah Akbar – wojna i pokój w Iraku” nie jest opracowaniem naukowym, ale reportażem przedstawiającym subiektywną, czasem sentymentalną podróż autora. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

KSIĄŻKA

HISTORIE BEZ IMION

Zajęła się tematem niezwykle trudnym, kontrowersyjnym, przez co wymazanym z historii, nie tylko na-

szej. Dlatego, jak mówi Joanna Ostrowska, „budowanie tej historii było śledztwem z małą ilością poszlak, praktycznie bez dowodów, a często wbrew temu, co dotychczas zapisało się w pamięci o II wojnie światowej”. Autorka książki „Przemilczane” badała kwestię przymusowej pracy seksualnej w czasie

II wojny światowej. Kiedy przeglądała kilometry akt, łatwiej było jej jednak znaleźć informacje dotyczące chociażby umeblowania domów publicznych, niż tego, kto w nich pracował. Zapewne dlatego w jej książce „Przemilczane” nie znajdziemy konkretnych bohaterów. Innym powodem takiego stanu

rzeczy jest również fakt, że te kobiety przez całe lata po wojnie nikomu nie przyznały się do swoich doświadczeń, nawet najbliższymi. Stygmatyzowane były już w obozach koncentracyjnych przez innych więźniów, a po wojnie żyły z piętnem kolaborantek. Tymczasem Joanna Ostrowska pokazuje, że to nie były

Zagrajmy w morderstwo

Jeśli odpowiesz źle, wysadzę budynek. Odmówisz współpracy? Wysadzę budynek. Sprawisz za dużo zacho-
du? Wysadzę budynek. Zrobisz cokol-
wiek, co mi się nie spodoba... Wysadzę
budynek”, takie ultimatum usłyszał
Morgan Sheppard, gwiazda telewizyj-
na. I tym razem nie był to element sce-
nariusza jego programu „Detektyw
z sąsiedztwa”. Jak znalazł się w takich
opalach? Ostatnią rzecz, jaką pamiętał,
to spotkanie z niezwykle seksowną ko-
bietą w paryskim hotelu. Nagle urwał
mu się film. W sumie w jego wypadku
to nic dziwnego – przecież jak co dzień
był pod wpływem wszelakich używek.
Aż dziw zresztą, że nie stało się to ni-
gdy na planie jego programu. Kiedy
odzyskał przytomność, pękała mu
głowa, a język przypominał papier
ścierny. W sumie też nic nowego...
Tyle że tym razem był przykuty do łóż-
ka kajdankami, za oknem krajobraz
Londynu, a w pokoju zamiast seksow-
nej Francuzki pięć obcych mu osób. Co
więcej, na ekranie telewizora mężczy-
zna w masce przypominającej łeb ko-
nia rzucił mu: „Zagrajmy w morder-
stwo”. Okazało się, że w łazience po-
koju leży trup. Sheppard dostał trzy

godziny, żeby wskazać mordercę. Jeśli
popelni błąd, szalenciec w masce wysa-
dzi w powietrze hotel pełen gości. Roz-
poczyna się wyścig z czasem. Kto za-
bił? Wycofana nastolatka, uznany
prawnik, sławna aktorka, sympatyczna
baristka, sprzątacze hotelowy, a może on
sam?

Chris McGeorge użył tutaj konwencji
„escape roomu”. I choć nie jest to
szczególnie oryginalny pomysł, to war-
to sięgnąć po jego „Zgadnij kto”, z kil-
ku powodów. Po pierwsze, fantastycz-
nie nakreślił bohaterów tego krymina-
łu. W sposób tak wyrazisty, że wręcz
niemal przerysowany, ale wiarygodny.
Szczególnie głównego bohatera, który
wzbudza w czytelniku cały wachlarz
uczuc – od litości, przez obrzydzenie
i nienawiść po zrozumienie i nutę sym-
patii. Ponadto udało mu się zbudować
atmosferę niczym z „Dzie-
sięciu małych Murzynków”
Agathy Christie. I wreszcie
– nieustannie zaskakuje czy-
telnika. Całkiem udany de-
biut Chrisa McGeorge’a. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Chris McGeorge, „Zgadnij kto”,
InSignis, 2018



JEŚLI ODPO-
WIESZ ŹŁE,
WYSADZĘ BU-
DYNEK. OD-
MÓWISZ
WSPÓŁPRACY?
WYSADZĘ BU-
DYNEK. SPRA-
WISZ ZA DUŻO
ZACHODU?
**WYSADZĘ
BUDYNEK.**
ZROBISZ CO-
KOLWIEK,
CO MI SIĘ
NIE SPODO-
BA...



Joanna Ostrowska,
„Przemilczane”, Marginesy, 2018.

proste historie. Pojęcie „ofia-
ry” często nabiera tu innego
wymiaru niż ten, z którym sty-
kamy się w obozowych opo-
wieściach. W niemieckich
puffach pracowały przedwo-
jenne prostytutki, ale też
dziewczyny, który miały pe-

cha, bo znalazły się w niewła-
ściwym miejscu o niewłaści-
wej porze. Wpadły w tryby
stworzonego przez nazistów
w czasie okupacji systemu
kontrolowanego nierządu.

Nie jest to łatwa książka,
nie tylko z racji samego tema-
tu, ale też formy. Utkana jest
bowiem „z liczb, beznamięt-
nych zapisków, nużących ra-

portów, planów architekto-
nicznych. Nazw ulic, inicja-
łów”. Autorka mówi, że
wybrała taką formę dlatego,
że za lakonicznymi informa-
cjami kryje się pamięć o tych
kobietach. Jedynie taki ślad
po sobie pozostawiły. Czy
w tych suchych faktach moż-
na zobaczyć ich traumę? ■

ANETA WIŚNIEWSKA



ANDRZEJ FAŁARA

Bez pardonu pod Racławicami



Bardzo dawno temu, podczas wycieczki szkolnej, utknęliśmy pod Racławicami. Jechaliśmy na pole słynnej bitwy bocznymi drogami, pełnymi dziur i wybojów, no i autokar się zepsuł. Czekaliśmy na pomoc. Nudno było. Chcieliśmy zagrać w piłkę w miejscu szarży kosynierów, ale przewodniczka stanowczo nam zabroniła.

Co było robić – musieliśmy słuchać opowieści na temat bitwy i to w znacznie rozszerzonej wersji. Utkwiła mi przede wszystkim w pamięci dość mikra liczebność sił obu stron. Naczelnik Tadeusz Kościuszko miał pod swoim dowództwem około 6 tys. ludzi, w tym 2 tys. słabo wyszkolonych kosynierów. Rosjan stanęło do bitwy dwa razy mniej, choć ich całe siły operujące w okolicy dorównywały polskim. Rosyjski dowódca gen. Fiodor Denisow podzielił je wcześniej na dwie części, chcąc wziąć Kościuszkę w kleszcze. I ta druga część nie zdążyła dociągnąć pod Racławice. „Utknęli, tak jak my dzisiaj”, wyjaśniała przewodniczka.

225 lat temu (4 kwietnia 1794 roku), gdy doszło do starcia pod Racławicami, grunt w okolicy był grząski po wiosennych deszczach. Zapewne w innej sytuacji pogodowej Denisow dotarłby na czas i wtedy wynik bitwy mógł być inny. W dodatku gen. Aleksander Tormasow, który dowodził Rosjanami podczas bitwy, trochę zlekceważył Polaków, zwłaszcza uzbrojonych w kosi i piki chłopów, uznając, że z takim wojskiem da sobie radę i bez Denisowa. O godzinie 15.00 dał więc rozkaz do ataku na polskie pozycje. O zmierzchu był już pokonany i musiał się wycofać w popłochu.

Pamiętam, że w opowieści przewodniczki mocno zszokował mnie fragment dotyczący dobijania rannych przez chłopskie wojsko Kościuszki. Kosynierzy nie znali znaczenia słowa „pardon”, stąd wyjątkowo duża liczba zabitych po stronie rosyjskiej. Dokładnie nie wiadomo, ilu podkomendnych Tormasowa straciło życie. Mówi się o tysiącu poległych, rannych i jeńców. Liczba zabitych po stronie polskiej (kilkuset) też okazała się niemała.

Mówiąc prawdę i tylko prawdę o bitwie pod Racławicami, trzeba by stwierdzić, że jest ona na kartach naszej historii nieco przereklamowana. Z militarnego punktu widzenia miała niewielkie znaczenie, gdyż wojska rosyjskie pozostały na terenie Małopolski. Rozbudziła zaś w narodzie ducha walki. Niespełna dwa tygodnie później rozpoczęła się insurekcja w Warszawie.

My też odjeżdżaliśmy spod Racławic dumni z kosynierów. Słowo „pardon” zyskało wśród nas sporą popularność, ale w następnym roku szkolnym wyszło z użycia. ■



Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

W NSR BEZ KONTRAKTU

Mam plany, aby ubiegać się o udział w szkoleniu w ramach służby przygotowawczej i dopiero potem chciałbym podjąć decyzję, czy wiązać się z armią na stałe. Słyszałem jednak, że po takim szkoleniu nie będę mógł podpisać kontraktu do NSR-u. Czy to prawda i czy będę miał inne możliwości dostania się do służby zawodowej?

→ **Limity powołań do czynnej służby wojskowej określa corocznie rozporządzenie Rady Ministrów.** Zgodnie z zapisami projektu na 2019 rok, powołania do służby przygotowawczej będą kontynuowane, a w ciągu całego roku będzie mogło zostać przeszkolonych do 12 tys. ochotników.

Faktycznie jednak ci, którzy ukończą ten rodzaj służby, nie będą, jak dotychczasowi ochotnicy, powoływani do narodowych sił rezerwowych. Zgodnie bowiem z wytycznymi Strategicznego Przeglądu

du Obronnego, resort obrony narodowej planuje stopniowe wygaszanie funkcjonujących od 2010 roku NSR-ów. Spowodowane jest to m.in. tym, że zadania, które obecnie są im przypisane, stopniowo przejmują jednostki wojsk obrony terytorialnej.

W praktyce nie będą więc podpisywane nowe kontrakty ani przedłużane te, które jeszcze obowiązują. Żołnierzom nie będą też nadawane przydziały kryzysowe. Należy jednak zauważyć, że brak możliwości podpisania kontraktu na służbę w narodowych siłach rezerwowych nie zamyka drogi do armii. Żołnierze rezerwy, którzy ukończą szkolenie w ramach służby przygotowawczej, będą bowiem mogli, tak jak dzieje się to obecnie, ubiegać się o powołanie do zawodowej służby wojskowej we wszystkich jednostkach wojskowych Sił Zbrojnych RP oraz do terytorialnej służby wojskowej w jednostkach wojsk obrony terytorialnej. PG ■

SPRAWA SŁUŻB

Zostałem „nagrodzony” przez swojego dowódcę czterema służbami w ciągu 11 dni. Służba z poniedziałku na wtorek, z czwartku na piątek, w kolejnym tygodniu z wtorku na środę i z czwartku na piątek. Mimo że w tygodniu roboczym wypracowałem 56 godzin (o 16 więcej niż normatywny czas pracy), nie mam z tego tytułu żadnej godziny wolnego. Przez dwa tygodnie przepracowałem w sumie 112 godzin. Dlaczego za służby brane w weekend można odbierać dni wolne, a za te w tygodniu już nie? Proszę o odpowiedź, czy należy mi się czas wolny za służby, czy nie? Jeżeli nie, to dlaczego?

→ Zgodnie z przepisem art. 60 ust. 2 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, zadania służbowe żołnierzy zawodowych powinny być ustalane przez przełożonych w sposób pozwalający na ich wykonywanie w ramach 40 godzin służby w tygodniu. Wykonywanie zadań służbowych nie może przekraczać przeciętnie 48 godzin w tygodniu w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. W zamian za czas służby przekraczający 40 godzin w tygodniu, żołnierzowi zawodowemu przysługuje czas wolny od służby w takim samym wymiarze.

Zgodnie z § 9 ust. 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych, żołnierza wyznaczonego do pełnienia służby dyżurnej lub dyżuru trwającego co najmniej 24 godziny zwalnia się z wykonywania innych zadań służbowych w dniu rozpoczęcia lub zakończenia tej służby lub dyżuru. Ponadto, zgodnie z ust. 2, żołnierzowi, który pełnił służbę dyżurną lub dyżur w dniu ustawowo lub dodatkowo wolnym od

służby, w wymiarze co najmniej ośmiu godzin, udziela się za ten dzień czasu wolnego w wymiarze jednego dnia.

Jednak odnosząc się do zadanego pytania, w przedstawionej sprawie nie ma podstaw, aby przyjąć, iż żołnierzowi należy się dodatkowe wolne. Jak stanowi bowiem przepis § 4 ust. 2 pkt 1 wspomnianego rozporządzenia, do czasu służby żołnierza zalicza się również czas pełnienia służby dyżurnej lub dyżuru, ale nie więcej niż osiem godzin. Tym samym bezzasadne jest wyliczenie, że w przedstawionym przypadku czas pracy żołnierza zawodowego wynosi 56 godzin w danym tygodniu. Czas pełnienia służby dyżurnej, która trwa 24 godziny, jest wliczany do czasu służby żołnierza zawodowego wyłącznie w wymiarze ośmiu godzin. Wobec tego, w przedstawionej sprawie czas wykonywania służby przez żołnierza zawodowego nie przekroczył 40 godzin służby w danym tygodniu.

Reasumując, należy wskazać, że żołnierzowi zawodowemu, który pełnił służbę dyżurną w wymiarze 24 godzin z poniedziałku na wtorek i z czwartku na piątek, zaś w kolejnym tygodniu z wtorku na środę i z czwartku na piątek, nie przysługuje dodatkowy czas wolny. ■

aplikant radcowski ANETA KLIMOWICZ
Kancelaria Radców Prawnych s.c.
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawy prawne: art. 60 ust. 2 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2019, poz. 330); § 4 ust. 2 pkt 1 i § 9 ust. 1 i 2 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych (DzU 2008, nr 122, poz. 786).

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Większe limity

W wojsku będzie więcej informatyków i kryptologów – MON zwiększyło liczbę miejsc na studiach dla kandydatów na żołnierzy.

Przygotowany w ubiegłym roku projekt rozporządzenia dotyczący limitów przyjęć na cztery wojskowe uczelnie zakładał, że naukę jako podchorążowie będzie mogło w październiku tego roku rozpocząć 1440 osób: 857 w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, 110 w gdyńskiej Akademii Marynarki Wojennej, 365 w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu oraz 108 w dęblńskiej Lotniczej Akademii Wojskowej.

W przypadku dwóch uczelni Ministerstwo Obrony Narodowej zwiększyło jednak limit przyjęć. Chodzi o WAT oraz AMW i prowadzone w tych akademiach kierunki związane z cyberbezpieczeństwem. Zmiany są związane z planami budowy i rozwojem wojsk obrony cyberprzestrzeni.

WAT zaoferuje kandydatom w sumie 889 miejsc (o 32 więcej niż pierwotnie planowano). Więcej kandydatów zostanie przyjętych na informatykę – będzie ją mogło studiować nie 65 osób, jak początkowo zakładał projekt rozporządzenia, lecz 80, oraz na kryptologię i cyberbezpieczeństwo – tu zamiast 90, uczelnia przyjmie 107 kandydatów.

Gdyńska Akademia będzie miała w sumie 120 miejsc (wcześniej 110). Dodatkowych dziesięciu kandydatów zostanie przyjętych na pierwszy rok informatyki.

W sumie liczba miejsc na pięciu kierunkach z dziedziny cyberbezpieczeństwa (elektronika i telekomunikacja, informatyka oraz kryptologia na WAT, a także informatyka i systemy informacyjne w bezpieczeństwie w AMW) zwiększy się w porównaniu z rokiem akademickim 2018/2019 z 407 do 469. PG ■

JAKIE ZMIANY W PRAWIE?

Zmiany dotyczące Legii Akademickiej, weteranów i podoficerów – MON przedstawiło plan prac legislacyjnych na najbliższe miesiące.

Na swoich planach legislacyjnych przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej poinformowali na posiedzeniu senackiej Komisji Obrony Narodowej.

Jednym z aktów prawnych, nad którym zamierza w najbliższym czasie pracować MON, jest ustawa o powszechnym obowiązku obrony. Chodzi przede wszystkim o stworzenie pod-

staw prawnych do funkcjonowania programu szkolenia wojskowego dla studentów „Legia Akademicka”. Obecnie zajęcia na uczelniach są prowadzone nie na podstawie przepisów, lecz porozumień między resortami obrony oraz nauki i szkolnictwa wyższego a uczelniami biorącymi udział w programie. Nowelizacja ma więc uregulować m.in. sposób organizacji Legii Akademickiej, finansowanie części teoretycznej, zakres szkolenia wojskowego w ramach części praktycznej, a także uprawnienia związane z odbywaniem szkoleń wojskowych w zależności od ukończonych modułów szkolenia – podstawowego, podoficerskiego i oficerskiego.

Zmiany czekają też ustawę o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Nowelizacja ma dotyczyć wdrożenia koncepcji rozwoju korpusu podoficerskiego, podpisanej przez ministra Mariusza Błaszczaka w listopadzie ubiegłego roku. Zakłada ona m.in. zastąpienie służ-

by kontraktowej służbą stałą, powrót do tożsamości stopnia i stanowiska wśród podoficerów starszych, utworzenie stanowisk starszych podoficerów dowódców na szczeblu batalionu i dywizjonu oraz utworzenie nowego stopnia starszego szeregowego specjalisty.

Resort pochylił się także nad zmianami w ustawie o weteranach działań poza granicami państwa. W tej kwestii nie są jednak znane żadne szczegóły. Wiadomo jedynie, że MON chce przyjąć kompleksowe, oczekiwane przez środowisko weteranów zmiany.

MON chce także przyjąć ustawę o zasadach użycia sił zbrojnych poza granicami państwa. Nowa ustawa ma określać bardziej uniwersalne niż obecnie podstawy użycia sił zbrojnych za granicą, m.in. bez wskazywania na konflikt zbrojny lub misję pokojową. Uregulowana ma zostać także sprawa leczenia osób poszkodowanych na skutek działań polskich żołnierzy. PG ■

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Stypendia dla najzdolniejszych

Cywilni studenci wojskowych uczelni będą mogli otrzymać stypendium ministra obrony narodowej.

Zgodnie z ustawą „Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce” do niedawna cywilni studenci uczelni nadzorowanych przez MON mogli liczyć na stypendium za wybitne osiągnięcia w nauce lub sporcie przyznawane przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Wnioski o takie stypendium składał minister obrony narodowej.

Przepisy ustawy straciły moc 1 października 2018 roku. W nowym akcie prawnym pojawił się natomiast zapis, że stypendia takie będzie przyznawał minister obrony narodowej. Resort przygotował już projekt rozporządzenia, który precyzuje szczegółowe kryteria i tryb przyznawania oraz wypłacania takich stypendiów. Przepisy dotyczą w sumie ponad 14 tys. osób. Aby móc ubiegać się o pieniądze, student

będzie musiał wykazać się osiągnięciami naukowymi lub sportowymi. W przypadku tych pierwszych podstawą do złożenia wniosku będą np. autorstwo lub współautorstwo monografii naukowej, wynalazku, znaczący udział w uczelnianym projekcie badawczym. Za wybitne osiągnięcia sportowe z kolei będą uznawane zajęte przez studenta miejsca w rywalizacji sportowej, w tym: co najmniej dziesiąte w igrzyskach olimpijskich, co najmniej ósme w mistrzostwach świata, co najmniej trzecie w młodzieżowych mistrzostwach Europy. O stypendium ministra obrony narodowej będzie się mógł ubiegać także student, który zajmie przynajmniej trzecią lokatę w uniwersjadzie lub akademickich mistrzostwach świata lub Europy. W obu wy-

padkach osiągnięcia będą musiały być udokumentowane.

Wniosek o stypendium student będzie składał do rektora-komendanta swojej uczelni. Następnie, do 15 października każdego roku, wnioski zostaną przekazane ministrowi obrony narodowej. Będą oceniane pod względem formalnym oraz poddane ocenie merytorycznej.

Ostateczną decyzję szef resortu obrony narodowej podejmie do 31 stycznia. Projektowane przepisy zakładają, że minister będzie mógł przyznać maksymalnie 12 stypendiów na dany rok akademicki. Maksymalna wysokość świadczenia nie będzie mogła przekroczyć 17 tys. zł. Stypendium wypłaci studentowi rektor danej uczelni, z pieniędzy przekazanych na ten cel przez szefa MON-u.

Ogółem w latach 2007–2019 na pięciu wojskowych uczelniach zostały złożone 223 wnioski o przyznanie stypendium naukowego oraz 37 za wybitne osiągnięcia sportowe. Przyznano ich odpowiednio 82 i 17. PG

NOWA OFERTA

W Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie już w tym roku wystartują studia dualne dla kandydatów na mechaników lotniczych.

Studia dualne, będące połączeniem tradycyjnego kształcenia na uczelni z pracą zawodową, od wielu lat są prowadzone w całej Europie. Także w Polsce ten model edukacji zyskuje coraz większą popularność. Obecnie znajduje się on w ofercie niektórych uczelni, głównie o profilu technicznym. A już w październiku, jako pierwsza wojskowa uczelnia, dołączy do nich Lotnicza Akademia Wojskowa.

Studia będą prowadzone na kierunku lotnictwo i kosmonautyka w specjalności awionika i inżynieria lotnicza. Potrwają siedem semestrów. W trakcie każdego roku nauki student przez cztery do sześciu miesięcy będzie uczestniczył

w zajęciach teoretycznych w Akademii (semestry zimowe). W ciągu kolejnych co najmniej trzech miesięcy semestrów letnich kandydata na mechanika czeka około 1880 godzin płatnych staży w przedsiębiorstwach z branży lotniczej, z którymi uczelnia podpisze odpowiednie umowy. Studenci będą też odbywać praktyki w certyfikowanym Ośrodku Szkolenia Mechaników Obsługi Technicznej LAW w Dęblinie. Ponad 2 tys. godzin szkolenia praktycznego oraz dostosowanie programów kształcenia do wymogów Urzędu Lotnictwa Cywilnego i międzynarodowej instytucji lotniczej EASA, umożliwi studentom zdobycie licencji obsługowej na poziomie B1 (samoloty lub śmigłowce) lub B2 (awionika). Absolwenci będą mogli też liczyć na pomoc w znalezieniu zatrudnienia w branży lotniczej po zakończeniu studiów.

Rekrutacja elektroniczna na rok akademicki 2019/2020 rozpocznie się 3 czerwca 2019 roku i potrwa do 23 lipca 2019 roku (www.rekrutacja.law.mil.pl).

Uruchomienie studiów dualnych w LAW-ie było możliwe dzięki wygranej w konkursie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju projektu uczelni „Przygotowanie studentów specjalności inżynieria lotnicza i awionika do podjęcia pracy w branży lotniczej”. PG

Spokój nieśmiertelnika

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

**Panu kpt. rez. Piotrowi Krystkowskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy Wydziału
Materiałowego 3 Regionalnej Bazy Logistycznej
w Krakowie.

Panu mjr. Ryszardowi Skwierczyńskiemu

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy

w tych trudnych chwilach z powodu śmierci

Brata

składają komendant, zastępca komendanta,
żołnierze i pracownicy
Regionalnego Centrum Informatyki Warszawa.

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia

Pani Janinie Jazowskiej

z powodu śmierci

Mamy

składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Departamentu Polityki Bezpieczeństwa
Międzynarodowego MON.

Łącząc się w żałobie, smutku i bólu po utracie

Brata

**Panu mjr. Ryszardowi Skwierczyńskiemu
oraz jego Rodzinie i Bliskim**

chcielibyśmy złożyć szczerą kondolencję
oraz słowa wsparcia w tych trudnych chwilach.

Koledzy i koleżanki

Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego Pyry
Regionalnego Centrum Informatyki Warszawa

Wyrazy współczucia, szczerą kondolencję
i słowa wsparcia

Panu płk. Zdzisławowi Frukaczowi

z powodu śmierci

Teścia

składają żołnierze i pracownicy Rejonowego Zarządu
Infrastruktury w Zielonej Górze.

Panu st. chor. sztab. Dariuszowi Hawryle

w tych trudnych chwilach

wyrazy głębokiego współczucia

i szczerą kondolencję

z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy RON
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Panu st. szer. Jackowi Jurgielewiczowi

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki

kmdr. Ireneuszowi Kukowskiemu

składa dowódca wojsk obrony terytorialnej
gen. dyw. Wiesław Kukuła.

Wyrazy współczucia i szczerą kondolencję
Panu Grzegorzowi Gudalewskiemu,
 żołnierzowi wojsk obrony terytorialnej,
oraz najbliższej Rodzinie
 z powodu śmierci
Syna
 składa dowódca wojsk obrony terytorialnej
 gen. dyw. Wiesław Kukuła.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
 przyjęliśmy wiadomość o śmierci żołnierza
 naszej jednostki wojskowej
st. szer. Zbigniewa Rybaka.
Rodzinie i Najbliższym
 wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
 przyjęliśmy wiadomość o śmierci
st. chor. sztab. w st. spocz. Romana Górskiego,
 długoletniego pracownika
 Wojskowego Sądu Garnizonowego w Lublinie.
 Pograżonej w bólu
Rodzinie i Bliskim
 wyrazy współczucia składają
 prezes, sędziowie oraz pracownicy sądu.

Pani Krystynie Zinek
 wyrazy głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Mamy
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
 12 Bazy Bezzałogowych Statków Powietrznych
 w Mirosławcu.

Panu kpt. Mariuszowi Owięckiemu
oraz
Pani Karolinie Owięckiej
 wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Ojca, Teścia
 składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy RON
 Jednostki Wojskowej Nr 2286 w Opolu.

Panu st. chor. sztab. Łukaszowi Szwedzie
 wyrazy głębokiego współczucia
 oraz szczerą kondolencję z powodu śmierci
Ojca
 składają kierownik, żołnierze i pracownicy RON
 Rejonowych Warsztatów Technicznych
 w Rzeszowie i Lublinie.

Szczerze wyrazy współczucia
mł. chor. Zbigniewowi Musiałowi
 z powodu śmierci
Ojca
 składają żołnierze i pracownicy
 Dowództwa Brygady Wsparcia Dowodzenia
 Wielonarodowego Korpusu Północny Wschód.

Wyrazy żalu i szczerą współczucia
 z powodu śmierci
Mamy
st. chor. sztab. Stanisławowi Śmigielskiemu
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Kmdr. por. rez. Wiesławowi Goździewiczowi
 z powodu śmierci
Ojca
 wyrazy głębokiego żalu, współczucia, wsparcia i otuchy
 składają koleżanki i koledzy z Korpusu Sprawiedliwości
 i Obsługi Prawnej z Gdyni.

Wyrazy żalu i szczerą współczucia
 z powodu śmierci
Brata
mł. chor. Jarosławowi Klimkowi
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
 z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
 261 845 230, 261 840 227

**Panu st. chor. sztab. Romanowi Porębskiemu
oraz Jego Rodzinie**

szczerze wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Z żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

**mjr. rez. Kazimierza Adamskiego.
Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego współczucia składają
dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Głębokie wyrazy współczucia z powodu śmierci
Syna

szer. Marcie Lisewskiej

i st. szer. Przemysławowi Lisewskiemu

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercu
i pamięci bliskich”.

Słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia, wsparcia i otuchy
dla **Pana kpt. Bartłomieja Szewczyka**

i Jego Rodziny

z powodu śmierci

Ojca

składają koledzy z 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego
w Łasku.

Z żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

**kpt. rez. Czesława Jankowskiego.
Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego współczucia składają dowódca,
żołnierze i pracownicy 9 Braniewskiej Brygady
Kawalerii Pancernej.

Wyrazy głębokiego współczucia i żalu
oraz słowa otuchy z powodu śmierci

Matki

dla Pani Agnieszki Rutę i całej Rodziny

w obliczu tej bolesnej straty
składa dyrekcja, żołnierze i pracownicy
Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa
MON.

Z żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

**mł. chor. rez. Adama Okaja.
Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego współczucia składają dowódca,
żołnierze i pracownicy 9 Braniewskiej Brygady
Kawalerii Pancernej.



mł. chor. Bartosz Spychała

3 kwietnia 2011 roku
PKW Afganistan

kpr. Grzegorz Politowski

8 kwietnia 2008 roku
PKW Afganistan

kpr. Piotr Moszyński

10 kwietnia 1995 roku
UNPROFOR Jugosławia

kpr. Tomasz Jura

20 kwietnia 2007 roku
PKW Irak

Pamiętamy

kpr. Paweł Staniaszek

20 kwietnia 2011 roku
PKW Afganistan

Panu mł. chor. Krzysztofowi Osinskiemu
w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje

Panu płk. Krzysztofowi Rojkowi
z powodu śmierci

Matki

składa dyrekcja oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Głębokie wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Matki

Panu st. szer. Arielowi Mleczkowi
składają żołnierze i pracownicy RON
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Panu ppłk. Tomaszowi Piotrowiczowi
wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Teściowej

składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu mjr. Sławomirowi Lobie
słowa otuchy i wyrazy szczerzego żalu
oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają szef, żołnierze i pracownicy
Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego RSZ.

Pani Paulinie Ziółkowskiej
wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Babci

składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu kmdr. rez. Waldemarowi Walce
wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składa dowódca Centrum Operacji Morskich –
Komponentu Morskiego wraz z podległą kadrą
i pracownikami RON.

Panu st. szer. Konradowi Pielichowi
oraz Jego Rodzinie
wyrazy szczerzego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje
Panu mł. chor. Waldemarowi Żywicy
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, kadra i pracownicy RON
11 Batalionu Remontowego.

Pani Krystynie Musiał oraz Jej Najbliższym
szczere wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Męża

składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

GWARANT BEZPIECZEŃSTWA

ROSOMAK BMS



ROSOMAK BMS to budowany przez Konsorcjum PGZ mobilny, zautomatyzowany, sieciocentryczny system wsparcia dowodzenia i kierowania walką na szczeblu taktycznym Wojsk Lądowych SZ RP. To jedyny polski system klasy BMS, w którym zastosowano rozwiązania zgodne z najnowszymi standardami kryptograficznymi wdrażanymi w NATO, co umożliwi pełną interoperacyjność w sieciach NATO Secret. Konsorcjum ROSOMAK BMS jest gwarantem dostarczenia kompletnego rozwiązania, zintegrowanego z KTO ROSOMAK, w pełni spełniającego wymagania współczesnego pola walki i bezpieczeństwa państwa.

Battle Management System



Nagroda
„POLSKI ZBROJNEJ”
BUZDYGANY